



75 tygodni na liście
bestsellerów Usa Today

PO TRZECIE DLA ZASADY

Numer 1 z listy bestsellerów New York Timesa JANET

EVANOVICH



Janet Evanovich

Po trzecie dla zasady

Rozdział 1

W Trenton zapanował styczeń. Ze stalowosinego jak kolba pistoletu nieba spływało zabójczo zimne powietrze i osiadało na samochodach i chodnikach. W biurach firmy Vincenta Pluma atmosfera była równie beznadziejna, a ja pociłam się jak ruda mysz, nie z gorąca, lecz ze strachu.

- Nie mogę - powiedziałam kuzynowi Vinniemu. - Jeszcze nigdy nie odrzuciłam zlecenia, ale tego klienta nie mogę przyjąć. Oddaj go Rangerowi. Albo Bamesowi.

- Nie dam Rangerowi czegoś takiego - odparł na to Vinnie. - To coś w sam raz dla ciebie. Zachowuj się jak zawodowiec. Jesteś łowcą nagród.

Od pięciu pieprzonych miesięcy. O co ten krzyk?

- To wujek Mo! Nie mogę go aresztować. Wszyscy mnie wyklną.

Matka mnie wyklnie. Najlepsza koleżanka mnie wyklnie.

Vinnie wcisnął swoje szczupłe, zwinne ciało w fotel za biurkiem i oparł głowę na skórzanym

zagłóWKu.

- Mo nie zjawił się na procesie. To znaczy, że jest zgniłkiem. I tylko to się liczy. Wniosłam oczy do góry tak gwałtownie, że omal całkiem się nie odwróciły.

Moses Bedemier, znany powszechnie jako wujek Mo, zaczął

sprzedawać lody i tanie cukierki piątego czerwca 1958 roku i sprzedaje je do dziś. Jego sklep stoi na skraju Miasteczka, mieszkalnej dzielnicy Trenton, gdzie domy i umysły są dumne ze swojej ciasnoty, ale serca na ogół bywają otwarte na oścież. Urodziłam się tu i wychowałam, i choć mieszkam teraz o jakieś pół kilometra od granic Miasteczka, nadal łączy mnie z nim niewidzialna pępowina. Szarpię nią od lat, ale jakoś nigdy nie udało mi się przerwać cholerstwa.

Moses Bedemier jest szacownym obywatelem Miasteczka. Czas zniszczył zarówno jego, jak i linoleum w sklepie, oboje pokrył licznymi zmarszczkami i nieco ukruszył, a przez trzydzieści z górą lat jarzeniowe światła wypaliły ich kolory. Żółta ceglana fasada i metalowy szyld także poniosły nieuniknione straty. Chrom i laminat na stołkach i ladzie straciły blask. Wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ w naszej dzielnicy wujek Mo ma status zabytku historycznego.

A ja, Stephanie Plum - sześćdziesiąt dwa kilo żywej wagi, metr sześćdziesiąt dziewięć wzrostu, brązowe włosy, błękitne oczy - łowca nagród jak się patrzy, właśnie otrzymałam zadanie zawleczenia szacownego tyłka wujka Mo do pudła.

- I co on takiego zrobił? - spytałam. - Dlaczego go w ogóle aresztowali?

- Jechał siedemdziesiątką w strefie ograniczenia szybkości do pięćdziesięciu kilometrów. Złapał go funkcjonariusz Gazik... lepiej znany jako funkcjonariusz Benny Gaspick, którego dopiero wypuścili z akademii policyjnej. Jest tak przeraźliwie zielony, że nie wpadło mu do głowy, żeby wlepić wujkowi karne punkty i zapomnieć o sprawie.

- Za przekroczenie szybkości nie wpłaca się kaucji.

Vinnie wsparł o krawędź biurka szpic buta z patentowanej skóry.

Mój kuzyn jest seksualnym szaleńcem, szczególnie czułym na punkcie ciemnoskórych młodzieńców z kolczykami w sutkach i kobiet o sterczących piersiach, właścicielek czternastowiecznych narzędzi tortur.

W czasie wolnym od tych zajęć prowadzi firmę poręczycielską, co oznacza, że pożyczka ludziom pieniądze na kaucję ustanowioną przez sąd.

Kaucja służy do stworzenia nieprzyjemnej ekonomicznie sytuacji dla podejrzanego w razie, gdyby zechciał opuścić miasto. Po jej wpłaceniu podejrzany wychodzi z pudła, dzięki czemu może spać we własnym łóżku do czasu procesu. Cena za skorzystanie z usług Vinniego wynosi piętnaście procent kaucji i nie ulega zmianom bez względu na werdykt sądu. Jeśli zwolniony za kaucją nie zjawi się na rozprawie, sąd zatrzymuje pieniądze Vinniego. Nie tylko te piętnaście procent. Całą okrągłą sumkę, pełną kaucję. Vinnie jest wtedy średnio zadowolony.

I tutaj właśnie zaczyna się moja rola. Odnajduję zwolnionego za kaucją, który oficjalnie jest już przestępcą, i oddaję go w ręce sprawiedliwości. Jeśli odnajdę winnego niestawiennictwa w przyzwoicim krótkim czasie, sąd zwraca Vinniemu forszę. Za łapanie zbiegów otrzymuję dziesięć procent kaucji, zaś Vinnie zostaje z zyskiem pięciu procent.

Przyjęłam tę pracę w akcie rozpaczki, kiedy straciłam posadę sprzedawczyni damskiej bielizny u E. E. Martina. Miałam jeszcze do wyboru obsługiwanie pakowarki w fabryce tamponów. Odpowiedzialne zadanie, ale jakoś nie czułam powołania.

Właściwie nie wiem, dlaczego ciągle pracuję dla Vinniego.

Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z nazwą. Łowca nagród. Nieźle brzmi. A poza tym nie muszę nosić w pracy pasa do pończoch.

Vinnie uśmiechnął się oblesnie, jak zwykle. Najwyraźniej rozkoszował się historią, którą zamierzał mnie uszczęśliwić.

- Otóż funkcjonariusz Gaspick, zżerany ślepią żądzą zostania Najbardziej Znienawidzonym Gliną Roku, zaczął pouczać wujka Mo o zasadach bezpieczeństwa na drodze. Pouczał go, pouczał, Mo wił się jak piskorz, aż wreszcie Gaspick dostrzegł w kieszeni jego kurtki czterdziestkę piątkę.

- I Mo odpowiada za noszenie ukrytej broni.

- Bingo.

Noszenie ukrytej broni jest w Trenton chlebem powszednim.

Zezwoleń na broń udziela się tu jak z łaski, przeważnie jubilerom, sędziom i kurierom. Przyłapanie na noszeniu ukrytej broni równa się z jej nielegalnym posiadaniem i jest wykroczeniem. Broń się konfiskuje, wyznacza się kaucję, a biedny właściciel jest przegrany jak cholera.

Oczywiście nie przeszkadza to, że prawie połowa mieszkańców Jersey ukrywa broń. Pistolety sprzedaje się byle gdzie, dziedziczy po rodzinie, pożyczka od sąsiadów i przyjaciół i kupuje z drugiej, trzeciej lub czwartej ręki od i przez obywateli niespecjalnie zorientowanych w przepisach o posiadaniu broni. Logika mówi, że skoro rząd wydaje licencje na posiadanie broni, można rzeczona broń nosić w torebce. W końcu po co mieć pistolet, skoro nie można go nosić w torebce. A jeśli nie można nosić broni w torebce, to prawo jest do lu u

□ . Zaś w Jersey nikt nie zawraca

sobie głowy prawem, które jest do luzu.

Nawiasem mówiąc, ja także miałam ukrytą broń. A rozmawiając w Vinniem widziałam kaburę umocowaną na kostce jego nogi. Poliestrowe spodnie wybrzuszały się w tym miejscu znacząco. Przy czym dałabym głowę, że jego broń jest w dodatku niezarejestrowana.

- Oskarżenie nie jest poważne - powiedziałam. - Nie warto z tego powodu nie stawiać się w sądzie.

- Mo pewnie zapomniał, że ma rozprawę - odparł Vinnie. - Może wystarczy tylko, żebyś mu przypomniała.

Ano właśnie, pomyślałam. Może to jednak nie aż taka katastrofa.

Dochodziła dziesiąta. Mogłabym podskoczyć do sklepu i pogadać z Mo. W

gruncie rzeczy, im dłużej o tym myślałam, tym bardziej upewniałam się, że wszystko będzie dobrze. Mo nie miał powodów, żeby unikać stawienia się w sądzie.

Zamknęłam za sobą drzwi gabinetu Vinniego i okrążyłam Connie Rosolli. Connie jest kierowniczką biura i aniołem stróżem Vinniego. Ma do niego tyle samo szacunku, co do koziego bobka, ale pracuje dla niego od lat i chyba pogodziła się z faktem, że i dla kozich bobków jest miejsce na bożym świecie.

Tego dnia Connie umalowała sobie usta cyklamienową szminką, a paznokcie lakierem w tym samym kolorze. Włożyła też białą bluzkę w wielkie czarne grochy. Lakier wyglądał fajnie, ale bluzka nie leżała dobrze na kimś, kto sześćdziesiąt procent masy ciała skupia w klatce piersiowej.

Na szczęście w Trenton mało kto przejmuje się sprawami mody.

- Chyba tego nie wzięłaś? - odezwała się do mnie tonem wskazującym, iż tylko najgorszy padalec mógłby chcieć przysporzyć wujkowi Mo choć odrobinę bólu.

Nie poczułam się obrażona. Wiem, gdzie mieszka Connie. Myślimy w ten sam sposób.

- Pytasz, czy porozmawiam z Mo? Tak, porozmawiam z Mo.

Czarne brwi Connie zbiegły się w jedną kreskę - żywy obraz świętego oburzenia.

- Ten dureń niepotrzebnie go aresztował. Wszyscy wiedzą, że wujek Mo muchy by nie skrzywdził.

- Nosił ukrytą broń.

- Wielkie mi przestępstwo.

- To jest przestępstwo!

Znad katalogów ukazała się głowa Luli.

- Co to za wujek Mo?

Lula jest była prostytutką, zatrudnioną jako urzędniczka. Niedawno zgłosiła się do programu resocjalizacyjnego, co pociągnęło za sobą ufarbowanie włosów na blond, rozprostowanie ich i ponowne zakręcenie w pierścionki. Po tej transformacji Lula wygląda jak wielka, gruba, czarna

Shirley Temple.

- Moses Bedemier - wyjaśniłam. - Prowadzi sklep z cukierkami na Ferris Street. Bardzo popularna osoba.

- Aha. Chyba go znam. Tak coś pod sześćdziesiątkę? Łysy na czubku głowy? Mnóstwo wątrobianych plam? I ma nos, co wygląda jak penis?

- Hm. Nigdy nie zauważyłam tego nosa.

Vinnie dał mi akta wujka Mo, składające się z połączonych spinaczem protokołu aresztowania, umowy o wpłaceniu kaucji oraz fotografii. Wzięłam zdjęcie i spojrzałam na nie.

Lula zerknęła mi przez ramię.

- Aha. To on. Stary Penisowy Nochal. Connie wyprysnęła z krzesła.

- Chcesz mi wmówić, że wujek Mo był klientem? Nic z tego, nie wierzę! Lula zmrużyła oczy i wysunęła dolną wargę.

- Słuchaj no, siostró.

- Bez obrazy - dodała szybko Connie.

- Ha - powiedziała Lula opierając dłoń na biodrze. Zaciągnęłam suwak kurtki i omotałam szyję szalikiem.

- Jesteś pewna, że znasz wujka Mo? - zwróciłam się do Luli. Jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

- Ciężko powiedzieć. Wiesz, jacy ci biali staruszkowie są do siebie podobni. Może powinnam pójść razem z tobą i osobiście przyjrzeć się gościowi.

- Nie! To nie jest dobry pomysł.

- Uważasz, że nie dam sobie rady z tymi pierdołami?

Lula nie zapisała się jeszcze na program resocjalizacji języka.

- Oczywiście, że dasz sobie radę - zapewniłam ją. - Chodzi tylko o to, że ta sprawa jest jakby... delikatna.

- A co tam - odrzekła Lula wbijając się w kurtkę. - Już ja to załatwię, bardzo delikatnie.

- Tak, ale...

- Poza tym możesz potrzebować pomocy. Przypuśćmy, że gość nie pójdzie z tobą po dobroci. Będzie ci potrzebna duża, postawna kobieta -

na przykład ja - żeby go przekonać.

Lula i ja spotkałyśmy się podczas mojego pierwszego zadania. Ona zarabiała na ulicy, a ja byłam kompletnie zielona. Niechcący wpłatałam ją w sprawę, nad którą pracowałam, i w rezultacie pewnego pięknego poranka znalazłam ją na moich schodkach przeciwpożarowych, posiniaczoną i zakrwawioną.

Lula uważa, że uratowałam jej życie. Ja twierdzę, że naraziłam ją na niebezpieczeństwo. Miałam okazję wyrównać nasze rachunki, ale Lula jakby się do mnie przywiązała. Nie posunę się tak daleko, by twierdzić, że czci mnie jak bohaterkę. Jest mniej więcej tak jak w tych chińskich historiach, kiedy ratując komuś życie stajesz się jego właścicielem...

nawet, jeśli tego nie chcesz.

- Nie będziemy nikogo przekonywać - oznajmiłam. - To wujek Mo.

Sprzedaje dzieciom cukierki.

Lula zawiesiła na ramieniu torebkę.

- Dam sobie radę - zapewniła i ruszyła za mną. - Ciągłe jeździsz tym starym buickiem?

- Tak. Mój lotus jest jeszcze w sklepie.

Prawdę mówiąc, lotus znajdował się wyłącznie w moich snach. Parę miesięcy temu ukradli mi jeepa, a matka, w niefortunnym porywie dobrych chęci, podarowała mi buicka wuja Sandora. Kłopoty finansowe i brak silnej woli spowodowały, że od tej pory oglądam świat zza kierownicy potwornie wielkiego błękitnego gruchota i zastanawiam się, co złego zrobiłam, że zasłużyłam na taki los.

Podmuch wichru załomotał szyldem delikatesów Fiorellego o ścianę biura Vinniego. Podniosłam kołnierz i zaczęłam grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu rękawiczek.

- Przynajmniej buick jest w dobrym stanie - pouczyłam Lulę. - W

końcu to się liczy, no nie?

- Ha - odrzekła na to Lula. - Tak mówią wszyscy, którzy nie mają fajnych wózków. A radio? Ma radio? Dolby stereo?

- Nie ma dolby stereo.

- Moment. Chyba nie spodziewasz się, że będę jeździć po mieście bez dolby stereo. Muszę się podkręcić, żebym miała ochotę dobrać się mu do tyłka. Otworzyłam samochód.

- Nie będziemy się nikomu do niczego dobierać. Będziemy rozmawiać z wujkiem Mo.

- Jasne - mruknęła Lula sadowiąc się wygodnie. Rzuciła na radio spojrzenie pełne obrzydzenia. - Już

to kiedyś słyszałam.

Minęłam jedną przecznicę i skręciłam w lewo, w kierunku Miasteczka. Niewiele można zrobić, żeby rozweselić styczniowy krajobraz. Mrugające światełka i czerwone plastikowe Mikołaje były już schowane, a wiosna ciągle jeszcze pozostawała w sferze marzeń.

Żywopłoty wyglądały jak sterty brzydkich burych patyków, mróz wywabił

z trawników ostatnie wspomnienie o kolorze, a z ulic znikły dzieci, koty, czyściciele samochodów i ryczące radia. Szczelnie zamknięte okna i drzwi broniły domów przed zimnem i mrokiem.

Nawet sklep wujka Mo wydawał się zimny i odpychający. Lula wyjrzała przez okno od mojej strony.

- Nie chcę ci psuć zabawy - powiedziała - ale coś mi się zdaje, że gość jest nieobecny.

Zatrzymałam samochód przy krawężniku.

- Niemożliwe. Wujek Mo nigdy nie zamyka sklepu. Nie zamknął go od pięćdziesiątego ósmego.

- Wiesz co ci powiem? Teraz zamknął.

Wyskoczyłam z Wielkiego Błękitu, podeszłam do drzwi i zajrzałam do środka. Światło było zgaszone i nigdzie nie widziałam wujka Mo.

Nacisnęłam klamkę. Zamknięte. Zapukałam do drzwi głośno i energicznie. Nic. Jasna cholera.

- Pewnie zachorował - powiedziałam do Luli.

Sklep stał na rogu, z wejściem od Ferris Street i bokiem przy King.

Wzdłuż Ferris Street ciągnął się długi szereg schludnych bliźniaków, wiodąc do samego serca Miasteczka. Natomiast ulica King była świadectwem ciężkich czasów. W większości bliźniaków mieszkały liczne rodziny. Na próżno by tu szukać wykrochmalonych firaneczek Marthy Washington. Prywatności broniły zawieszane w oknach prześcieradła i porwane rolety, a także nieprzyjemna świadomość, iż nie jest się tu mile widzianym.

- Przez okno tego domu naprzeciwko wygląda jakaś straszna staruszka - zauważyła Lula.

Spojrzałam na wskazany dom na Ferris i zadrżałam.

- To pani Steeger. Uczyła mnie w trzeciej klasie.

- Pewnie było fajnie.

- Najdłuższy rok w moim życiu.

Do tej pory dostaję konwulsji, kiedy muszę coś podzielić.

- Powinnyśmy z nią porozmawiać - powiedziałam.

- Aha - zgodziła się Lula. - Taka wścibska starucha na pewno wie masę rzeczy. Poprawiłam torebkę na ramieniu i pomaszerowałyśmy do drzwi pani Steeger.

Drzwi otwarły się na tyle, bym mogła ocenić, że pani Steeger nie zmieniła się przez te wszystkie lata. Nadal była chuda jak deska i miała suchą twarz z małymi oczkami, spoglądającymi czujnie spod brwi, które wyglądały tak, jakby narysowano je brązową kredką. W zeszłym roku pani Steeger owdowiała. Na rok przedtem przeszła na emeryturę. Teraz miała na sobie brązową sukienkę w białe kwiatuszki, pończochy oraz praktyczne buty. Okulary zwisały z szyi na łańcuszku. Włosy, mocno skręcone, ufarbowała na brązowo. Nie wyglądała na osobę przyzwyczajającą się do życia na wolniejszych obrotach. Wręczyłam jej wizytówkę i przedstawiłam się jako agentka firmy poręczycielskiej.

- Co to znaczy? - zainteresowała się pani Steeger. - Czy to organizacja policyjna?

- Niezupełnie. Pracuję dla Vincenta Pluma.

- A. - Pani Steeger przetrawiła informację. - Jesteś łowcą nagród.

Powiedziała to tym samym tonem, jakiego używa się wobec handlarzy narkotyków i innych zwyrodnialców. Przekrzywiła brodę w sposób zwiastujący początek akcji dyscyplinarnej, a wszystko w jej postawie świadczyło, że może bym doszła do czegoś, gdybym sumienniej pracowała nad dzieleniem.

- Co to ma wspólnego z Mosesem? - spytała.

- Został aresztowany za wykroczenie i nie pojawił się na rozprawie.

Agencja Pluma wpłaciła za niego kaucję, więc muszę odnaleźć Mo i pomóc mu ustalić datę nowej rozprawy.

- Mo nie skrzywdziłby nawet muchy - oznajmiła pani Steeger.

Święte słowa.

- Czy wie pani, gdzie mogę go zastać? - spytałam. Wyprostowała się jeszcze o pół centymetra.

- Nie. I uważam, że powinnaś się wstydzić, skoro nie potrafisz znaleźć sobie innego zajęcia, niż prześladowanie dobrych ludzi, takich jak Moses Bedemier.

- Ja go nie prześladowuję. Chcę mu tylko pomóc ustalić nowy termin rozprawy. Kłamie, kłamie, powiem mamie - ukróciła mnie pani Steeger. -

W trzeciej klasie byłaś małą kłamczuchą i pozostałaś nią. Zawsze chciałaś przemycić gumę na lekcje. No to bardzo dziękuję - powiedziałam. - Miło było panią spotkać po tylu latach. TRZASK. Pani Steeger zamknęła drzwi.

- Trzeba było skłamać - odezwała się Lula. - Nigdy niczego się nie dowiesz, jeśli będziesz mówić prawdę. Trzeba było jej powiedzieć, że pracujesz w komisji gier i zakładów, a Mo wygrał kupę pieniędzy.

- Może innym razem.

- Może innym razem otworzymy drzwi i przetrzepimy suce tyłek.

Zgromiłam Lulę strasznym spojrzeniem.

- To tylko sugestia - powiedziała.

Stałam przed innymi drzwiami i miałam właśnie zapukać, kiedy pani Steeger znowu wystawiła głowę.

- Szkoda zachodu - rzuciła. - Whiteheadowie są na Florydzie. Harry zawsze bierze urlop w zimie. Wrócą za dwa tygodnie.

TRZASK. Głowa zniknęła.

- Nie szkodzi - poinstruowałam Lulę. - Zapukamy do drzwi numer trzy. Drzwi numer trzy otworzyła Dorothy Rostowski.

- Dorothy?

- Stephanie?

- Nie wiedziałam, że tu mieszkasz.

- Będzie już rok.

Trzymała na biodrze dziecko, drugie siedziało przed telewizorem.

Pachniała bananami i tanim winem.

- Szukam wujka Mo - powiedziałam. - Myślałam, że znajdę go w sklepie. Dorothy przełożyła dziecko na drugie biodro.

- Nie ma go od dwóch dni. Nie szukasz go dla Vinniego, co?

- Właściwie...

- Mo nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Tak, ale...

- Szukamy go, bo wygrał na loterii - wtrąciła Lula. - Chcemy mu odkopsnąć kupę szmalu.

Dorothy prychnęła z niesmakiem i zatrzasnęła drzwi.

Spróbowałyśmy jeszcze w domu obok Dorothy, jednak z tym samym skutkiem. Mo nie pojawił się w sklepie od dwóch dni. Nie dowiedziałyśmy się nic więcej, wyjąwszy nieproszoną sugestię, iż powinnam poszukać innego zajęcia.

Zapakowałyśmy się do buicka i znowu przyjrzałyśmy się umowie o wpłaceniu kaucji. Mo podał adres zamieszkania na Ferris 605. To oznaczało, że mieszkał nad sklepem.

Wyciągnęłyśmy szyje i spojrzaliśmy w cztery okna na pięterku.

- Coś mi się zdaje, że Mo dał nogę - powiedziała Lula.

Istniał tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Wsiadłyśmy z samochodu i powędrowałyśmy na tyły ceglanego budynku. Schody prowadziły na ganek na piętrze. Wspięłyśmy się po nich i zapukałyśmy do drzwi. Nic. Nacisnęłyśmy klamkę. Zamknięte. Zajrzałyśmy przez okna.

Czyściutko. Ani śladu Mo. Żadnego światła.

- A może Mo tam umarł - rzuciła nagle Lula. - Albo zachorował.

Może miał zawał i leży w łazience na podłodze.

- Lula, my się tu nie włamiemy.

- To by był humanitarny gest.

- Nielegalny.

- Czasami humanitarne gesty bywają kontrowersyjne.

Usłyszałam jakieś kroki i spojrzałam w dół; u stóp schodów stał

policjant. Steve Olmney. Chodziliśmy razem do szkoły.

- Co jest? - spytał. - Dostaliśmy zgłoszenie od pani Steeger, że jakieś podejrzane typy kręcą się i rozpytują o wujka Mo.

- To pewnie ja - przyznałam się.

- Gdzie jest Mo?

- Chyba nie żyje - powiadomiła go Lula. - Chyba trzeba będzie sprawdzić, czy nie leży w łazience z zawałem serca.

Olmney wspiął się po schodach i zapukał.

- Mo? - ryknął. Zbliżył nos do drzwi. - Nie śmierdzi trupem. -

Spojrzał w okna.

- Nie widzę zwłok.

- Nie pojawił się na rozprawie - powiedziałam. - Przyłapali go na noszeniu ukrytej broni i nie pojawił się w sądzie.

- Mo nie skrzywdziłby nawet muchy - orzekł Olmney. Zdławiłam krzyk.

- Mo nie pojawił się w sądzie.

- Pewnie zapomniał. Może pojechał na wakacje. A może jego siostra ze Staten Island się rozchorowała. Powinnaś z nią pogadać.

Pomysł nie był najgorszy.

Jeszcze raz wróciłyśmy do buicka i jeszcze raz przeczytałam umowę o wpłaceniu kaucji. Rzeczywiście, Mo miał siostrę i nawet podał jej adres.

- Powinnyśmy się rozdzielić - powiedziałam do Luli. - Ja sprawdzę siostrę, ty obserwuj sklep.

- Już ja go poobserwuję - obiecała. - Mysz się nie prześliznie.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i zaczęłam wycofywać samochód.

- Co zrobisz, jeśli zobaczysz Mo?

- Złapię tego małego skurczybyka za jaja i wcisnę go do bagażnika.

- Nie! Nie masz uprawnień do dokonywania aresztowań. Jeśli zobaczysz Mo, natychmiast się ze mną skontaktuj. Zadzwoń na komórkę albo na pagera.

Podaliśmy jej oba numery.

- Pamiętaj: nie wciskać nikogo do bagażnika!

- Dobra - zgodziła się Lula. - Trudno.

Podwiozłam ją do biura i ruszyłam w kierunku autostrady. Zbliżało się południe i korki jeszcze się nie zaczęły. Dotarłam do portu i stanęłam w kolejce do mostu na Staten Island. Prowadząca do roгатki droga była w obie strony zapchana gruchotami przeżartymi solą i brzęczącymi na nieuniknionych kraterach, wilczych dołach i wielopoziomowych jęczorach asfaltu, składających się na most.

Wcisnęłam się w sznur samochodów i stanęłam, przytulona do Hurtowej Sprzedaży Warzyw Pertucciego i ciężarówce z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO MATERIAŁY WYBUCHOWE. Czekaając przyjrzałam się mapie. Siostra Mo mieszkała mniej więcej pośrodku wyspy, w dzielnicy

bardzo podobnej do Miasteczka.

Zapłaciłam za przejazd i powlokłam się dalej, wdychając mieszankę wyziewów diesla i innych tajemniczych ingrediencji, które stały mi w gardle. Po niespełna pół kilometra przystosowałam się do skażenia środowiska i w znakomitym samopoczuciu dotarłam do domu siostry Mo na Crane Street. Umiejętność adaptacji to jedna z wielkich zalet wszystkich urodzonych i wychowanych w Jersey. Zanieczyszczone powietrze i brudna woda nic nam nie robią i tyle. Jesteśmy jak tu ryba z płucami. Przenieście nas w inne środowisko, a wykształcimy dowolną część ciała, potrzebną do przeżycia. Chcecie posłać człowieka w strefę opadów radioaktywnych? Weźcie kogoś z Jersey. Nic mu nie będzie.

Siostra Mo mieszkała w bladezielonym bliźniaku z żaluzjami w oknach i biało-żółtymi aluminiowymi markizami. Zatrzymałam samochód i zaczęłam się wdrapywać po dwóch biegach cementowych schodków aż do cementowego podestu. Zadzwoiłam i raptem stanęłam twarzą w twarz z kobietą podobną jak dwie krople wody do moich własnych krewnych ze strony Mazurów. Dobre, krzepkie, węgierskie plemię. Czarne włosy, czarne brwi i rzeczowe błękitne oczy. Wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat i nie była specjalnie zachwycona moim widokiem.

Wręczyłam jej wizytówkę, przedstawiłam się i wyjaśniłam, że szukam Mo. Jej pierwszą reakcją było zaskoczenie, a potem niedowierzenie.

- Agent firmy poręczycielskiej - przeczytała. - I co to niby znaczy?

Co to ma wspólnego z Mo?

Przedstawiłam jej skróconą wersję wypadków.

- Na pewno Mo nie zjawił się tylko przez zapomnienie, ale muszę mu przypomnieć, żeby ustalił nową datę rozprawy.

- Nic nie wiem na ten temat - oznajmiła. - Nie widzimy się specjalnie często. Zawsze siedzi w sklepie. Może niech pani idzie do sklepu.

- Nie ma go w sklepie od dwóch dni.

- To do niego niepodobne.

Nic tu nie było podobne do Mo.

Spytałam, czy mają innych krewnych. Powiedziała, że nie, nie bliskich krewnych. Spytałam o inne mieszkanie albo letni domek.

Powiedziała, że nic jej o tym nie wiadomo.

Podziękowałam i wróciłam do buicka. Przyjrzałam się okolicy.

Sennie. Siostra Mo zabarykadowała się w domu. Pewnie zastanawia się, co do cholery dzieje się z

Mo. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że go kryje, ale mój instynkt łowcy podpowiadał, że tak nie jest. Wydawała się szczerze zaskoczona, kiedy jej powiedziałam, że Mo nie stoi dziś za kontuarem i nie sprzedaje gumisiów.

Mogłabym poobserwować jej dom, ale taki zabieg jest nudny i czasochłonny, a w tym przypadku nie wiedziałam, czy wysiłek się opłaci.

Poza tym zaczęłam doznawać dziwnego przeczucia. Odpowiedzialni ludzie, jak Mo, nie zapominając datach rozpraw. Odpowiedziami ludzie, jak Mo, martwią się takimi sprawami. Nie śpią po nocach. Radzą się prawników. I odpowiedzialni ludzie, jak Mo, nie zwijają interesu nie wywiesiwszy przynajmniej kartki w oknie. Może Lula ma rację. Może Mo nie żyje albo leży nieprzytomny w łazience. Wsiadłam z samochodu i ponownie skierowałam kroki do drzwi siostry Mo. Otworzyły się, zanim zdążyłam zapukać. Na czole siostry rysowały się dwie cienkie zmarszczki.

- Coś jeszcze?

- Niepokoję się o Mo. Nie chcę pani denerwować, ale boję się, że może być chory, zbyt słaby, żeby podejść do drzwi.

- Właśnie myślałam o tym samym.

- Ma pani klucz do jego mieszkania?

- Nie, i o ile mi wiadomo, nie ma go nikt oprócz Mo. On jest takim, rozumie pani, samotnikiem.

- Czy zna pani jakichś jego przyjaciół? Czy ma dziewczynę?

- Przykro mi. Nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko. Mo jest dobrym bratem, ale jak powiedziałam, to samotnik.

Po upływie godziny znalazłam się w Miasteczku. Przejechałam przez Ferris i zatrzymałam się za samochodem Luli.

- Jak idzie? - spytałam.

Lula garbiła się za kierownicą czerwonego firebirda.

- Wcale nie idzie. Jezu, jaka nuda. Można dostać śpiączki.

- Nikt nie przyszedł po cukierki?

- Jedna mamuśka z dzieckiem. Koniec.

- Zaglądała na tyły domu?

- Gdzie tam. Spojrzała przez drzwi i poszła sobie.

Zerknęłam na zegarek. Wkrótce skończą się lekcje. Pojawi się masa dzieciaków, ale dzieciaki mnie nie interesowały. Interesowali mnie dorośli, którzy zjawiliby się tu na przykład po to, żeby podlać kwiatki albo wyjąć pocztę.

- Nie ruszaj się stąd - rozkazałam. - Porozmawiam z sąsiadami.

- Nie ruszaj się, ha ha. Zamarznę przecież. Tu nie Floryda, wiesz?

- Wydawało mi się, że chcesz być łowcą nagród. To właśnie robią łowcy nagród.

- Mogłabym się ostatecznie zgodzić, czemu nie, pod warunkiem, że na koniec będę mogła kogoś zastrzelić, ale na to przecież nie ma gwarancji. Słyszę tylko: tego nie rób, tamtego nie wolno. Nie mogę nawet zamknąć skórkojada w bagażniku.

Przeszłam na drugą stronę ulicy i porozmawiałam z następną trójką sąsiadów. Odpowiedzi nie wykaczały poza standard. Nie mieli pojęcia, gdzie podziewa się Mo i sądzili, że mam niezły tupet, skoro nazywam go przestępcą.

W czwartym domu drzwi otworzyła nastolatka. Byłyśmy ubrane niemal identycznie. Martensy, dzinsy, flanelowa koszula na podkoszulek, zbyt mocno pomalowane oczy, masa brązowych kędziorków. Tylko że ona była szczuplejsza o jakieś dziesięć kilo i młodsza o piętnaście lat. Nie zazdrościłam jej młodości, ale nawiedziły mnie wątpliwości odnośnie tego tuzina pączków, które kupiłam w drodze powrotnej i które nawet teraz wołały do mnie z tylnego siedzenia samochodu.

Podaliśmy jej wizytówkę. Otworzyła szeroko oczy.

- Łowca nagród! - powiedziała. - Super!

- Znasz wujka Mo?

- No pewnie, że znam. Wszyscy znają wujka Mo. - Pochyliła się i zniżyła głos.

- Coś zmalował? Ściga go pani?

- Nie zjawił się na rozprawie o wykroczenie. Chcę mu przypomnieć, żeby ustalił nową datę.

- Kurczę, ale fajnie. A jak go pani znajdzie, natłucze go pani i zamknie w bagażniku?

O co chodzi z tymi bagażnikami?

- Nie! Chcę tylko z nim porozmawiać.

- Na pewno zrobił coś okropnego. Na pewno ściga go pani za kanibalizm.

Za kanibalizm? Facet sprzedawał cukierki. Na co mu paluszki od rąk i nóg? Ta dziewczuszka miała nieskazitelną gust w doborze obuwia, ale w jej główce działy się przerażające rzeczy.

- Wiesz o Mo coś, co mogłoby mi pomóc? Czy miał tu jakichś przyjaciół? Widziałaś go ostatnio?

- Parę dni temu widziałam go w sklepie.

- Mogłabyś przeprowadzić dla mnie rozpoznanie? Mój numer jest na wizytówce. Jeśli zobaczysz Mo albo coś podejrzanego, zawiadom mnie.

- To prawie tak, jakbym była łowcą nagród?

- Prawie.

Truchtem wróciłam do Luli.

- W porządku - oznajmiłam. - Możesz wracać do biura. Znalazłam posiłki. Ta dziewczynka będzie się dla nas rozglądać.

- I bardzo dobrze. To już zaczynało być nudne.

Pojechałam w ślad za Lula do biura i zadzwoniłam do mojej koleżanki Normy, która pracuje w Wydziale Pojazdów Mechanicznych.

- Mam nazwisko - powiedziałam. - Potrzebny mi samochód i rejestracja.

- Jakie nazwisko?

- Moses Biedemier.

- Wujek Mo?

- We własnej osobie.

- Nie dam ci informacji o wujku Mo!

Wcisnęłam jej bajeczkę o przełożeniu rozprawy, co zaczynało mnie naprawdę męczyć.

W słuchawce rozległ się klekot klawiszy komputera.

- Jeśli dowiem się, że wujkowi Mo spadł przez ciebie choćby jeden włos, nigdy w życiu nic ci nie powiem.

- Nie zamierzam zrobić mu krzywdy - zapewniłam ją. - Nigdy nikomu nie robię krzywdy.

- A ten gość, którego zabiłaś w sierpniu? A wtedy, jak spaliłaś dom pogrzebowy?

- Dasz mi tę informację czy nie?

- Ma hondę civic rocznik dziewięćdziesiąty drugi. Niebieską. Masz czym pisać? Przeczytam rejestrację.

- Oż ty w życiu - odezwała się Lula zaglądając mi przez ramię. - Coś mi się zdaje, że mamy nowe tropy. Poszukamy tego samochodu?

- Tak. A potem poszukamy klucza do mieszkania Mo. Wszyscy się martwią, że staruszek tkwi zamknięty w domu. Jeśli nie ma się godnych zaufania sąsiadów, chowa się klucz w pobliżu. Pod progiem, pod kamieniem, pod wycieraczką.

Nie zamierzałam się włamywać, ale gdybym znalazła klucz...

- Nie jadłam obiadu - oznajmiła Lula. - Bez obiadu nie pracuję.

Wyciągnęłam torbę pączków i zabrałyśmy się do roboty.

- Dobra, muszę lecieć - powiedziałam po paru minutach otrząsając z koszuli cukier puder i żałując, że nie przestałam na dwóch pączusiach.

- Jadę z tobą - poderwała się Lula. - Ale tym razem to ja prowadzę.

Mam w samochodzie stereo wielkie jak sukinsyn.

- Tylko nie przekraczaj szybkości. Nie chcę, żeby nas zgarnął

funkcjonariusz Gaspick.

- Ho ho. Nosisz ukrytą broń tak jak wujek Mo?

Nie w tej chwili. Moja trzydziestka ósemka leżała sobie spokojnie w domu, na stole w kuchni, w brązowej baryłeczce na ciastka. Cholernie boję się broni.

Wcisnęliśmy się do czerwonego firebirda Luli i pogrzmiałyśmy w stronę Ferris przy łomocie rapu, od którego trzęsły się szyby w okolicznych oknach.

- Przycisz trochę! - ryknęłam po jakimś czasie. - Serce mi nawala!

Lula machała rękaw powietrzu.

- Um pa pa paaa.

- Lula!

Zerknęła na mnie z ukosa.

- Coś mówiłaś? Przyciszyłam radio.

- Zaraz ogłuchniesz.

- Ha - powiedziała Lula.

Przejechałyśmy przez Ferris wypatrując błękitnych hond civic, ale wokół sklepu nie zauważyłyśmy ani jednej. Objechałyśmy sąsiednie ulice.

Ani jednej błękitnej hondy. Zatrzymałyśmy się na rogu Ferris i King i przeszłyśmy zaułkiem za sklepem, zaglądając do wszystkich garaży. W

dalszym ciągu ani jednej błękitnej hondy. Pojedynczy garaż, znajdujący się na końcu małego podwórka sklepu z cukierkami, był pusty.

- Prysnał, skórkojad - oznajmiła Lula. - Zakładam się, że siedzi teraz w Meksyku i pęka ze śmiechu na myśl, że pętamy się po jego podwórku i zaglądamy mu do garażu.

- A co się stało z teorią o trupie w łazience?

Lula miała na sobie wściekle różową puchową kurtkę i botki do kolan z białym sztucznym misiem. Podniosła kołnierz kurtki i zajrzała na tylny ganek.

- Wtedy znalazłybyśmy jego samochód. A gdyby faktycznie odwalił

kitę, już byśmy to poczuły.

To samo sobie pomyślałam.

- Oczywiście mógł się zamknąć w chłodni z lodami - dodała. -

Wtedy nic byśmy nie poczuły, bo by zamarznął. Ale tak się chyba nie stało, ponieważ musiałyby wyjąć wszystkie lody, żeby się zmieścić, a już zajrzałyśmy przez okno i nie widniałyśmy kupy pudeł z rozpuszczonymi lodami. Oczywiście Mo mógłby najpierw je zjeść.

Garaż wujka Mo był drewniany, kryty dachówką, ze staroświeckimi podwójnym drewnianymi drzwiami, stojącymi otworem. Wjazd znajdował się od strony zaułka, ale było też boczne wejście, prowadzące na krótki cementowy chodnik, który biegł na tyły sklepu.

W środku panowały stęchłe ciemności; wzdłuż ścian piętrzyły się opakowania po paluszkach, serwetkach, syropie Hershey'a i oleju samochodowym. W kącie leżały gazety, oczekujące na odniesienie do punktu skupu.

Mo jest osobą popularną i prawdopodobnie ufną, ale pozostawienie otworem garażu, w którym znajdują się zapasy towarów, wydało mi się oznaką nadmiernej wiary w ludzką naturę. Możliwe, że wyjeżdżał w pośpiechu i nie miał głowy do zamykania drzwi. A może nie zamierzał

wrócić. A może zmuszono go do wyjazdu, a porywacze mieli ciekawsze rzeczy do załatwienia, niż pilnowanie drzwi garażu.

Ze wszystkich możliwości ta ostatnia podobała mi się najmniej.

Wyciągnęłam z torebki latarkę i podałam ją Luli, nakazując, by poszukała w garażu klucza do domu.

- Jeśli chodzi o klucze do domu, jestem jak pies myśliwski -

zapewniła. - Nie martw się o klucz. Właściwie już go znalazłam.

Pani Steeger spiorunowała nas zza firanki wzrokiem. Pomachałam jej z uśmiechem, a ona zniknęła. Pewnie złapała za telefon, żeby znowu wezwać policję.

Pomiędzy sklepem i garażem znajdowało się ciasne podwóreczko, raczej nie używane w celach rozrywkowych. Ani śladu bujanych ławeczek, grilli, rdzewiejących na deszczu krzesełek. Chodnik, zdziczała trawa i ubita ziemia. Podeszłam do tylnego wejścia sklepu i zajrzałam do kubłów, stojących pod ceglany murem. Wszystkie były pełne śmieci, porządnie zapakowanych w czarne plastikowe torby. Obok znajdowały się puste kartonowe pudła. Przemknęłam na paluszkach pomiędzy kubłami i pudłami, rozglądając się za ukrytym kluczem. Nie znalazłam niczego.

Pomacałam pod progiem tylnych drzwi sklepu. Wspięłam się po schodkach i przesunęłam dłonią pod balustradą małego ganeczku.

Jeszcze raz zapukałam i spojrzałam w okna.

Lula wyszła z garażu i przemaszerowała przez podwórko. Wdrapała się po schodkach i dumnie podała mi klucz.

- Dobra jestem, co?

Rozdział 2

Włożyłam klucz w zamek yale i drzwi się otworzyły.

- Mo? - ryknęłam. Cisza.

Rozejrzałyśmy się. Zero policji. Zero dzieci. Zero wścibskich sąsiadów. Nasze spojrzenia spotkały się i zgodnie wśliznęłyśmy się do mieszkania. Pospiesznie obezłam mieszkanie, by się upewnić, że Mo nie leży martwy w łazience, sypialni, kuchni czy salonie. W lodówce znajdowało się jedzenie, a w szafie ubrania.

Było czysto i schludnie. Mo nie miał automatycznej sekretarki, więc nie mogłam odsłuchiwać wiadomości. Przeszukałam szuflady, ale nie znalazłam notesu z numerami. Nie znalazłam też pospiesznie zapisanych notatek odnośnie rezerwacji samolotu albo pokoju w hotelu. Nie znalazłam nawet reklamówek Disney Worldu.

Już miałam zejść i przeszukać sklep, kiedy na tylnym ganku pojawił się Carl Costanza. Carl jest jednym z moich ulubionych policjantów.

Razem byliśmy u komunii, między innymi.

- Powinienem się domyślić - powiedział stając z rozstawionymi nogami, wsparty na pasie z bronią. -

Powiniennem się domyślić, że to ty.

- Muszę lecieć - wtrąciła pospiesznie Lula przemykając lekko po schodach. - Widzę, że chcecie sobie spokojnie porozmawiać. Nie będę przeszkadzać.

- Lula! - wrzasnęłam. - Nie waż się odjeżdżać beze mnie! Lula już zniknęła za rogiem.

- Zdaje się, że złapałam katar i nie chcę was zarazić.

- No - powiedział Carl. - Mogę spytać, o co chodzi?

- Chodzi ci o to, że znalazłyśmy się w mieszkaniu wujka Mo? Carl skrzywił się boleśnie.

- Nie opowiesz mi chyba jakiejś idiotycznej bajki?

- Mo nie zjawił się w sądzie. Przyszłam go poszukać, a drzwi stały otworem. Pewnie wiatr je otworzył.

- Aha.

- No i zaczęłyśmy się niepokoić. A jeśli Mo jest chory? Może upadł

w łazience, uderzył się w głowę i stracił przytomność?

Carl uniósł obie ręce.

- Dość. Nie chcę już słyszeć ani słowa. Skończyłaś tutaj?

- Tak.

- Znalazłaś Mo na podłodze w łazience?

- Nie.

- To teraz pewnie wracasz do domu?

- Tak Carl jest fajny, ale pomyślałam, że włamywanie się do sklepu Mo pod jego nosem byłoby jednak prowokowaniem losu, więc zamknęłam drzwi i upewniłam się, że zamek się zatrzasnął.

Kiedy stanęłam na ulicy, okazało się, że Lula zniknęła razem ze swoim czerwonym firebirdem. Podkuliłam ogon i powędrowałam do domu moich rodziców, by wyżebrać od nich podwiezienie.

Rodzice mieszkają w głębi dzielnicy, w wąskim bliźniaku, który w takie zimne dni pachnie jak czekoladowy pudding. Daje to efekt identyczny jak Lorelei, wabiąca śpiewem żeglarzy, którzy następnie rozbijali się na skałach.

Minęłam trzy przecznice i skręciłam w Green. Przeróżliwy mróz kąsał mnie w stopy i dłonie, a uszy bolały tak, że omal nie odpadły.

Miałam na sobie kurtkę z gorteksu z grubą flanelową podpinką, czarny golf i dres z nadrukiem mojej alma mater, college'u Douglass. Nakryłam głowę kapturem i zaciągnęłam sznurówki. Wyglądałam idiotycznie, ale przynajmniej uratowałam uszy.

- Jaka miła niespodzianka - powiedziała matka, stając w drzwiach. -

Mamy na obiad pieczone kurczę. I masę sosu. Tak jak lubisz.

- Nie mogę zostać. Mam coś do zrobienia.

- Co do zrobienia? Masz randkę?

- Nie mam randki. Mam coś do zrobienia w związku z pracą. Babcia Mazurowa wyrzła z kuchni.

- Jejciu, masz sprawę. Kto to jest tym razem?

- Nie znacie. To mała sprawa. Tak naprawdę robię to z uprzejmości.

- Słyszałam, że stary Tom Gates został aresztowany za plucie w kolejce po zasiłek. Szukasz Toma Gatesa? - ucieszyła się babcia.

- Nie. To nie Tom Gates.

- To może ten facet, o którym pisali dziś w gazecie? Ten, który wciągnął motocyklistę za krawat przez okno samochodu.

- To było nieporozumienie - wyjaśniłam. - Pokłócili się o miejsce do zaparkowania.

- No to kogo szukasz? - chciała wiedzieć babcia.

- Mosesa Bedemiera. Matka przeżegnała się.

- Jezus Maria, ścigasz wujka Mo! - Uniosła ręce. - Ten człowiek jest święty!

- Nie jest święty. Aresztowali go za posiadanie ukrytej broni i nie zjawił się w sądzie. Teraz muszę go odnaleźć i wyznaczyć mu następny termin rozprawy.

- Posiadanie ukrytej broni! - matka przewróciła oczami. - Co za kretyn aresztował takiego dobrego człowieka za posiadanie ukrytej broni?

- Funkcjonariusz Gaspick.

- Nie znam żadnego Gaspicka.

- Jest nowy.

- Tak to zawsze bywa z nowymi - oznajmiła babcia. - Nie wiadomo, co im strzeli do głowy. Zakładam się, że ktoś podrzucił tę broń wujkowi Mo. Wszyscy wiedzą, że Mo muchy by nie

skrzywdził.

Zaczęło mnie nudzić słuchanie o Mo i muchach. Zamiast tego zastanowiłam się, kim właściwie jest nasz wspaniały wujek Mo.

Wyglądało na to, że wszyscy go znają, ale nikt nie zna go naprawdę.

Matka patrzyła na mnie jak na zbrodniarkę.

- I jak ja się wytłumaczę? Co ja powiem ludziom?

- Że wykonuję swoją pracę.

- Pracę! Pracę dla tego nicponia, naszego kuzyna. Już nie wystarczy, że latasz jak kot z pęcherzem i strzelasz do ludzi, teraz musisz ścigać wujka Mo, jakby był jakimś przestępcą.

- Zastrzeliłam tylko jednego człowieka! A wujek Mo jest przestępcą.

Złamał prawo.

- Oczywiście nie jest to prawo, o które się specjalnie martwimy -

wtrąciła babcia beztrąsko.

- Czy Mo miał kiedyś żonę? - spytałam. - Ma jakąś przyjaciółkę?

- Ależ skąd!

- Dlaczego: ależ skąd? Coś z nim jest nie tak?

Matka i babcia spojrzały na siebie. Najwyraźniej nigdy nie myślały o tym w ten sposób.

- Mo jest jakby księdzem - zawyrokowała wreszcie babcia. - Tak, jakby poślubił sklep.

O kurczę. Święty Mo, wstrzemięźliwy właściciel sklepu z cukierkami... znany też jako Stary Penisowy Nos.

- Ale bawieć to on się umie - pospieszyła czym prędzej babcia. - Raz słyszałam, jak opowiadał taki kawał o żarówce. Oczywiście nic sprośnego.

On by nigdy sobie na to nie pozwolił. To prawdziwy dżentelmen.

- Wiecie coś o nim? Chodzi do kościoła? Gdzieś należy?

- No, nie wiem - wyznała babcia. - Znam go tylko ze sklepu.

- Kiedy rozmawiałaś z nim po raz ostatni?

- Jakiś miesiąc temu. Wstąpiłyśmy na loda w drodze powrotnej z zakupów. Pamiętasz, Ellen?

- To było przed Bożym Narodzeniem - powiedziała matka.

Zachęciłam je gestem do dalszej pracy umysłowej.

- I?

- I wyglądał zwyczajnie - podjęła matka. - Może trochę bardziej wyłysiał i zrobił mu się większy brzusek. Miał na sobie koszulę z napisem WUJEK MO na kieszonce, jak zawsze. To co z tym kurczakiem?

- Muszę pojechać do Vinniego. Czy ktoś może mnie podwieźć?

- A gdzie twój samochód? - zaciekawiała się natychmiast babcia. -

Znowu ci ukradli?

- Stoi na parkingu Vinniego. To długa historia. Matka wyjęła płaszcz z szafy.

- Ja cię podwiozę. I tak muszę jechać do sklepu. Zadzwoił telefon.

Słuchawkę podniosła babcia.

- Tak - powiedziała. - Tak. Tak. Tak. - Jej twarz zmarszczyła się w grymasie.

- Zrozumiałam. No, czy to nie jest coś pięknego - zwróciła się do nas odkładając słuchawkę. - Dzwoniła Myra Biablocki. Powiedziała, że rozmawiała z Emmą Rodgers i Emma powiedziała jej, że słyszała, iż Stephanie ściga wujka Mo. Myra mówi, że według niej to smutne, kiedy nie ma się nic do roboty, jak tylko nękać takiego dobrego człowieka jak Moses Bedemier.

- Kuzynka Maureen dostała właśnie pracę w fabryce guzików -

poinformowała mnie matka. - Pewnie jeszcze mają wolne miejsca.

- Nie chcę pracować w fabryce guzików. Bardzo lubię moją pracę.

Telefon zadzwonił znowu i wszystkie spojrzałyśmy na siebie.

- Może to pomyłka - podsunęła babcia. Matka wyminęła ją i złapała słuchawkę.

- Tak? - Zaciśnęła usta w cienką linijkę. - Moses Bedemier nie stoi ponad prawem. Lepiej poznaj fakty, zamiast rozgłaszać plotki. A skoro już rozmawiamy, na twoim miejscu umyłabym okna zamiast tracić czas na rozmowy.

- To pewnie Eleanor z końca ulicy - domyśliła się babcia. - Też zauważyłam te okna.

Życie w naszej dzielnicy jest proste. Kościół katolicki rozgrzesza nas ze złych uczynków, brudne

okna budzą powszechne zgorzsenie, plotki napędzają życie i trzeba cholernie uważać, kiedy się krytykuje córkę wobec matki. Nawet, jeśli zarzuty są prawdziwe.

Matka odłożyła słuchawkę, okręciła szyję szalem i wzięła ze stolika w przedpokoju torebkę i kluczyki.

- Idziesz z nami? - rzuciła do babci Mazurowej.

- Muszę obejrzeć program w telewizji. Poza tym ktoś musi odbierać telefony. Matka zadrżała.

- Boże, daj mi siłę.

Po pięciu minutach stałyśmy przed biurem Vinniego.

- Zastanów się nad tą fabryką - powiedziała. - Słyszałam, że dobrze płacą. I dają premie. I ubezpieczenie.

- Zastanowię się - obiecałam. Żadna z nas nie zwróciła większej uwagi na to, co powiedziałam. Obie patrzyłyśmy na mężczyznę opartego o mój samochód.

- Czy to nie Joe Morelli? - spytała matka. - Nie wiedziałam, że nadal się przyjaźnicie.

- Nie przyjaźnimy się i nigdy się nie przyjaźniliśmy -

zaprotestowałam, co było do pewnego stopnia kłamstwem. Stosunki pomiędzy mną i Morellim zmieniały natężenie od bliskich przyjaźni, przez przerażająco przyjazne, po bliskie morderstwa. Kiedy miałam szesnaście lat, to właśnie on odebrał mi cnotę, a w dwa lata później chciałam go rozjechać buickiem ojca. Te dwa incydenty mocno zaważyły na ogólnej atmosferze naszych dalszych kontaktów.

- Zdaje się, że czeka na ciebie. Westchnęłam głęboko.

- Ale mam szczęście.

Morelli był obecnie policjantem. W cywilu. Bardzo dobry układ, ponieważ Morelli ma wąskie biodra i twarde mięśnie i w lewisach wygląda jak nie wiem co. W mundurze by tak nie wyglądał. Jest ode mnie starszy o dwa lata, wyższy o pięć centymetrów, ma cieniutką bliznę przecinającą prawą brew i orła wytatuowanego na piersi. Ten orzeł to pamiątka po przygodzie z marynarką wojenną. Blizna jest bardziej współczesna.

Wysiadłam z samochodu z fałszywym uśmiechem przyklejonym do ust.

- Jejciu, co za miła niespodzianka. Morelli błysnął zębami.

- Kłamczucha.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Unikałaś mnie.

Unikanie było obopólne. W listopadzie Morelli znów pojawił się w moim życiu, a potem nagle... nic.

- Byłam zajęta.

- Tak słyszałam. Uniosłam brew.

- Dwie skargi na podejrzanych osobników jednego dnia plus bezprawne wejście na teren cudzej posiadłości. Wyrabiasz normę?

- Costanza ma długi język.

- Miałaś szczęście, że trafiłaś na Costanzę. Gdyby to był Gaspick, pewnie byś już dzwoniła do Vinniego, żeby wpłacił za ciebie kaucję.

Staliśmy na porywistym wietrze, kuląc się i otulając kurtkami.

- Możemy porozmawiać prywatnie? - spytałam.

- Cholera. Nie lubię, jak tak zaczynasz rozmowę.

- Z wujkiem Mo dzieje się coś dziwnego.

- Jejku.

- Poważnie!

- Dobra. Co masz?

- Przeczucie.

- Gdybym usłyszał to od kogoś innego, już bym odjeżdżał.

- Mo nie zjawił się w sądzie. Dostałby grzywnę i po ptakach. To bez sensu.

- Życie jest bez sensu.

- Szukałam go. Nigdzie go nie ma. Jego samochód zniknął, ale drzwi garażu zostały otwarte. Miał tam różne towary. Nie chciałby ich stracić. To mi się nie podoba. Sklep stoi zamknięty od dwóch dni. Nikt nie wie, gdzie Mo się podziewa. Nawet jego siostra. Ani sąsiedzi.

- Co znalazłaś w mieszkaniu?

- Ubrania w szafie. Jedzenie w lodówce.

- Ślady walki?

- Skąd.

- Może wyjechał, żeby coś przemyśleć. Ma adwokata?

- Odmówił.

- Zdaje się, że przedwcześnie wyciągasz wnioski. Wzruszyłam ramionami.

- Może, ale i tak to dziwne.

- Niepodobne do niego.

- No.

Z delikatesów Fiorellego wyszła pani Turkevich z torbą pełną zakupów. Skinęłam jej głowę.

- Zimno dzisiaj!

- Mmm - usłyszałam w odpowiedzi.

- Hej, to nie moja wina! Wykonuję swoją pracę. Morelli uśmiechnął się szerzej.

- Ciężkie życie obrońców prawa, co?

- Ciągłe pracujesz w obyczajówce?

- W kryminalnej. Od jakiegoś czasu.

- To awans?

- Raczej przeniesienie.

Jakoś nie widziałam Morellego w roli gliniarza z wydziału zabójstw.

Morelli lubił być w centrum wydarzeń. Wydział zabójstw zajmuje się raczej pracą umysłową.

- Jesteś tu w jakiejś sprawie?

- Przechodziłem obok. Pomyślałem, że sprawdzę, co u ciebie.

- Na przykład w sprawie Mosesa Bedemiera?

- Musisz bardziej uważać. Mo ma bardzo opiekuńczych i bardzo hałaśliwych sąsiadów.

Podniosłam kołnierz i zacisnęłam go wokół szyi.

- Nie rozumiem. Dlaczego wszyscy się nad nim tak trzęsą? Morelli wzruszył ramionami.

- To pewnie jeden z tych, których trudno nie kochać. Przyjaciel wszystkich ludzi.

- A mnie się wydaje, że nie przyjaźni się z nikim. Jest bardzo skryty.

Nie zwierza się nawet siostrze. Moja babcia twierdzi, że poślubił własny sklep. Jak ksiądz.

- Wiele osób pozwala, żeby praca zdominowała ich życie. To amerykańska tradycja.

Zapisał pager Morellego.

- Jezu - powiedział Morelli. - Mam nadzieję, że to coś strasznego.

Może dekapitacja albo trup na śmietniku. Wydział zabójstw w Trenton jest jak dom starców.

Otworzyłam drzwi samochodu i usiadłam za kierownicą.

- Daj mi znać, jeśli to będzie coś o Mo.

Morelli miał już w ręku kluczyki od własnego samochodu. Jego czarna toyota stała dokładnie za moim buickiem.

- Nie pakuj się w kłopoty.

Odjechałam, zastanawiając się, co dalej. Sprawdziłam wszystkie informacje podane w umowie o wpłaceniu kaucji. Przeczesałam całą okolicę, rozmawiałam z jedyną siostrą Mo.

Po dziesięciu minutach jazdy znalazłam się na parkingu przed własnym mieszkaniem. W styczniu budynek i parking wyglądają przeraźliwie zimno. Cegła i asfalt, nie osłonięte letnimi liśćmi. Ołowiane niebo, tak ciemne, że latarnie już zostały włączone. Weszłam do windy i wcisnęłam guzik drugiego piętra, zastanawiając się, co też przeoczyłam podczas poszukiwań. Zazwyczaj we wstępnym dochodzeniu pojawia się coś nowego... dziewczyna, hobby, ulubiona piekarnia albo sklep monopolowy. Dzisiaj nic się nie pojawiło.

Drzwi windy otworzyły się; przeszłam krótki korytarz, planując, do kogo zaraz zadzwonię. Mogłabym sprawdzić, czy z konta bankowego Mo nie pobierano ostatnio pieniędzy. Mogłabym też obejrzeć jego kredyty.

Czasami to odsłania ukryte problemy. Trzeba ustalić, czy Mo nie ma drugiego domu. Mogłabym zadzwonić do Sue Ann Grebek, która wie wszystko o wszystkich.

Otworzyłam drzwi mieszkania, weszłam do cichego wnętrza i dokonałam inspekcji. Chomik Rex spał w klatce, w puszcze po zupie. Na automatycznej sekretarce nie migały światelka. Nie słyszałam żadnych odgłosów zdradzających obecność wielkich, włochatych, zębatych gości pod łóżkiem.

Rzuciłam torebkę na stół w kuchni i powiesiłam kurtkę na krześle.

Nalałam do kubka mleka, podgrzewałam je przez dwie minuty i wrzuciłam do niego dwie łyżki czekolady w proszku. Dodałam jeszcze dwie pianki i podczas gdy wszystko to rozpuszczało się na paczkę, zrobiłam sobie kanapkę z masła orzechowego i tuczącego, bezwartościowego białego chleba.

Wszystko to plus bezprzewodowy telefon zaniiosłam do salonu i zadzwoniłam do Sue Ann.

- Stephanie, Stephanie, Stephanie - powiedziała Sue Ann. - Telefon mi się urywa przez ciebie. Wszyscy mówią o tym, jak to ścigasz wujka Mo.

- Nie ścigam wujka Mo. Musi ustalić nową datę rozprawy. To nic wielkiego.

- Więc dlaczego wszyscy robią z tego takie wielkie halo?

- Ty mi to powiedz.

- Nie wiem. Nie ma o czym mówić. Wszyscy go lubią. Pilnuje własnych spraw. Jest miły dla dzieci.

- Na pewno jest coś więcej. Nie słyszałaś żadnych plotek?

- Obchodzi cię, czy są prawdziwe?

- Ani trochę.

- A więc, innymi słowy, chodzi ci o bezpodstawne oszczerstwa.

- Właśnie. Milczenie.

- Więc?

- Moja siostrzenica mówi, że czasami Mo cuchnie pawiem.

- Błę.

- I tyle.

- To niewiele.

- On jest święty. Co mogę powiedzieć?

- Święci nie cuchną pawiem.

- Może starzy tak.

Po rozmowie z Sue Ann zjadłam kanapkę, wypiałam kakao i zaczęłam myśleć o Mosesie Bedemierze. W jego mieszkaniu panował ład, meble były zużyte, lecz wygodne.

Tak jak u mnie. Telewizor stanowił centralny punkt salonu.

Program telewizyjny na stoliku do kawy miał datę sprzed tygodnia.

Jedzenie w lodówce proste. Mięso, chleb, sok, mleko.

Mo żył samotnie od niepamiętnych czasów i podejrzewałam, że jego życie toczy się głównie dzięki rutynie. Żadnych specjalnych niespodzianek. Jedynym zgrzytem były magazyny filmowe. W sypialni znalazłam ich cały stosik. Moses Bedemier chyba czytywał do poduszki ploteczki o gwiazdach mydlanych oper.

Zadzwoiłam do kuzynki Bunnie z biura kredytowego i znowu poniosłam klęskę. W aktach personalnych i zawodowych wujka Mo nie odnotowano ostatnio żadnych zmian.

Wyciągnęłam się na krześle i wbiłam tępy wzrok w nicość. Szyby w oknach były czarne i lśniące. Od czasu do czasu światła samochodu omiatały parking na dole. Trzaskały drzwiczki wozów. Sąsiedzi wracali po ciężkim dniu pracy.

Mo zaginął i nie miałam żadnych poszlak ani nie wiedziałam, jak ich szukać. Wykorzystałam wszystkie zwykłe pomysły. Pozostawało mi tylko czekać. A czekanie jest moją najmocniejszą stroną.

Zaniosłam talerze do kuchni i znowu zastanowiłam się nad wujkiem Mo. Problem ze znalezieniem zaginionej osoby polega na tym, że może się ona znajdować bardzo daleko. Ja przeszukuję całe Trenton, a Moses Bedemier opala się na Gwadelupie w grubych okularach i ze sztucznym nosem. Prawda wygląda tak, że naprawdę diabli zanieśli go na Gwadelupę, to jestem fatalnie przegrana. Doszłam do wniosku, że lepiej o tym nie myśleć. Muszę przyjąć, że Mo znajduje się blisko domu i wtedy poczuję przypływ nadziei. Ludzie przeważnie przebywają blisko domu.

Byłoby lepiej dla nich, gdyby uciekli gdzie pieprz rośnie, ale miejsce gdzie pieprz rośnie niekoniecznie oznacza bezpieczeństwo. Dom oznacza.

Wcześniej czy później większość zbiegów pojawia się u krewnych, dziewczyn, znajomych. Zwykle wcześniej niż później.

Zmieniłam flanelową koszulę na sweter Rangersów i włączyłam telewizor. Być może mogłam zadzwonić jeszcze do kogoś, ale Rangersi właśnie grali mecz, a priorytety to priorytety.

Budzik zadzwonił o siódmej rano. Walnęłam drania i spojrzałam na tarczę, mawiając się, dlaczego nastawiłam go na tak nieludzką godzinę.

Nie zauważyłam ani śladu słońca, w ogóle, a o szyby bębnił deszcz. Nawet w najlepszą pogodę poranek nie jest moją ulubioną porą dnia, a to nie była najlepsza pogoda.

Kiedy obudziłam się znowu, dochodziło wpół do dziewiątej. Deszcz ciągle zacinał w okna, ale przynajmniej niebo zmieniło kolor z czarnego na siny. Zwlokłam się z łóżka i poczłapałam do łazienki, gdzie przez pewien czas przysypiałam pod prysznicem. Myślałam o Melu Gibsonie i Joem Morellim i próbowałam, zdecydować, który ma lepszy tyłek. Potem pomyślałam o Mike'u Richterze, facecie z Rangersów, ponieważ też był

nie od macochy.

Przy wycieraniu włosów przeszłam od Richtera do wujka Mo.

Wniosek, do którego doszłam, sprowadzał się do tego, że zapędziłam się w kozi róg. Intuicja podpowiadała mi, że wujek Mo nie odszedł daleko i w końcu się pojawi. Niestety, termin „w końcu” nie cieszy się wielkim powodzeniem w słowniku łowcy nagród. „W końcu” nie zapłaci ci za mieszkanie.

Poraziłam fryzurę potwornie mocnym lakierem, przywdziałam zwyczajowy uniform składający się z dżinsów i flanelowej koszuli, po czym jednym szarpnięciem rozsunałam zasłony sypialni.

Zaśpiewałam „Słoneczko nasze, pokaż buzię”, ale słoneczko mnie zlekceważyło. W związku z tym ponownie odwiedziłam garderobę i dodałam do mojego przyodziewku parę grubych skarpetek i bluzę.

Z braku innych zajęć pojechałam do biura. Po drodze minęłam punkt sprzedaży używanych samochodów i tęsknie przyjrzałam się ofercie. Każdego ranka budzę się z nadzieją, że święty Mikołaj przyniesie

mi nowy samochód i codziennie doznaję zawodu. Może pora wziąć sprawę we własne ręce.

Zaparkowałam i spojrzałam przez ścianę deszczu na wystawione samochody. Wszystkie beznadziejne... z wyjątkiem małego błękitnego nissana na samym końcu. Ten mały błękitny nissan był po prostu SŁODKI. Musiałam przyjrzeć się mu z bliska. Nowy lakier. Siedzenia z lekka zniszczone, ale nie podarte.

Mężczyzna w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym podbiegł do mnie truchtem.

- Chce pani kupić ten samochód?

- Ile kosztuje?

- Dla pani? Dogadamy się. Rocznik osiemdziesiąty czwarty. Daje czadu jak nowy. Zajrzałam do książeczki czekowej.

- Chyba nie mogę sobie na niego pozwolić.

- E tam - usłyszałam. - Dajemy dobre warunki. W ogóle pani tego nie poczuje.

- Będę musiała przejechać się na próbę.

- Pani chwilę zaczeka, zaraz przyniosę tablice.

Dokonałam jazdy próbnej wokół dzielnicy i ubiłam targu. Najwyżej nie będę jeść pomarańczy. I przestanę wypożyczać kasety wideo. Te poświęcenia zostaną mi wynagrodzone. Mam samochodzik!

Lula podniosła głowę znad katalogów, kiedy wmaszerowałam do biura zalewając deszczem praktyczną wykładzinę.

- Dobrze, że nie robiłaś sobie dzisiaj fryzury - powiedziała.

Przejechałam dłonią po mokrej katastrofie, jaką miałam na głowie.

- Piękno tkwi w tobie.

- Ha - odrzekła Lula. - Jakaś smętna bajeczka.

- Szef u siebie? - spytałam Connie.

- Jeszcze nie.

Wbiłam się w brązową skajową kanapkę.

- Nie mam szczęścia z wujkiem Mo i potrzebuję pieniędzy. Masz jakieś szybkie numerki?

- Tylko jeden, a i to debil. Stuart Baggett. - Wyjęła teczkę z pudła spraw do załatwienia i otworzyła ją. - Dwadzieścia dwa lata. Biały mężczyzna. Metr siedemdziesiąt. Przyłapany trzy tygodnie temu jak po pijanemu, wraz z dwoma kolesiami ostrzelał czternaście samochodów na parkingu. Wiatrówką. Nie zjawił się na rozprawie i jest uważany za zbiega... oraz idiotę. Dwa z tych samochodów to policyjne radiowozy.

Zdziwiłam się, że policjanci w ogóle zauważyli jakąś różnicę.

Policyjne samochody w Trenton nie sunęły w mrok niczym drapieźniki.

Wszystkie wyglądały, jakby przeżyły Bośnię.

Wzięłam teczkę od Connie.

- Mieszka na Applegate razem z rodzicami - powiedziała. - Pracuje w stoisku z hot dogami w centrum handlowym.

Zadzwoiłam do jego domu i porozmawiałam z matką. Spytałam, czy Stuart dzisiaj pracuje i usłyszałam, że tak, do czwartej.

- Chętnie przejdę się do centrum - oznajmiła Lula. - Zrobię sobie przerwę i przyjrzę się twojej technice aresztowania.

- Nie będzie żadnej techniki - powiedziałam. - To tylko jakiś idiota, który się upił i zrobił głupi kawał. Albo zapomniał o dacie rozprawy, albo wstydził się pokazać w sądzie.

- No tak, ale my mu pokażemy, nie? Sprzedasz mu jakąś bajeczkę i wywabisz go na parking, a tam skujemy drania kajdankami i wkopujemy do samochodu.

- Zamierzam bardzo grzecznie poinformować go o zaistniałym niedopatrzeniu i poprosić, żeby poszedł razem ze mną i ustalił następną datę rozprawy.

- Z tego nigdy nie zrobią serialu - zniechęciła się Lula.

- Jeśli będziecie przechodzić koło Macy's, kupcie mi lakier. Jakiś naprawdę czerwony - powiedziała Connie.

Wrzuciłam akta do mojej wielkiej czarnej torby i zapięłam kurtkę.

Lula wbiła się w długi ciemnobrązowy prochowiec z impregnowanego płótna i nasadziła na głowę równie brązowy skórzany kowbojski kapelusz.

- Wyglądam jak łowca nagród, nie? - pochwaliła się.

Miałam nadzieję, że biedny Stuart Bagget nie padnie trupem na sam jej widok. Drzwi otworzyły się i ze ściany deszczu wyłonił się Ranger.

Ranger był moim mistrzem, kiedy wdrażałam się do zawodu i stanowił wzór wielkiego, złego łowcy nagród. W tym przypadku zły oznaczało niesamowicie fajny. W wojsku był jednym z tych facetów, którzy wychodzą w noc w przebraniu, jedzą korę z drzew i robaki i jedną ręką pokonują cały element wywrotowy trzeciego świata. Teraz jest cywilem - do pewnego stopnia - i czasami pracuje dla Vinniego.

Prawdopodobnie mieszka gdzieś niedaleko wraz ze swymi kubańskimi krewnymi i wie o wszystkim, czego ja nigdy w życiu nie poznam.

Czarne włosy zaczesuje gładko w kucyk, ubiera się w czerń i khaki, ma brzuch jak tara, bicepsy z żelazobetonu i refleks grzechotnika.

Na widok Luli w przyodziewku z Dzikiego Zachodu jego usta lekko zadrgały. Moją obecność zaznaczył kontaktem wzrokowym i niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy, co w jego sposobie zachowania było odpowiednikiem wycelowania z dubeltówki.

- Gratulacje - powiedziałam. - Słyszałam, że złapałeś Jesusa Rodriguesa.

Jesus Rodrigues uciekł po wpłaceniu za niego kaucji pięciuset tysięcy dolarów i był szaleńcem pierwszej klasy. Ranger zawsze dostawał

najlepszych. I dobrze. Nie mam tendencji samobójczych.

- Szczęście mi dopisało - powiedział Ranger i wyciągnął z kieszeni zaświadczenie dostarczenia policji poszukiwanego ciała.

Podszedł do biurka Connie. Myślałam, że Lula padnie trupem na miejscu. Przycisnęła rękę do serca i wyszła, zataczając się.

- Dostaję zawału za każdym razem, kiedy go widzę - wyznała.

Znaleźć się obok tego faceta, to jak znaleźć się obok pioruna. Włosy jeżą mi się na całym ciele.

- Zdaje się, że oglądałaś „Z Archiwum X”.

- Hmmm - Lula obrzuciła niechętnym spojrzeniem kluczyki. Może znowu weźmiemy mój samochód? Ten twój buick nie mówi: „Stać, łowcy nagród”, chwytasz? Nie wygląda jak samochód Starsky’ego i Hutch’a.

Musisz popracować nad swoim imażem. Musisz kupić sobie taki faszystowski płaszcz, mieć samochód z prawdziwymi kołami i musisz się utlenić. Mówię ci, złotko, blond to jest to.

- Mam nowy samochód - oznajmiłam wskazując nissana. Kupiłam go dziś rano.

- Po podpisaniu dokumentów przywlokłam ze sobą ojca, żeby zabrał buicka do domu. Do pracy przyjechałam nowym samochodem.

Popelniasz błąd, powiedział ojciec. Japończycy nie potrafią robić samochodów dla Amerykanów. Ten gruchot nawet w połowie nie jest taki jak buick.

Właśnie dlatego go kupiłam. Nawet w połowie nie był taki jak buick.

- Jaki słodziutki - ucieszyła się Lula. - Śliczne małeństwo! Zajrzała przez okno.

- Pewnie nie pozwolisz mi poprowadzić? Zawsze chciałam poprowadzić taką malusieńką furgoneteczkę.

- No, dobrze. - Podałam jej kluczyki. - Może być.

Lula zapuściła silnik i ruszyliśmy. Zaczął zacinać deszcz ze śniegiem; igiełki lodu stukały o przednią szybę. Brudna, rozpuszczająca się packa przyłgnęła do wycieraczek i obramowała łuk oczyszczonego szkła.

Przyjrzałam się fotografii dołączonej do dokumentów i zapamiętałam widniejącą na niej twarz. Nie miałam ochoty napaść na bogu ducha winnego człowieka. Otworzyłam torebkę i dokonałam szybkiego inwentarzu stanu posiadania. Spray z pieprzem, którego nie wolno używać w zatłoczonym sklepie. Posiadałam też szoker, ale po bliższych oględzinach okazało się, że wymaga nowej baterii. Dwie pary kajdanek były w znakomitym stanie, znalazłam też niemal całe opakowanie lakieru do włosów. No dobrze, może nie byłam najlepiej wyposażonym łowcą nagród. Ale po co mi armata do złapania staruszka z nosem jak penis i nieudacznika sprzedającego hot dogi?

- Trzeba podejść do tego profesjonalnie - odezwała się Lula. -

Musimy mieć plan.

- To może najpierw kupimy lakier, a potem złapiemy chłopaka?

- Tak, ale jak? Staniemy w ogonku, a kiedy nadejdzie nasza kolej, powiemy: dwa hot dogi z chili i jesteś aresztowany?

- Nie będzie aż takiego kłopotu. Weźmiemy go na bok, pokażemy mu mój identyfikator i wyjaśnimy procedurę.

- I myślisz, że będzie tak stał i czekał? Mówimy o zbiegu i przestępcy!

Lula dodała gazu i zmieniła pas. Obryzgałyśmy brudną breją bardziej ostrożnych kierowców i wskoczyłyśmy przed nich. Grzejnik pracował całą parą i czułam, że brwi zaczynają mi się tlić.

- I co? - zwróciłam się do Luli z dumą. - Dobrze jedzie, co? I ma fajny grzejnik. Przed nami błysnęły tylne światła, czerwone zmały za usmarowaną szybą, a Lula w milczeniu wpatrywała się przed siebie.

- Lula?

Brak odpowiedzi.

- Lula, hm, te samochody stoją - powiedziałam nieśmiało. Nie chciałam jej urazić, ale zaczęłam podejrzewać, że Lula przeżywa właśnie pozacielesne doznanie.

- E, LULA! - wrzasnęłam. - SAMOCHODY!!! Lula wybałuszyła oczy i wdepnęła hamulec.

- Jasny gwint!

Nissan przejechał poślizgiem dwa metry, omijając ciężarówkę o pół centymetra. Zrobiłyśmy obrót o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymałyśmy się tyłem do kierunku jazdy.

- Za lekki z tyłu - pouczyła mnie Lula. - Powinnaś obciążyć tylne koła. Przede wszystkim miałam ochotę pozbyć się balastu w postaci studwudziestokilowej baby za kierownicą.

- Może teraz ja poprowadzę?

- Już mi lepiej - zapewniła Lula i dołączyła do sznura samochodów.

- To tylko dlatego, że jeszcze nigdy nie byłam przy aresztowaniu.

- To całkiem jak odbieranie bielizny z pralni. Idziesz do kobiety.

Pokazujesz jej paragon. Dostajesz rzeczy. Tylko w tym przypadku odwieziemy naszą rzecz na policję.

- Drogę na policję znam bardzo dobrze - oświadczyła.

Rozdział 3

Zatrzymałyśmy się przy kompleksie handlowym, przed wejściem znajdującym się najbliżej stoiska z

hot dogami, i pobrnęłyśmy, przez deszcz, śnieg i błotnistą breję. Wmaszerowałyśmy prosto do Macy's, a ludzie ustępowali nam z drogi i z rozdziawionymi gębami gapili się na Lulę w westernowym przebraniu.

- No, no, patrz tylko - powiedziała Lula. - Sprzedają torebki. Fajna jest ta Czerwona ze złotym łańcuszkiem.

Przystanęłyśmy przed czerwoną torebką i zrobiłyśmy z nią próbną jazdę.

- Ciężko powiedzieć przy tym wielkim płaszczu - stwierdziła Lula.

Sprzedawczyni czaiła się już w pobliżu.

- Jeśli chce pani zdjąć płaszcz, chętnie go potrzynam.

- No pewnie, że chcę - odrzekła Lula - ale to by nie był dobry pomysł. Jesteśmy łowcami nagród i pod tym płaszczem mam broń.

- Łowcy nagród? - sprzedawczynię zatkało. Termin wydał jej się chyba jednoznaczny z określeniem „truciciel karaluchów”.

Zdjęłam Luli torebkę z ramienia i odłożyłam ją na kontuar.

Chwyciłam swoją asystentkę za łokieć i powlokłam za sobą.

- Chyba nie masz pod tym płaszczem broni, co? - syknęłam.

- Kobieta musi się bronić.

Bałam się zapytać, jaki to rodzaj broni. Pewnie karabin albo pancerfaust.

- Musimy kupić lakier dla Connie - zarządziłam. - Czerwony.

Lula zatrzymała się przy stoisku z perfumami i popsikała się czymś z testera.

- Jak sądzisz?

- Jeśli to nie wywietrzeje, zanim wrócimy do samochodu, pojedziesz do domu autobusem.

Psiknęła się czymś innym.

- A to?

- Koniec z perfumami! Nos mi odpadnie!

- Jeju, ani torebek, ani perfum. Nie znasz się na robieniu zakupów, co?

- Co sądzisz o tych? - Wybrałam dwa kolory i postawiłam przed nią.

- Ten z lewej to przyzwoita czerwień. Jakby ktoś zabutelkował krew prosto z tętnicy. Dracula by oszalał ze szczęścia.

Uznałam, że skoro lakier jest dobry dla Draculi, spodoba się też Connie.

Dokonałam zakupu i zajęłyśmy się szminkami. Pomazałyśmy się kilkoma, wypróbując je na wierzchu dłoni, ale żadna nie wydała się nam warta grzechu.

Przeszłyśmy przez dom towarowy w poszukiwaniu stoiska z hot dogami. Dzięki pogodzie i porze dnia było dość pusto. To dobrze.

Zrobimy z siebie mniejszy cyrk. Nikt nie kupował hot dogów. Przy ladzie stała jedna osoba. Tą osobą był Stuart Baggett, jeśli wierzyć plastikowej tabliczce, która miał przypiętą do koszuli.

Do szczęścia potrzebny był mi skinhead z gębą pełną pryszczycy. Albo wielki tępą osiłek. Potrzebowałam jasno określonej sytuacji. Nie chciałam kolejnego fiaska, jak z Mo. Chciałam spotkania czarnego charakteru z dobrym łowcą nagród.

A dostałam Stuarta Baggetta, metr siedemdziesiąt, z krótko ostrzyżonymi jasnymi włoskami i oczami cocker spaniela. W duchu skrzywiłam się bardzo brzydko. Znowu wyjdę na idiotkę.

- Pamiętaj - upomniałam Lulę. - Ja gadam. I przede wszystkim, nie strzelaj do niego.

- Chyba, że zacznie coś knuć.

- On nie będzie knuć! A nawet jeśli, **MASZ NIE STRZELAĆ!**

- Ha - obraziła się Lula. - Ani torebki, ani perfum, ani strzelania.

Jesteś strasznie zasadnicza, wiesz?

Oparłam obie dłonie na ladzie.

- Stuart Baggett?

- Tak jest - powiedział grzecznie i sympatycznie. - Co podać? Hot doga z chili? Paróweczkę? Cheesburgera?

Pokazałam mu identyfikator i powiedziałam, że reprezentuję firmę poręczycielską. Zamrugał powiekami.

- Firmę poręczycielską?

- Taa - odezwała się Lula. - Tego włoskiego zbrojeńca, co wyciągnął

twoją białą dupcię z kicia.

Stuart nadal wyglądał tak, jakby nie rozumiał.

- Nie zjawił się pan na rozprawie - podpowiedziałam. Twarz rozjaśniła się mu, jakby ktoś zapalił światło.

- A! Rozprawa! Bardzo przepraszam, ale musiałem pracować. Mój szef, Eddie Rosenberg, nie znalazł zastępstwa.

- Czy poinformował pan sąd o tym fakcie i poprosił o przełożenie daty rozprawy?

Na jego twarzy znów odbił się doskonały brak myśli.

- A powinienem?

- Oż ty w życiu - mruknęła Lula.

- Musi pan zgłosić się do sądu - wyjaśniłam. - Podwiozę pana do miasta.

- Nie mogę tak po prostu odejść. Tylko ja tu dzisiaj pracuję. Muszę pracować do dziewiątej.

- Może zadzwoni pan do szefa, żeby znalazł kogoś na zastępstwo.

- Jutro mam wolne. Mogę przyjść jutro.

Z pozoru wydawało się to całkiem rozsądnym pomysłem. Jednak moje doświadczenie, choć skromne, podpowiadało mi, że jest inaczej.

Gdybym zjawiła się jutro, Stuart mógłby mieć niecierpiące zwłoki sprawy, które wykluczałyby wizytę w pudle.

- Lepiej, żeby pojechał pan już teraz - oznajmiłam.

- To by było nieodpowiedzialne - powiedział Stuart z błyskiem paniki w oku.

- Teraz nie mogę. Lula stęknęła.

- Nie zrobisz tu majątku. Na dworze szaleje burza śniegowa. Nie bądź dzieckiem, Stuart.

- Czy ona też pracuje dla firmy poręczycielskiej? - upewnił się Stuart z obawą.

- Jasne, pysiu - zapewniła Lula.

Rozejrzałam się po domu towarowym, a potem spojrzałam na Stuarta i jego stragan.

- Ona ma rację - powiedziałam. - Tu nie ma ludzi.

- No tak, ale kielbaski już się smażą.

Sięgnęłam do portmonetki i wyciągnęłam dwudziestaka.

- Masz, to wystarczy za wszystkie. Wywal kiełbaski do kosza i zamykaj interes.

- No, nie wiem - zawahał się Stuart. - To dobre kiełbaski. Nie można ich wyrzucać.

W duchu zaczęłam zgrzytać zębami.

- Dobra, zapakuj je. Zabierzemy je ze sobą.

- Ja chcę dwa hot dogi z chili - zareagowała natychmiast Lula. - A potem dwie parówki z musztardą. Macie takie pozwijane frytki?

Stuart spojrział na mnie.

- A pani? Jak podać resztę hot dogów?

- Bez niczego.

- Ha - wtrąciła Lula. - Lepiej kupić parę hot dogów z chili dla Connie. Będzie cholernie zawiedziona, kiedy ja zacznę zajadać hot doga z chili, a dla niej zostaną te suche buły.

- Dobra, dobra! Jeszcze dwa hot dogi z chili - rzuciłam. - Resztę wrzuc luzem do torby.

- A picie? - spytała Lula. - Nie przełknę tych hot dogów na sucho.

Zamówiłam jeszcze trzy średnie porcje frytek i trzy duże piwa korzenne. Wysupłałam kolejnego dwudziestaka.

Stuart zadzwonił do szefa i sprzedał mu smutną opowieść o tym, jak to strasznie czuje się chory i jak zarzuje cały stragan, i że sprzedał

wszystkie hot dogi, a w domu towarowym i tak nikogo nie ma z powodu pogody, i że idzie do domu.

Zamknęliśmy kiosk i wyszliśmy, uginając się pod ciężarem toreb.

Na parkingu leżały jeszcze resztki mokrego śniegu, ale znowu padał

czysty deszcz. Wepchnęliśmy Stuarta i torby pomiędzy nas i w milczeniu pojechaliśmy do Trenton. Od czasu do czasu spoglądałam na minę chłopaka. Był blady. Podejrzewałam, że nie starał się specjalnie, żeby umówić się na rozprawę. Wyglądał jak ktoś, kto zużył wszystkie siły na obronę i nie miał już nic do dodania. Coś mi się zdaje, że drobna figurka i słodka buzia nie sprzedają się za dobrze, kiedy pora dorosnąć.

Gdyby nie strzelał do policyjnych samochodów, pewnie nie kazaliby mu nawet wpłacić kaucji. A gdyby grał zgodnie z regułami, pewnie wymierziliby mu grzywnę i przydzielili kuratora. New Jersey ma prawdziwych kryminalistów po uszy. Nie sądzę, żeby system penitencjarny miał ochotę zawracać

sobie głowę takimi amatorami jak on.

Lula skręciła do centrum, zatrzymała się na światłach i wtedy mój nowy samochodzik zgasł. Znowu uruchomiła silnik, który przez parę sekund chrząkał w bardzo dziwny sposób, a potem znowu zgasł.

- Może źle wciskasz sprzęgło - zasugerowałam z niepokojem.

- Wydaje mi się, że umiem wciskać sprzęgło - obraziła się Lula. -

Wydaje mi się, że kupiłaś starego gruchota.

- Daj, ja spróbuję - powiedziałam otwierając drzwi po swojej stronie. Lula stanęła na poboczu i przyglądała się moim wysiłkom.

- Oszukano cię - oznajmiła. - Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Zastartowałam, przejechałam dwa metry i silnik znowu zgasł.

- Może powinniśmy zajrzeć pod maskę - podsunęła Lula. - Może masz w silniku kota. Mój sąsiad Midgie miał raz kota w silniku. Zanim się zorientował, co jest grane i zajrzał pod maskę, kot wyglądał jak przepuszczony przez wentylator.

Stuart zrobił straszną minę i pozieleniał.

- To się zdarza - ciągnęła Lula. - Jest im zimno i chcą się ogrzać przy silniku. Potem zasypiają, a kiedy włączasz silnik... otrzymujesz gulasz z kota.

Podniosłam maskę i razem zaczęliśmy szukać kota.

- Nie, to chyba nie to - zawyrokowała Lula. - Nie widzę kocich flaków. Zatrzasnęliśmy maskę i Lula usiadła za kierownicą.

- Dam sobie radę - oznajmiła. - Trzeba tylko rozgrzać silnik, to nie będzie gasł. Przejechałyśmy dwie przecznice i z dreszczem zauważyłyśmy kolejne światła. Lula zwolniła przy ostatnim samochodzie.

- Spokojna głowa - zapewniła. - Wszystko pod kontrolą.

Przycisnęła pedał gazu. Silnik zakaszłał. Lula przycisnęła pedał

mocniej i nagle mój nissan wyprysnął do przodu i wbił się w zderzak samochodu przed nami.

- Ups - powiedziała Lula.

Wysiedliśmy, żeby ocenić straty. Samochód przed nami miał

paskudne wgniecenie, a nissan odbity lakier i wielką dziurę w zderzaku.

Facet z samochodu przed nami nie był zadowolony.

- Może byście otworzyły oczy, jak jedziecie? - wrzasnął na Lulę. -

Może byście nauczyły się prowadzić?

- Nie wrzeszcz pan na mnie - powiedziała Lula z godnością. - Nie znoszę tego. A poza tym tak się składa, że jeżdżę doskonale. Tylko mój pojazd nie działa jak należy.

- Ma pani ubezpieczenie? - chciał wiedzieć mężczyzna.

- A żebyś pan wiedział, że mam - odparowała Lula. - I nie tylko mam, ale jeszcze zgłoszę wszystko w raporcie. A w tym raporcie napiszę, że światła hamowania pańskiego gruchota są całe zaklejone brudem i śniegiem, co miało znaczny wpływ na to, co się stało.

Wymieniliśmy informacje i razem z Lula wróciłyśmy do nissana.

- Oho - powiedziała Lula, otworzywszy drzwi od strony kierowcy. -

Nie widzę Stuarta Baggetta. Stuart Baggett zrobił sztuczkę ze znikaniem.

Za nami stał rząd samochodów, które objeżdżały nas jeden po drugim. Wsiadłam do samochodu, żeby mieć lepszą widoczność i rozejrzałam się na wszystkie strony, ale Stuart zniknął jak sen jaki złoty.

Grzmotnęłam się w głowę z całej siły. Idiotka, idiotka, idiotka. Nawet go nie skułam.

- Wydawał się za głupi, żeby uciec - zauważyła Lula.

- Zwodniczo słodki.

- Tak, właśnie tak. Zwodniczo słodki.

- Chyba powinniśmy pojechać na policję i złożyć oświadczenie o wypadku.

- Tak, i nie zapominajmy o brudnych reflektorach. Towarzystwa ubezpieczeniowe uwielbiają takie głupoty.

Wcisnęłam się na miejsce obok Luli i przez całą drogę rozglądałyśmy się za Stuartem, ale do tego czasu nie pozostało po nim ani śladu.

Kiedy wreszcie zatrzymałyśmy się na parkingu budynku mieszczącego sąd i posterunek policji, Lula nagle zrobiła się nerwowa.

- Będę ci wdzięczna, jeśli pójdziesz sama - powiedziała. - Nie chciałabym, żeby ktoś źle zrozumiał moją obecność na policji. Zdaje się, że gdyby zobaczyli mnie siedzącą w poczekalni, od ręki zabraliby mi zegarek i sznurówki.

Położyłam dłoń na klamce.

- Ale nie zostawisz mnie znowu samej, co?

- Kto, ja?

Wypełnianie formularzy zajęło mi pół godziny. Kiedy wreszcie opuściłam budynek, na parkingu nie było błękitnego nissana. Nie zaskoczyło mnie to. Wróciłam na posterunek i zadzwoniłam do biura.

- Znowu mnie zostawiła - powiedziałam do Connie. Usłyszałam szelest papieru i odgłos przełykania.

- Co się tam dzieje? - spytałam. - Jesz hot doga? Daj Lula.

- Sie ma - odezwała się Lula. - Co słyhać?

- Mokro, zimno i samotnie. Oto, co słyhać. I jestem głodna. Lepiej, żebyście nie pożarły wszystkich hot dogów.

- Właściwie chcieliśmy na ciebie poczekać, ale jedzenie nie mogło tak stać i stygnąć.

Nastąpiła chwila ciszy. Usłyszałam odgłos popijania.

- Podwieźć cię? - spytała wreszcie Lula. - Mogłabym po ciebie podjechać.

- Byłoby miło.

Pół godziny później znalazłyśmy się znów w biurze. Zastałyśmy tam koleżankę Luli, prostytutkę Jackie, która jadła hot doga.

- Cześć, mała - zakrzyknęła Lula. - Przyszłaś do mnie?

- Nie - odrzekła Jackie. - Przyszłam do Stephanie. Connie wręczyła mi zimnego hot doga.

- Jackie ma problemy z facetem.

- Tak - warknęła Jackie. - Z nieobecnym facetem. Lula pochyliła się ku niej.

- Chcesz powiedzieć, że twój stary odpłynął w siną dal?

- Tak, właśnie to chcę powiedzieć. Stałam na rogu na tym cholernym zimnie, robiłam co do mnie należy, żeby wesprzeć tego łamagę i takie właśnie podziękowanie otrzymuję. Żadnej kartki. Ani słowa na do widzenia. W ogóle nic. Ale nie to jest najgorsze. Ten łachudra zabrał mój wóz!

Lula spojrzała na nią ze zgrozą.

- Zabrał chryslera?

- Otóż to, siostró. Zabrał chryslera. Ciągłe jeszcze go spłacam.

Dojadłam hot doga i wręczyłam Connie małą torebkę z lakierem.

- Winnie się już pokazał?

- Nie. Jeszcze nie przyszedł.

- Pewnie odstawia południowy numerek - powiedziała Lula. - Ten facet ma problemy z testosteronem.

- No więc przyszedłam do ciebie po pomoc, jeżeli jesteś dobra w znajdowaniu zaginionych rzeczy - zwróciła się do mnie Jackie. - Mam pieniądze. Mogę zapłacić.

- Ona jest najlepsza - zapewniła ją Lula. - Stephanie znajdzie ci każde gówno, jakie ci się spodoba. Chcesz, żeby znalazła twojego starego?

Załatwione.

- Co ty, na co mi ten menel. Chcę z powrotem mój samochód -
powiedziała Jackie.

- Jak mam żyć bez samochodu? Dzisiaj musiałam wziąć taksówkę.

A jak mam prowadzić interes w taką pogodę, jeśli nie mam tylnego siedzenia? Myślicie, że wszyscy goście mają własne? Mowy nie ma.

Kariera mi na tym ucierpi.

- Zgłosiłaś kradzież na policji? - spytałam. Jackie wzięła się pod boki.

- Że co?

- Może go zgarnęli za złe parkowanie.

- Już sprawdziłam - odezwała się Connie. - Nie zgarnęli.

- To chrysler z dziewięćdziesiątego drugiego. Ciemnoniebieski. Pół

roku temu kupiłam używany - powiedziała Jackie. Wręczyła mi dokument. - To numer rejestracyjny. Ostatni raz widziałam go przed dwoma dniami.

- Zginęło coś jeszcze? Pieniądze? Ubrania? Twój facet wyszedł z walizką? - spytałam.

- Brakuje tylko jego nędznego ciała i mojego samochodu.

- Może siedzi gdzieś, pijany jak bela - podsunęła Lula. - Może się po prostu włóczy w okolicy.

- Gdzie tam. Wiedziałabym. Odszedł, mówię ci.

Lula i ja wymieniliśmy spojrzenia. Podejrzewałam, że Jackie ma rację w kwestii nędznego ciała.

- Zawieźmy Jackie do domu - zwróciła się do mnie Lula. - A potem sobie pojeździmy po mieście i zobaczymy, co jest do zobaczenia.

Jej ton zaskoczył mnie. Łagodny i poważny. To nie ta sama Lula, która w sklepie odgrywała łowcę nagród.

- Możemy tak zrobić - zgodziłam się. - Może czegoś się dowiemy.

Wszystkie przyglądałyśmy się Jackie. Nie zdradzała żadnego uczucia z wyjątkiem wściekłości z powodu utraty samochodu. Taka już była.

Lula nasadziła sobie na głowę kapelusz i zapięła płaszcz.

- Później dokończę pracę.

- Tylko nie wchodź w tym stroju do żadnego banku - zawołała za nią Connie.

Jackie wynajmowała dwupokojowe mieszkanie trzy przecznice od sklepu wujka Mo. Ponieważ byliśmy w pobliżu, zrobiliśmy mały skok w bok na Ferris Street i sprawdziliśmy, jak sprawy stoją.

- Nic nowego - powiedziała Lula zatrzymując firebirda na środku pustej ulicy.

- Żadnych świateł, nic.

Przejechałyśmy przez King i wróciłyśmy na zaułek za sklepem Mo.

Wyskoczyłam i zajrzałam do garażu. Nie było w nim samochodu. W

mieszkanu na pięterku nie paliły się światła.

- Tu się dzieje coś dziwnego - stwierdziłam. - To nie ma sensu.

Lula powoli zawróciła w stronę czynszowej kamienicy Jackie.

Przejechała cztery przecznice, a potem wróciła inną ulicą. Wszystkie trzy wypatrywałyśmy samochodu Jackie. Zanim dotarliśmy do jej domu, przemierzyliśmy spory kawał miasta, ale nie dowiedziałyśmy się niczego nowego.

- Nic się nie martw - powiedziała Lula. - Znajdziemy twój samochód. Wracaj do siebie, pooglądaj telewizję. Jedyna dobra rzecz, jaką można zrobić w taki dzień, to oglądanie telewizji. Poprzyglądaj się tym babiszonom z programów.

Jackie zniknęła za ścianą deszczu w dwupiętrowym domu z brązową dachówką. Na całej ulicy stały samochody. Żaden z nich nie był

chryslerem.

- Jaki on jest? - zwróciłam się do Luli.

- Stary Jackie? Nic specjalnego. Pojawia się i znika. Sprzedaje towar.

- Jak się nazywa?

- Cameron Brown. Ksywa Zgniłek. To ci chyba coś mówi.

- Czy mógł uciec z jej samochodem?

- W każdej chwili. - Lula ruszyła w dalszą drogę - To ty jesteś łowcą nagród, i co teraz?

- To samo. Pojeździmy trochę. Rozejrzemy się tam, gdzie Brown lubił się pojawiać.

Po dwóch godzinach Lula pomyliła w deszczu ulice i zanim zdołaliśmy się zorientować, znaleźliśmy się nad rzeką, w osiedlu wysokościorców.

- To już zaczyna być nudne - powiedziała. - Nie dość, że wypatruję sobie oczy szukając jakiegoś głupiego grata, to jeszcze się zgubiłam.

- Nie zgubiłyśmy się - zaprotestowałam. - Jesteśmy w Trenton.

- Tak, ale jeszcze nigdy tu nie byłam. Czuję się głupio wśród budynków, na których nie ma graffiti. No, spójrz tylko. Nie ma dykty w oknach. Nie ma śmieci w rynsztokach. Nie ma czarnych braci sprzedających różności. Nie rozumiem, jak można żyć w takim miejscu. -

Skrzywiła się i skręciła na parking. - Wracam - oznajmiła. - Jadę do biura.

Podgrzeję resztę hot dogów i zajmę się pracą.

Nie miałam nic przeciwko temu, ponieważ jazda w ulewnym deszczu po ponurych okolicach i tak nie należała do moich ulubionych rozrywek.

Lula przejechała wzdłuż szeregu samochodów i nagle tuż przed nami pojawił się chrysler.

Obie wytrzeszczyłyśmy na niego oczy. Pracowicie objechałyśmy każdą ulicę i zaułek, a tu proszę, samochód stoi sobie w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu.

- Oż ty w mordę - powiedziała Lula.

Przyjrzałam się budynkowi, do którego przylegał parking. Osiem pięter. Wielki klocek z cegieł, termoizolacyjne okna.

- Tak jakby mieszkalny.

Lula skinęła głową; zainteresowałyśmy się bliżej chryslerem. Nie rwałyśmy się specjalnie do działania.

- No to chyba trzeba będzie się rozejrzeć - powiedziała wreszcie Lula.

Obie westchnęłyśmy ciężko i wysiadłyśmy z firebirda. Deszcz stracił

nico rozpęd i stał się przykrym kapuśniaczkiem, za to temperatura spadała. Zimno kąsało mi skórę i przenikało do szpiku kości, zaś prawdopodobieństwo znalezienia zwłok Camerona Browna w bagażniku Jackie nie ogrzewało mnie zanadto.

Zajrzałyśmy przez okna i sprawdziłyśmy, czy drzwi są otwarte. Były zamknięte. W środku nie zauważyłyśmy niczego. Zwłaszcza Camerona Browna. Ani żadnych wskazówek... na przykład pamiątnika ze szczegółowym opisem niedawnych wydarzeń z życia Browna czy mapy z wyraźnym pomarańczowym krzyżykiem w miejscu jego pobytu. Stałyśmy obok siebie i patrzyłyśmy na bagażnik.

- Krew nie cieknie - zauważyła Lula. - To dobry znak.

Zajrzała do swojego bagażnika i wróciła z łomem. Wsunęła go pod wieko bagażnika chryslera i podważyła je.

Zapasowe koło, brudny żółty koc, parę szmatławych ręczników.

Brak Camerona Browna.

Obie odetchnęłyśmy jednocześnie.

- Jak długo Jackie żyje z tym gościem? - spytałam.

- Jakies pół roku. Nie ma szczęścia do facetów. Nie chce widzieć tego, co jest naprawdę.

Lula rzuciła łom na tylne siedzenie i obie usiadłyśmy w firebirdzie.

- A co jest naprawdę?

- Ten Zgniłek to wykorzystywacz. Wysyła Jackie na ulicę, a w jej samochodzie handluje prochami. Mógłby kupić sobie własny samochód, ale woli jej wóz, bo wszyscy wiedzą, że Jackie jest profesjonalistką i jeśli gliny go zatrzymają i znajdą prochy, będzie mógł powiedzieć, że nie ma pojęcia, jak się tam znalazły. Powie, że pożyczył na chwilę samochód swojej dziewczyny. A wszyscy wiedzą, że Jackie trochę bierze.

Profesjonalistką jest się tylko po to, żeby brać.

- Myślisz, że Brown sprzedawał tu narkotyki? Lula pokręciła głową.

- Nie sprzedaje prochów takim ludziom. Wpycha je dzieciom.

- Więc może ma w tym bloku dziewczynę. Lula uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu.

- Może, ale coś tu za elegancko jak na Camerona Browna.

Kiedy o piątej dowlokłam się do domu, znajdowałam w stanie głębokiej depresji. Znowu musiałam jeździć buickiem. Mój nissan stał w warsztacie, a sklep z używanymi samochodami odmówił poniesienia odpowiedzialności, cytując ustęp z umowy o kupno, traktujący o nabyciu samochodu w „zastanym stanie”. Żadnych gwarancji.

W butach mi chlupotało, z nosa ciekło i nie mogłam przestać myśleć o Jackie. Odnalezienie jej samochodu nie wydawało mi się satysfakcjonujące. Chciałam zmienić jej życie. Chciałam wydobyć ją z nałogu i nakłonić do zmiany profesji. No co, nie była aż tak głupia.

Pewnie mogłaby się specjalizować w chirurgii mózgu, gdyby tylko zmienić jej fryzurę.

Zostawiłam buty na korytarzu, a ubranie rzuciłam na podłogę w łazience. Stałam pod prysznicem tak długo, aż wreszcie odtajałam.

Wytarłam włosy i przejechałam po nich palcami, co miało symbolizować układanie. Ubrałam się w dres i grube białe skarpetki.

Wzięłam z lodówki napój, po drodze złapałam notes i długopis z kuchennego stołu, po czym usiadłam w salonie. Chciałam zastanowić się nad tym, co sądziłam na temat Mo Bedemiera i drogą eliminacji odnaleźć to, czego nie dostrzegałam.

Obudziłam się o dziewiątej wieczorem w twarzą wciśniętą w plastikową spiralę bindującą notes i kartką równie czystą jak mój umysł.

Odgarnęłam sobie włosy w oczu, wcisnęłam zakodowany numer na telefonie i zamówiłam pizzę - z podwójnym serem, czarnymi oliwkami, papryczką i cebulką.

Wzięłam ołówek i narysowałam w notesie linię prostą.

Narysowałam uśmiechniętą buźkę. Narysowałam smutną buźkę.

Narysowałam serduszko z moimi inicjałami, ale nie znalazłam niczyich inicjałów, które mogłabym dopisać obok, więc znowu zaczęłam się zastanawiać nad Mo.

Gdzie mógł się podziewać? Zostawił wszystkie ubrania. W

szufladach miał pełno skarpetek i bielizny. Przybory toaletowe były nietknięte. Szczoteczka do zębów, brzytwa, dezodorant w apteczce nad zlewem. To chyba coś znaczyło, prawda? Logicznym wnioskiem wydawało się, że Mo ma drugi dom, więc nie musi zabierać szczoteczki.

Szkoda tylko, że życie nie zawsze bywa logiczne. Sprawdzenie nieruchomości nie dało żadnych rezultatów. Oczywiście mogło to znaczyć, że wprawdzie Mo posiada drugi dom, ale nie zarejestrował go pod własnym nazwiskiem.

Druga możliwość - że Mo został porwany i leży gdzieś martwy, czekając, aż go znajdziemy - była zbyt przygnębiająca, by ją rozważać.

Najlepiej na razie w ogóle o tym nie myśleć, zdecydowałam.

A co z korespondencją? Nie przypominałam sobie, żebym widziała skrzynkę na listy. Być może listonosz przychodził do sklepu i wręczał

przesyłki osobiście wujkowi Mo. Więc gdzie jest teraz jego korespondencja?

Sprawdzić na poczcie, napisałam w notesie.

Poczułam zapach wynoszonej z windy pizzy, więc pobiegłam do przedpokoju, zdjęłam łańcuch, odsunęłam dwie zasuwę, otworzyłam drzwi i spojrzałam na Joe Morellego.

- Pizza dla pani - powiedział. Zmrużyłam oczy.

- Byłam w Pino, kiedy zamawiałaś.

- To naprawdę moja pizza?

Morelli wyminął mnie i poszedł prosto do kuchni.

- Jak bum cyk cyk, żebym tak jutra nie doczekał.

Wyjął z lodówki dwa piwa, balansując pizzą na jednej dłoni, zaniósł

wszystko do salonu i postawił na stoliku. Wziął z sofy pilota i włączył

mecz Knicksów.

- Czuj się jak u siebie - powiedziałam. Uśmiechnął się.

Przyniosłam dwa talerze, rolkę papierowych ręczników i nóż.

Prawda wyglądała tak, że widok Morellego nie był mi zupełnie niemyły.

Ten facet cały promieniował ciepłem, którego dzisiaj bardzo mi brakowało, a jako policjant miał dojście do źródeł niezwykle przydatnych dla łowcy nagród. Być może były także inne powody, mające coś wspólnego z ego i pożądaniem, ale nie miałam ochoty się do nich przyznawać.

Pokroiłam pizzę i nałożyłam na talerze. Podałam jeden Morellemu.

- Znasz faceta nazwiskiem Cameron Brown?

- Alfons - odpowiedział. - Obleśny. Sprzedaje narkotyki. - Spojrzał

na mnie znad brzegu pizzy. - Bo co?

- Pamiętasz Jackie? Koleżankę Luli?

- Jackie prostytutka?

- Właśnie. Dziś przysłała do biura Vinniego, żeby spytać, czy mogę odnaleźć jej samochód. Wygląda na to, że jej chłopak, Cameron Brown, zabrał go i wyjechał.

- I?

- I razem z Lulą przeszukałam okolice i wreszcie znalazłyśmy samochód na parkingu apartamentów River Edge.

Morelli przestał jeść.

- Mów dalej.

- To już wszystko. Jackie powiedziała, że nie chce odszukać Camerona. Chodzi jej tylko o samochód.

- Więc o co chodzi?

Zabrałam się za swój kawałek pizzy.

- Sama nie wiem. Cała ta sprawa wygląda... paskudnie.

Niedokończona.

- Nie mieszaj się w to.

- Słucham?

- To problem Jackie. Pilnuj swoich spraw. Odnalazłaś jej samochód.

Daj sobie spokój.

- Ona jest prawie moją przyjaciółką.

- To narkomanka. Nie jest niczyją przyjaciółką.

Wiedziała, że ma rację, ale ten ostry komentarz i przemądrzały ton zaskoczyły mnie. W głowie rozległ się mi alarmowy dzwonek. Morelli nalegał, żebym się w coś nie mieszała przeważnie wtedy, gdy chciał to coś mieć tylko dla siebie.

Morelli rozwalił się na kanapie w butelką piwa w garści.

- A co tam ze słynnym pościgiem za Mo?

- Skończyły mi się pomysły. - Pożarłam już dwa kawałki pizzy i głodnym wzrokiem patrzyłam na trzeci. - Powiedz, o co chodzi z Jackie i jej starym? Dlaczego nie chcesz, żebym się w to mieszała?

- Ponieważ to nie twoja sprawa, jak powiedziałem. - Podniósł

wieczko klatki chomika Rexa i wrzucił kawałek ciasta do miseczki.

- Ale powiedz - uparłam się.

- Nie ma o czym gadać. Uważam, że na ulicach zapanowała dziwna atmosfera. Handlarze narkotyków wycofują się, robią się ostrożni.

Chodzą plotki, że paru zniknęło.

Skupił uwagę na telewizorze.

- Spójrz no na to - powiedział. - Na tę powtórkę.

- Chłopaki w policji muszą szaleć ze szczęścia.

- No. Siedzą na posterunku, grają w karty i z nudów jedzą pączki z galaretką. Nadal rozważałam kwestię trzeciego kawałka pizzy. Ze względu na uda nie powinnam, ale w końcu życie jest krótkie, a w obecnych czasach tak trudno o fizyczne przyjemności. A co tam. Zjem go i tyle.

Morelli uśmiechnął się kpiąco.

- Co? - wrzasnęłam. Uniósł obie ręce.

- Nie krzycz na mnie tylko dlatego, że brak ci silnej woli.

- Mam masę silnej woli - oświadczyłam godnie. Rety, jak ja nie lubię, kiedy Morelli ma rację. - A w ogóle po co przyszedłeś?

- Z towarzyską wizytą.

- I chcesz sprawdzić, czy nie dowiedziałam się czegoś o Mo.

- No.

Właściwie spodziewałam się, że zaprzeczy. Teraz nie miałam go o co oskarżyć.

- Dlaczego Mo tak cię interesuje? Morelli wzruszył ramionami.

- Wszyscy tutaj interesują się Mo. Kiedy byłem mały, spędzałem w jego sklepie mnóstwo czasu.

Ranek wstał pod osłoną grubych chmur o fakturze i kolorze cementowego bloku. Zjadłam na śniadanie resztki zimnej pizzy i karmiłam właśnie Rexa chrupkami i rodzynekami, kiedy zadzwonił telefon.

- Rany, ale ohydny dzień - powiadomiła mnie Lula. - I z każdą minutą robi się coraz gorzej.

- Chodzi ci o pogodę?

- To też. Generalnie mówię o ludzkiej naturze. Mamy problem.

Jackie stanęła na czatach na tym odpindrzonym parkingu i czeka na swojego starego, żeby go złapać na gorącym uczynku. Powiedziałam jej, żeby wróciła do domu, ale mnie nie posłuchała. Powiedziałam, że najprawdopodobniej wcale go tam nie ma. Co mógłby robić z kobietą, którą stać na taką chatę? Łobuz dostał pewnie wreszcie w czapę.

Powiedziałam, żeby lepiej zaczęła szukać na śmietnikach, ale wszystko to jak grochem o ścianę.

- I?

- I uważam, że powinnaś z nią porozmawiać. Zamarznie tam na śmierć. Siedziała przez całą noc.

- Dlaczego myślisz, że mnie posłucha?

- Mogłabyś jej powiedzieć, że prowadzisz śledztwo i że ci w nim przeszkadza.

- To by było kłamstwo.

- Co, nigdy w życiu nie kłamałaś?

- Zgoda - powiedziałam. - Zobaczymy, co da się zrobić.

Pół godziny później zaparkowałam buicka na parkingu apartamentów River Edge. Jackie siedziała jak przymurowana.

Zatrzymałam się za jej chryslerem, wysiadłam i zapukałam do okna.

- No? - odezwała się Jackie tytułem powitania. Nie miała radosnego głosu.

- Co tu robisz?

- Czekam na tego łajdusa, aż wyjdzie, a wtedy zrobię w nim dziurę tak wielką, że będzie można przez niego przejechać ciężarówką.

Nie znam się specjalnie na broni, ale działo spoczywające na siedzeniu obok Jackie robiło takie wrażenie, jakby było w stanie zrobić dokładnie to, o czym mówiła.

- Świetny pomysł - powiedziałam - ale jesteś sina z zimna. Może teraz ja będę obserwować dom?

- Wielkie dzięki, ale ty go znalazłaś, a ja zabiję.

- Bardzo logiczne. Myślałam tylko, że lepiej go będzie zabić, kiedy się trochę rozgrzejesz. W końcu nie ma pośpiechu. Nie ma po co tu siedzieć i łapać katar tylko po to, żeby zabić jakiegoś faceta.

- Tak, ale jakoś mam ochotę zabić go już teraz. Nie chce mi się czekać. Poza tym i tak nie będę dzisiaj pracować, nie przy tej pogodzie.

Tylko wariat przyjdzie w taki dzień, żeby sobie wymienić olej, a ja nie lubię wariatów. Nie, posiedzę sobie tutaj. To lepsze niż stać na rogu.

Właściwie miała rację.

- No dobrze - powiedziałam. - Uważaj na siebie.

- Ha - odrzekła Jackie.

Wróciłam do biura i powiedziałam Luli, że Jackie rozpoczęła oblężenie.

- Ha - odrzekła Lula.

Vinnie wyskoczył ze swojego gabinetu.

- No i?

Wszystkie spojrzaliśmy na niego.

- Co?

Vinnie rzucił się na mnie.

- Gdzie Mo? Dlaczego nie siedzi pod kluczem? Czego ci trzeba, żeby złapać staruszka, który sprzedaje cukierki?

- Mo zniknął - powiedziałam. - Na razie go nie widać.

- A gdzie go szukałaś? Sprawdziłaś w mieszkaniu? U siostry? U chłopaka? W biurze zapadła martwa cisza.

Ja pierwsza odzyskałam głos.

- Chłopaka?

Vinnie uśmiechnął się. Przy oliwkowej karnacji jego zęby wydawały się bardzo białe i równe.

- Nie wiedziałaś?

- O mój Boże - powiedziała Connie i przeżegnała się. - O mój Boże.

W głowie trochę mi się zakręciło.

- Jesteś pewien? - spytałam. Jakbym choć przez sekundę powątpiewała w Vinniego, kiedy chodziło o opinię eksperta w kwestii alternatywnych upodobań seksualnych.

- Moses Bedemier to słodki chłoptaş - oznajmił Vinnie z twarzą wykrzywioną szczęściem.

Przesiewał drobne w głębokich kieszeniach poliestrowych spodni. - Moses Bedemier nosi damskie majteczki.

Vincent Plum, firma poręczycielska. Specjalizacja we wrażliwości i politycznej poprawności.

Spojrzałam na Lulę.

- Mówiłaś, że Mo był klientem.

- O, nie. Mówiłam, że go znam. Czasami, kiedy stałam na rogu, przejeżdżał późną nocą i pytał Jackie albo mnie o drogę. Chciał wiedzieć, gdzie znaleźć Freddiego Żabę albo Małego Lionela. Podejrzewam, że trochę brał.

- O mój Boże - powtarzała Connie. - Homoseksualista i narkoman.

O mój Boże.

- Skąd wiesz? - zwróciłam się do Vinniego.

- Słyszałem plotki. A potem zobaczyłem go z jego lepszą połową na obiedzie w New Hope.

- Skąd wiesz, że to jego lepsza połowa, a nie kolega?

- A co, pytasz o szczegóły? - ucieszył się szeroko uśmiechnięty Vinnie. Najwyraźniej rozkoszował się każdą chwilą tej sytuacji.

Skrzywiłam się i pokręciłam głową. Connie zacisnęła mocno powieki.

- Akurat - powiedziała Lula z pogardą.

- Znasz jego nazwisko? - spytałam Vinniego. - Jak wyglądał?

- Był w wieku Mo. Mniejszy, szczuplejszy. Mięciutki, tak jak Mo.

Ciemne włosy, łysinka na czubku głowy. Nie znam nazwiska, ale mogę zadzwonić do paru osób.

Nie chciało mi się specjalnie wierzyć w teorię o kupowaniu narkotyków, ale nie życzyłam sobie, żeby ktoś mi zarzucił, że się nie staram. Za czasów poprzedniej kariery Lula obstawiała Stark Street, kilometrowy odcinek pełen barów, narkotykowych przystani i domków przerobionych na ciasne klitki i pokoje na godziny. Sprawdzanie Stark Street byłoby stratą czasu. Nikt by ze mną nie chciał rozmawiać. To stawiało mnie w obliczu dwóch możliwości. Jedną z nich była Lula. Drugą

- Ranger.

Rozdział 4

Mogłabym poprosić Rangera, żeby popytał parę osób o Mo. I mogłam poprosić o to samo Lulę.

Stałam przed prawdziwym dylematem, bo choć moim pierwszym kandydatem byłby Ranger, to Lula stała o wyciągnięcie ręki ode mnie, oko w oko - i czytała w moich myślach.

- No? - spytała. Przeszła z nogi na nogę. Zdenerwowana.

Złakniona krwi. Typ nosorożca. Wyglądała tak, jakbym miała zranić jej uczucia, nie poprosiwszy o pomoc. A także tak, jakby w każdej chwili mogła zmrużyć oczka i rozgnieść mnie jak dżdżownicę.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że słusznie jest korzystać z pomocy Luli. Nie ma po co ranić jej uczuć, prawda? Poza tym Lula nadaje się do tego zadania. W końcu, w czym rzecz? Musi tylko pokazać zdjęcie Mo paru prostytutkom i handlarzom narkotyków. No dobrze, nie jest zbyt subtelna. To co, wszyscy muszą?

- Masz na Stark Street masę znajomości - zwróciłam się do niej. -

Może pokażesz paru osobom zdjęcie Mo. Zobaczymy, czy ktoś da nam jakiś cynk.

Lula rozpromieniła się.

- Super. Mogę to zrobić.

- Taa - mruknął Vinnie. - Zabierz ją na jakiś czas z biura. Robię się przy niej nerwowo.

- I dobrze - oznajmiła Lula. - Nie spuszczam oka z twojego smętnego tyłka. Lepiej ze mną nie zaczynaj.

Vinnie zgrzytnął zębami; wydawało mi się, że widzę smużki pary, unoszące się mu z uszu i znikające nad głową. Ale może tylko mi się przywidziało.

- Zadzwoń do paru osób. Zobaczę, czy dowiem się nazwiska chłopca Mo - powiedział Vinnie. Zniknął w swojej zakazanej norze i trzasnął drzwiami.

Lula już wkładała płaszcz.

- A ja zaraz zaczynam. W try miga rozwiążę tę sprawę.

Wszyscy zajęli się swoimi sprawami, a ja nagle stałam się niepotrzebna. Wycofałam się do buicka, włączyłam autopilota i pojechałam do domu. Zatrzymałam się na parkingu i spojrzałam w swoje okno. Zostawiłam światło w sypialni i teraz wszystko wyglądało miło i zachęcająco. Prostokąt domowego ciepła promieniujący w szare miazmaty porannego lodowatego smogu.

Pan Kleinschmidt wyszedł na korytarz, kiedy wpadłam z rozpędem przez podwójne szklane drzwi.

- Ho ho - powiedział. - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg złapać złoczyńcę daje. Kogo dziś ścigasz, okrutnego mordercę?

- Nie. Dziś żadnych morderców.

- Handlarza narkotyków? Gwałciciela?

- Nic z tego.

- Więc kogo? Dla kogo wstałaś i wyszłaś tak wcześnie?

- Prawdę mówiąc, szukam Mosesa Bedemiera.

- To wcale nie śmieszne. To kiepski żart. Znam Mosesa Bedemiera.

Nie skrzywdziłby nawet muchy. Chyba powinnaś się zająć kimś innym.

Wsiadłam do windy i wcisnęłam guzik z dwójką. Pomachałam panu Kleinschmidtowi, ale nie zareagował.

- Dlaczego ja? - pożałowałam się windzie. - Dlaczego?

Weszłam do mieszkania i spojrzałam na Rexa. Spał w puszcze po zupie. Miły i cichy. To jedna z niesamowitych zalet mieszkania z chomikiem - zachowuje swoje opinie dla siebie. Jeśli Rex miał jakąś opinię na temat Mosesa Bedemiera, nie podzielił się nią ze mną.

Podgrzałam kawę i usiadłam przy telefonie.

Zaczęłam od kuzynki Jeanine, która pracuje na poczcie. Jeanine powiedziała, że zatrzymują korespondencję Mo, który ani nie zostawił im nowego adresu, ani nie odebrał żadnego listu.

Porozmawiałam z Lindą Shantz, Loretą Beeber i Margaret Molinowsky. Żadna nie miała zbyt wiele do powiedzenia o Mo, ale dowiedziałam się, że mój śmiertelny wróg, Joyce Bamhardt, ma grzybicę, która nie poddaje się leczeniu. To mnie nieco podniosło na duchu.

O pierwszej zadzwoniłam do Vinniego, żeby sprawdzić, czy udało mu się zdobyć to nazwisko. Odezwała się automatyczna sekretarka i zdałam sobie sprawę, że mamy sobotę. W soboty biuro jest otwarte tylko przez pół dnia.

Zaczęłam się zastanawiać nad jakąś formą rekreacji, na przykład nad bieganiem, ale kiedy wyjrzałam przez okno salonu, okazało się, że na dworze ciągle jest styczeń, więc rozstałam się z pomysłem krzewienia kultury fizycznej.

Wróciłam do telefonu i obdzwoiłam jeszcze parę plotkarek.

Doszłam do wniosku, że należy mi się trochę rozrywki, a przy okazji mogłam poudawać, że pracuję nad sprawą.

O wpół do czwartej miałam spuchnięte ucho i nie byłam pewna, czy zdołam znieść jeszcze jakąś rozmowę. Zaczęłam rozważać, czy nie uciąć sobie drzemki, kiedy ktoś załomotał do drzwi.

Otworzyłam je, a do środka wtoczyła się Lula.

- Z drogi - zagrzmiała. - Jestem tak zmarznięta, że nie potrafię iść prosto. Tyłek mi zsiniał już przed godziną, a przecież był czarny.

- Chcesz gorącej czekolady?

- Za późno na czekoladę. Trzeba mi gorzały.

Niespecjalnie znam się na alkoholach. Już dawno uznałam, że lepiej nie mącić sobie w głowie. Nawet na trzeźwo niezbyt sobie radzę.

- Nie mam prawdziwego alkoholu - wyznałam. - Jasne piwo, czerwone wino, płyn do płukania ust.

- Dawaj. Chciałam ci powiedzieć, czego się dowiedziałam o Mo.

Carla, ta co stoi na rogu Siódmej i Stark, mówi że widziała Mo przed dwoma dniami. Podobno szukał Małego O.

Otworzyłam szeroko usta. Mo był przed dwoma dniami na Stark Street. Jasny gwint.

- Co to za Mały O? Znasz go?

- Każdy zna Małego O. Mały to jedna z grubych ryb na Stark Street.

Średnia klasa. W razie potrzeby podejmuje się eksterminacji.

Porozmawiałabym z nim, ale nie mogłam go znaleźć.

- Myślisz, że Mo go znalazł?

- Trudno wyczuć.

- Czy ktoś jeszcze go widział?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Pytałam masę ludzi, ale przy tej pogodzie nikt nie łązi po ulicach. - Lula przestąpiła z nogi na nogę i zatarła ręce dla rozgrzewki. - Idę do domu. Jest sobota i wieczorem mam randkę. Muszę się uczesać. Jestem piękna z natury, ale to nie znaczy, że nie trzeba mi czasem niewielkiej pomocy.

Podziękowałam jej i odprowadziłam do windy. Wróciłam do mieszkania i zaczęłam się zastanawiać nad tymi odkryciami.

Niewiarygodne, Mo z jakiegoś powodu przyszedł na Stark Street. Ale nie mogłam dyskwalifikować niczego... nawet takich niestworzonych bredni.

Zwłaszcza, że dysponowałam tylko tym.

Połączyłam się z Rangerem i zostawiłam mu wiadomość na sekretarce. Jeśli ktokolwiek mógłby

odnaleźć Małego O, to tą osobą na pewno jest Ranger.

W niedzielę wstałam o dziesiątej. Zrobiłam sobie gorącą czekoladę i grzanekę, zaniiosłam to wszystko do salonu i włączyłam kasetę z przygodami misia Puchatka. Kiedy Kubuś Puchatek zakończył ostatnią przygodę w Stukrowym Lesie, dochodziło południe. Doszłam do wniosku, że można by się wziąć do roboty. Skoro nie mam życia osobistego ani firmy, mogę pracować o dowolnej porze.

A dziś miałam ochotę złapać tego głupiego mięczaka Stuarta Baggetta. Odstawiłam Mo na jałowy bieg, a Stuarta kompletnie zaniedbałam.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i wskrzesiłam z martwych akta Stuarta. Okazało się, że mieszka z rodzicami na Applegate Street pod numerem dziesiątym w Mercerville. Rozpostarłam mapę na stole i namierzyłam ulicę. Znajdowała się o kilometr od domu towarowego, w którym pracował Stuart. Bardzo wygodnie.

Podobno są w tym kraju takie miasta, w których w niedzielę zamyka się sklepy. Coś takiego jest w Jersey nie do pomyślenia. Tego byśmy nie znieśli. Zakupy przez siedem dni w tygodniu to nasze konstytucyjne prawo.

Zatrzymałam samochód na parkingu przed domem towarowym i z zaciśniętymi zębami udałam, że nie widzę spojrzeń właścicieli mniej fantazyjnych worów. Ponieważ moje konto świeciło pustkami, poszłam prosto do stoiska z hot dogami. Lepiej nie zbaczać do działu obuwniczego i nie narażać się na pokusy.

Za ladą stały dwie dziewczyny.

- Co pani podać? - spytała jedna z nich.

- Stuarta Baggetta.

- Już tu nie pracuje.

Oż ty w życiu. Przeze mnie ten biedny głupek wyleciał z roboty.

- Jej, to szkoda - powiedziałam. - Może wiecie, co się z nim dzieje?

Gdzie go mogę znaleźć?

- Zrezygnował z pracy. Parę dni temu wyszedł w środku dnia i już nie wrócił. Nie wiemy, gdzie może się podziewać.

Mała porażka, ale niezbyt bolesna, ponieważ mogłam jeszcze odwiedzić go w domu.

Applegate to przyjemna uliczka, pełna dobrze utrzymanych domków jednorodzinnych i starych drzew. Dom Baggettów był biały, z błękitnymi żaluzjami i ciemnoniebieskimi drzwiami. Na podjeździe stały dwa samochody i dziecinny rowerek.

Drzwi otworzyła pani Baggett. Stuart jest mniej więcej w moim wieku; mogliśmy być przyjaciółmi. Chciałam najpierw zagrać w ten sposób - nie zdradzać zbyt wiele i pozwolić, by pani Baggett sama wyciągnęła wnioski.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Jest Stuart?

Nastąpiła chwila wahania, która mogła także oznaczać troskę. A może pani Baggett starała się tylko skojarzyć moją twarz.

- Przykro mi - odezwała się wreszcie. - Nie ma go w domu. Miał się tu z tobą spotkać?

- Nie. Myślałam tylko, że go tu złapię.

- Jest u kolegi. Wyprowadził się wczoraj. Powiedział, że dostał nową pracę i że będzie mieszkał razem z tym kolegą.

- Ma pani jego adres albo telefon?

- Nie. Nawet nie wiem, jak nazywa się ten kolega. Stuart poszeptał coś tam z ojcem i wypadł jak burza. Chcesz zostawić wiadomość?

Dałam jej wizytówkę.

- Stuart nie pojawił się na rozprawie z sędzią. Musi ją wyznaczyć na inny termin najszybciej, jak można. To bardzo ważne.

Pani Baggett jęknęła cicho.

- Nie wiem, co z nim zrobić. Zachowuje się jak dzikus.

- Będę bardzo wdzięczna, jeśli pani do mnie zadzwoni, kiedy Stuart się odezwie. Pokiwała głową.

- Dobrze. Zadzwonię.

Mogłam teraz stracić masę energii na poszukiwania Stuarta albo poczekać, aż wróci do domu. Wybrałam tę drugą możliwość. Pani Baggett wyglądała na odpowiedzialną, inteligentną kobietę. Byłam całkowicie pewna, że do mnie zadzwoni. Jeśli nie, za tydzień złożę jej następną wizytę.

Ranger zadzwonił nieco po siódmej z wiadomością, że Mały O

wyjechał na południe na całą zimę. Nikt nie widział go od wielu dni, co prawdopodobnie powiedziano również Mo.

O ósmej stałam przed sklepem wujka Mo i robiłam się coraz bardziej niespokojna. Miałam co prawda klucz do jego mieszkania, ale ktoś mógłby mnie przyłapać na gorącym uczynku. Oczywiście mogłabym skłamać, że wujek Mo prosił mnie o przypilnowanie domu. Ale gdyby tym kimś był

sędzia, podejrzewam, że wkroczyłabym na grząski teren krzywoprzysięstwa. Dobrze by było tego uniknąć. Oczywiście w Jersey prawo często ustępuje pierwszeństwa zdrowemu rozsądkowi. To znaczy, że krzywoprzysięstwo jest lepsze, niż wążchanie kwiatków od spodu.

Niebo było już czarne. Księżyc ukrył się za chmurami. Okoliczne domy i latarnie błyszczały światłem, ale okna mieszkania Mo pozostały mroczne. Jakiś samochód przejechał przez ulicę i zatrzymał się o trzy domy ode mnie. Czaiłam się w cieniu; kierowca przeszedł od samochodu do domu nie zauważając mnie. Buicka zostawiłam na Lindal Street, przecnicę stąd.

Widziałam panią Steeger, chodzącą po salonie. Czekałam, żeby usiadła. Dopiero wtedy zamierzałam podejść bliżej. Wyrzała przez okno, a serce nagle przestało mi bić. Gdy po minucie cofnęła się, łapczywie zaczerpnęłam haust powietrza. Przed oczami latały mi mroczki.

Przycisnęłam rękę do piersi. Ta kobieta doprowadzi mnie kiedyś do zawału.

Za rogiem błysnęły światła i przed domem pani Steeger zatrzymał

się jakiś samochód. Kierowca przycisnął klakson, a moja była nauczycielka otworzyła drzwi i pomachała ręką. Po chwili już zamykała drzwi na klucz. Wstrzymałam oddech i ze wszystkich sił starałam się zniknąć. Pani Steeger uważnie przeszła pomiędzy ciemnymi schodami i chodnikiem, usiadła koło kierowcy, zatrzasnęła drzwi i samochód odjechał.

Mam dziś szczęście.

Przeszłam na drugą stronę ulicy i spróbowałam otworzyć sklep kluczem od mieszkania Mo. Bez większego sukcesu. Poszłam na zaplecze i ten sam klucz włożyłam do zamka tylnych drzwi. Tu też nie pasował.

Podczas rozmowy z Rangerem doszłam do wniosku, że w związku z interwencją policji nie zdążyłam przeszukać sklepu. Nie wiem, co spodziewałam się tam znaleźć, ale nie lubię niezakończonych spraw.

Ponieważ klucze do domu nie pasowały do drzwi sklepu, przyjąłam że w mieszkaniu Mo musi się znajdować drugi komplet. Weszłam po schodach tak pewnie, jakby dom należał do mnie. Kiedy masz wątpliwości, zawsze zachowuj się, jakbyś wiedziała, co robisz. Wyjęłam z torebki latarkę i dwa razy zapukałam. Zawołałam wujka Mo. Żadnej odpowiedzi. Otworzyłam drzwi, zrobiłam krok do przodu i omiotłam wnętrze promieniem latarki. Wszystko wydawało się w zupełnym porządku, więc zamknęłam za sobą drzwi i szybko przeszukałam całe mieszkanie. Klucze nie leżały nigdzie na wierzchu, a na żadnej ze ścian nie dostrzegłam tych ślicznych maleńkich haczyków na klucze. Nie zauważyłam żadnego dowodu na to, że od czasu mojej ostatniej wizyty ktokolwiek przestąpił próg tego domu.

Kuchnia była mała. Białe metalowe półki nad szarym stołem z laminatu, stary biały, emaliowany zlew z paroma czarnymi odpryskami.

W kredensie poniewierały się rozmaite szklanki, kubki, talerze i miseczki.

Kluczy brak. Zaczęłam ryc w szufladach stołu. W jednej leżały srebra. W

drugiej ściereczki do naczyń. W trzeciej folia aluminiowa, folia plastikowa, torebki. W czwartej wszystko na raz. Kluczy w dalszym ciągu nie widać. Przez chwilę przyglądałam się zdjęciom wiszącym na ścianie obok lodówki. Zdjęcia dzieci. Wszystkie z sąsiedztwa. Rozpoznałam niemal wszystkie. Szukałam tak długo, aż znalazłam siebie.

Dwunastolatka z różkiem lodów. Przypomniałam sobie, kiedy Mo zrobił mi to zdjęcie.

Zajrzałam do lodówki w poszukiwaniu sprytnie wydrążonych główek kapusty i schowków w fałszywych puszkach coli. Nie znalazłszy niczego w tym stylu, przeniosłam się do sypialni.

Podwójne łóżko przykrywała narzuta; żółte i brązowe kwiaty spłowieły, bawełniany materiał wytarł się po latach wiernej służby. Łóżko i szafa były zrobione z taniej orzechowej sklejki. Wujek Mo żył skromnie.

Zdaje się, że na lodach nie zarabia się aż tak wspaniale.

Zaczęłam od górnej szuflady biurka i proszę, klucze leżały sobie spokojnie we własnej przegródce pudełka na biżuterię. Wsadziłam je do kieszeni, zamknęłam szufladę i już miałam wyjść, kiedy moje spojrzenie padło na stertę magazynów filmowych. „Premiera”, „Przegląd Tygodniowy”, „Leksykon Oper Mydlanych”, „Cats”. Stop! „Cats”? Nie takiej lektury spodziewałam się w sypialni homoseksualisty.

Wsadziłam sobie latarkę pod pachę, usiadłam na podłodze i przekartkowałam połowę. Ohyda. Przekartkowałam resztę. Taka sama ohyda, fascynująco obrzydliwa. Następny magazyn miał na okładce nagiego mężczyznę w czarnej masce i czarnych skarpetkach. Wacusz wisiał

mu prawie do kolan. Facet wyglądał, jakby jego ojcem był Cudowny Koń Grzmot. Kusiło mnie, żeby zajrzeć do środka, ale strony były czymś zlepione, więc szukałam dalej. Znalazłam parę czasopism, wypełnionych w całości amatorskimi zdjęciami ludzi w różnych stopniach obnażenia oraz w krępujących pozach zatytułowanych „Mary i Frank z Sioux City” bądź „Rebecca Sue w kuchni”. Znalazłam jeszcze parę gazet filmowych, a na samym dole parę katalogów fotograficznych. Przypomniałam sobie, że w lodówce zauważyłam parę nierozpieczętowanych pudełek filmów.

A to wszystko z kolei przypomniało mi, że mam tu przeprowadzać nielegalną rewizję, a nie porównania anatomicznych cech kobiet w majtkach bez krocza, psich obrożach i z kolczykami w sutkach.

Ułożyłam pisma z powrotem i wpełzłam z pokoju i całego mieszkania. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że wujek Mo jest bardzo dziwnym facetem.

Na kółku znajdowały się dwa klucze. Wsadziłam jeden z nich do zamka w tylnych drzwiach, ale nie pasował. Spróbowałam drugiego i musiałam powstrzymać nerwowy chichot, ponieważ drzwi otworzyły się.

Coś we mnie nie chciało, żeby klucze okazały się właściwe. Chyba było to bardzo małe coś. Coś, co wiedziało, że nie do twarzy mi w więziennym ubranku.

Za drzwiami znajdował się wąski korytarz. Zauważyłam troje drzwi, a w głębi sklep. Po drugiej stronie korytarza i pomieszczenia sklepowego widziałam okno i lampy na przeciwległej ulicy. To znaczyło, że wszyscy widzą także światła w sklepie, więc musiałam bardzo uważnie obchodzić się z latarką. Omiotłam pospiesznie jej promieniem korytarz i sklep, by upewnić się, że nie mam towarzystwa. Otworzyłam pierwsze drzwi na prawo i zobaczyłam schody do piwnicy.

Zawołałam:

- Hej, jest tam kto?

Nikt mi nie odpowiedział, więc zamknęłam drzwi. Wrzask w ciemnościach to jedyny śmiały wyczyn, jaki przewidziałam podczas przeszukiwania piwnicy.

Za drugimi drzwiami znajdowała się pralnia. Za trzecimi szafa ze szczotkami. Wyłączyłam światło i odczekałam chwilę, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Ostatnim razem byłam w tym sklepie pewnie dwa lub trzy lata temu, ale znałam go dobrze i wiedziałam, że nic się w nim nie zmieniło. U wujka Mo nic się nigdy nie zmieniało.

Przez całe pomieszczenie biegła lada. Jedna jej połowa stanowiła staroświecki kontuar barowy. Stało przy nim pięć stołków. Za kontuarem Mo trzymał małą kuchenkę, plastikowy pojemnik na lemoniadę, czterokurkowy automat z napojami, dwa shakery do mlecznych koktajli, maszynę z lodami i dwa palniki do parzenia kawy. Drugą połowę lady stanowiła szklana witryna z lodami i cukierkami.

Ruszyłam przed siebie niczym nocny drapieжник. Nie wiedziałam, czego właściwie szukam, za to miałam absolutną pewność, że tego nie znalazłam. Wszystko stało na swoim miejscu. Mo chyba posprzątał przed wyjazdem. W zlewie nie zauważyłam brudnych naczyń. Nic nie wskazywało na to, że został oderwany od obowiązków albo że musiał

odejść w pośpiechu.

Otworzyłam kasę. Pusta. Ani grosza. W mieszkaniu także nie znalazłam pieniędzy. W mdłym świetle sącącym się przez witrynę przemknął jakiś cień; kucnęłam za ladą. Cień zniknął, a ja nie miałam najmniejszego zamiaru marnować czasu na krycie się w sklepie. Stałam w korytarzu i zaczęłam nasłuchiwać.

Na cementowym podjeździe rozległy się kroki. Z zapartym tchem patrzyłam, jak klamka się porusza. Drzwi nie drgnęły. Były zamknięte na klucz. Usłyszałam chrobot w zamku i dalej stałam, ze strachu bliska pomieszczenia zmysłów. Jeśli to nie Mo, to siedzę po uszy w nawozie.

Bardzo cicho zrobiłam dwa kroki do tyłu. Klucz nie radził sobie z zamkiem. Może nie radził sobie, bo nie był kluczem! Może ktoś chce się włamać do sklepu wujka Mo! Cholera. Czy ktoś by uwierzył, że w tym samym czasie do sklepu włamią się dwie osoby? Pokręciłam głową z niesmakiem. Problem

przestępczości w Trenton zaczyna wymykać się z rąk.

Schowałam się w łazience, cicho zamknęłam drzwi i wstrzymałam oddech. Usłyszałam, że zamek poddaje się i tylne drzwi stają otworem.

Dwa kroki. Ktoś stał w korytarzu i czekał, aż jego wzrok przywyknie do ciemności.

Idź do tej kasy i miejmy to już za sobą, pomyślałam. Zeżryj wszystkie lody. Czuj się jak u siebie.

Usłyszałam kroki na drewnianej podłodze i raptem drzwi obok otworzyły się. To pewnie te drzwi do piwnicy. Stały otworem na tyle długo, by ktoś mógł spojrzeć w jej głąb. Potem cicho się zamknęły. Osoba, która zjawiała się w sklepie, robiła dokładnie to, co ja - i nagle doznałam okropnego przeczucia, że w następnej kolejności otworzy drzwi mojej kryjówki. Nie potrafiłam ich zamknąć, nie było żadnego okna, przez które mogłabym uciec.

W jednej ręce trzymałam latarkę, w drugiej - pieprz w aerozolu. W

torebce miałam broń, ale doświadczenie podpowiadało mi, że nie będę się rwała do jej użycia. Poza tym nie pamiętałam, czy w ogóle jest nabita.

Lepiej skupić się na aerozolu. Byłam zdecydowana użyć go bez pardonu.

Usłyszałam chrobot klamki i w chwilę potem drzwi łazienki stanęły otworem. Włączyłam latarkę; w snopie światła zobaczyłam złe czarne oczy. Mój plan zakładał oślepienie intruza światłem, rozpoznanie go i podjęcie decyzji, co dalej.

Jedynym słabym punktem mojego planu było założenie, że ślepotą łączy się z paralizem.

W ułamek sekundy po włączeniu latarki nagle poczułam, że szybuję w powietrzu. Uderzyłam o ścianę łazienki i osunęłam się na ziemię. W

mózgu eksplodowały mi czerwone fajerwerki, a potem zapadła ciemność.

Następne, co pamiętam, to wysiłki, by odzyskać przytomność, otworzyć oczy, zorientować się, gdzie jestem.

Było ciemno. Noc. Dotknęłam twarzy. Lepka. Pod moim policzkiem rozlewała się ciemna kałuża. Wbiłam w nią oszołomione spojrzenie.

Krew, pomyślałam. Miałam wypadek samochodowy. Nie, chyba nie.

Potem przypomniałam sobie. Znajdowałam się w sklepie Mo. Leżałam na boku w toalecie, przedziwnie okręcona wokół muszli klozetowej, z głową pod małą umywalką.

Wokół panowała cisza. Nie poruszyłam się. Nasłuchiwałam i czekałam, aż w głowie przestanie mi się kręcić. Przesunęłam językiem po zębach. Wszystkie na miejscu. Drżącą ręką dotknęłam nosa. Również wydawał się nietknięty.

Krew musiała pochodzić z innego źródła. Bo naprawdę leżałam w kałuży krwi. Dźwignęłam się z podłogi, stanęłam na czworakach i zobaczyłam to źródło krwi. Ciało, leżące twarzą w dół w wąskim korytarzyku. Światło latami wdzierało się przez otwarte tylne drzwi.

Dzięki niemu mogłam rozpoznać mężczyznę na podłodze. Był to ten sam facet, który rzucił mną o ścianę.

Podczołgałam się bliżej i przyjrzałam się mu z bliska. Na plecach miał w koszuli dziurę po kuli, a w potylicy drugą. Ściana po prawej stronie była upstrzona krwią, mózgiem i lewą połową twarzy faceta.

Jedno oko pozostało nietknięte, szeroko otwarte i niewiążące. Usta miał rozchylone, zupełnie jakby coś go zaskoczyło.

Z gardła wydarł mi się na poły krzyk, na poły rżenie.

Odskoczyłam od ciała, jakby mnie ugryzło. Zatrzepotałam rękami w powietrzu szukając oparcia, którego nie było, klapnęłam na podłogę i oparłam się plecami o ścianę, niezdolna do myślenia, zdyszana. Miałam świadomość przemijającego czasu. Przełknęłam żółć, która podeszła mi do gardła, zamknęłam oczy i zaczęłam myśleć. Myślałam dość optymistycznie... że może nie jest tak źle, że może jest nadzieja. Może jeszcze da się go uratować. Może zdarzy się cud.

Otworzyłam oczy i nadzieja zniknęła. Mężczyzna na podłodze stanowił niewdzięczny materiał do cudów. Na dzinsach miałam strzępy jego mózgu i kości. Ktoś go zamordował, a ja to przegapiłam.

Nieprzytomna w ubikacji. Sama myśl wydała mi się idiotyczna.

I morderca. Dobry Boże, gdzie jest teraz morderca? Serce omal nie wyskoczyło mi przez gardło. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien kryć się w mroku i przyglądać moim wysiłkom. Torebka leżała na podłodze pod zlewem. Sięgnęłam do niej i znalazłam broń. Nie nabita.

Niech to szlag, dlaczego jestem aż taką oferumą?

Przykucnęłam i wyrzłam przez otwarte tylne drzwi. Podwórko było częściowo oświetlone, tak jak korytarz. Dygotałam z zimna, co nie miało nic wspólnego z pogodą. Spływałam potem i trzęsłam się ze strachu. Wytarłam ręce o dzinsy. Wyjdź przez te drzwi, rozkazałam sobie, a potem biegnij na Ferris Street.

Zacisnęłam zęby i ruszyłam, przy czym od razu potknęłam się o martwe ciało. Wypadłam przez drzwi i przegalopowałam dziko przez podwórko. Ukryłam się w mroku ulicy i stanęłam. Konwulsyjnie łapałam powietrze i rozglądałam się na wszystkie strony. W każdej chwili spodziewałam się zobaczyć czyjąś postać albo błysk broni.

W oddali rozległy się syreny, a u wylotu ulicy dostrzegłam migotanie policyjnych kogutów. Z Lindal skręcał następny radiowóz. Ktoś wezwał policję. Przed sklepem nagle zrobiło się białoniebiesko.

Mundurowi wysiedli i zaświecili w okna sklepu Mo.

Wycofałam się w róg pomiędzy gankiem a tarasem, o dwa domki dalej. Nie odwracając wzroku od jezdni zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Znalazłam go i zadzwoniłam do Morellego. Pomijając nasze prywatne zadrażnienia, to bardzo dobry policjant. Chciałam, żeby znalazł się na miejscu zbrodni jako pierwszy z wydziału zabójstw.

Było już dobrze po północy, kiedy Morelli przywiózł mnie do domu.

Zatrzymał toyotę na parkingu i zaprowadził mnie do budynku. Wcisnął

guzik w windzie i stanął w milczeniu obok mnie. Od chwili opuszczenia posterunku żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Byliśmy zbyt zmęczeni na pogawędkę.

Zrelacjonowałam mu wszystko. Kazał mi iść do szpitala Świętego Franciszka, żeby zbadali mi głowę, na zewnątrz i wewnątrz. Powiedziano mi, że mam guza i wstrząs. Skóra na głowie była nietknięta. Ze szpitala pojechałam do domu, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie, po czym radiowozem przywieziono mnie na posterunek na dalsze przesłuchanie.

Zrobiłam, co mogłam, żeby dokładnie opisać wszystkie zajścia, wyjąwszy drobny zanik pamięci w kwestii kluczy do mieszkania i sklepu Mo, a także zadziwiającego zjawiska, gdy drzwi stanęły przede mną otworem z własnej woli. Po co obciążać policjantów drobiazgami bez znaczenia.

Zwłaszcza, jeśli na ich podstawie mogliby odnieść błędne wrażenie, że włamałam się na teren cudzej posiadłości. No i jeszcze nie wspomniałam o broni, która - tak się jakoś złożyło - do czasu mojego przybycia na posterunek zniknęła mi z torebki. Również wyłącznie dlatego, że nie chciałam zaciemniać obrazu sytuacji. Ani robić z siebie pośmiewiska przez fakt, że zapomniałam nabić cholerstwa.

Kiedy zamykałam oczy, widziałam tamtego faceta. Czarne oczy o ciężkich powiekach, smagła skóra, długie dredy, wąsy i kozia bródka.

Potężny. Wyższy ode mnie. I silny. I szybki. Co jeszcze? Martwy. Bardzo martwy. Zastrzelony z bliskiej odległości z czterdziestki piątki.

Motywy mordercy były nieznane. Podobnie jak to, dlaczego mnie oszczędził.

Policję wezwała pani Bartle z naprzeciwka. Raz, żeby donieść o podejrzanych światłach widocznych przez okno sklepu, a potem kiedy usłyszała strzał.

Morelli i ja wysiedliśmy z windy i przeszliśmy parę kroków do mojego mieszkania. Otworzyłam drzwi, weszłam i włączyłam światło. Rex zatrzymał się w kołowrotku i zamrugał oczkami.

Morelli zajrzał od niechcienia do kuchni. Wszedł do salonu i zapalił

lampę. Zerknął do sypialni i łazienki, po czym wrócił do mnie.

- Tak sobie sprawdzam - wyjaśnił.

- Co sprawdzasz?

- Czy nie ma tego tajemniczego napastnika. Osunęłam się na krzesło.

- Nie wiedziałam, czy mi wierzysz. Właściwie nie mam aż tak pewnego alibi.

- Słonko, ty wcale nie masz alibi. Nie zapuszkowałam cię za morderstwo tylko dlatego, że jestem zbyt skonany, żeby jeszcze wypełniać te wszystkie formularze.

Byłam tak zmęczona, że nawet się nie obraziłam.

- Wiesz, że go nie zabiłam.

- Niczego nie wiem. Mam tylko prywatne przekonanie. A w moim przekonaniu nie zabiłaś tego faceta z dredami. Niestety, nie istnieją żadne fakty na poparcie tej teorii.

Morelli miał na sobie wysokie buty, dzinsy i grubą oliwkową wojskową kurtkę z mnóstwem kieszeni i klap, a także z nieco wytartymi mankietami i kołnierzem. Za dnia Morelli wygląda jak drapieźnik, ale czasami, późno w nocy, kiedy rysy miękną mu ze zmęczenia, a na twarzy pojawia się zarost, można dostrzec bardziej wrażliwą stronę jego charakteru. Wrażliwa strona charakteru Morellego jest dla mnie zdecydowanie niebezpieczna. Na szczęście dzisiaj się nie pokazała. Dziś Morelli był zmęczonym gliną i tyle.

Wszedł do kuchni i zajrzał do brązowego słoja na ciasteczka.

- Gdzie masz trzydziestkę ósemkę? Nie miałaś jej przy sobie i nie widzę nic w słoju.

- W pewnym sensie zginęła.

Zginęła mniej więcej o dwa domy od sklepu wujka Mo, ładnie ukryta w krzakach azalii. Kiedy wstąpiłam do domu, żeby wziąć prysznic, zadzwoniłam do Rangera i poprosiłam o dyskretne odzyskanie broni z ogródka.

- W pewnym sensie - mruknął Morelli. - Aha.

Odprowadziłam go do drzwi i zaryglowałam je za nim. Powlokłam się do sypialni i padłam na łóżko. Leżałam w ubraniu, światło paliło się w całym mieszkaniu, a ja zapadłam w sen dopiero wtedy, kiedy przez zasłony przebiły się pierwsze promienie słońca.

O dziewiątej otworzyłam jedno oko, ponieważ ktoś dobijał się do moich drzwi. Leżałam przez chwilę w nadziei, że natręt pójdzie sobie, jeśli go zignoruję.

- Otwierać, policja! - wrzasnął natręt.

Eddie Gazarra. Mój najlepszy kumpel z drugiej licealnej, obecnie mąż kuzynki Shirley.

Stoczyłam się z łóżka, poczłapałam do drzwi i wyrzłam, bardzo skrzywiona.

- Czego?

- Jezu - powiedział Eddie. - Ale wyglądasz. Jakbyś spała w tych ciuchach. W głowie mi łupało, a oczy paliły i szczypały.

- Dzięki temu mam mniej roboty rano - wyjaśniłam niewyraźnie. -

Szybciej nie wychodzi.

Gazarra pokręcił głową i cmoknął z dezaprobatą.

Mój wzrok zlokalizował wreszcie białą torbę z piekarni, którą Eddie piastował w wielkiej jak bochen łapie.

- Czy to może pączki?

- Jakbyś zgadła, siostró.

- A przyniosłeś kawę? Podniósł drugą torbę.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedziałam z gorącą wdzięcznością. -

I twoje dzieci, i dzieci twoich dzieci.

Gazarra przyniósł z kuchni dwa talerze i rolkę papierowych ręczników, które zaniósł do jadalni. Podzieliliśmy się sprawiedliwie pączkami i kawą i spożywaliśmy je w milczeniu, aż wreszcie jedynym śladem po nich stała się kropla truskawkowej galaretki na gorsie munduru Gazarry.

- Dobra, co to ma być? - spytałam wreszcie. - Wizyta towarzyska, wizyta z litości, demonstracja solidarności?

- Wszystko razem. A także prognoza pogody, której jeszcze nie słyszałaś.

- Mam nadzieję, że jest ciepło i słonecznie. Gazarra rozmazał sobie galaretkę po mundurze.

- W wydziale są ludzie, którzy chętnie zwałiliby to morderstwo na ciebie.

- To bardzo głupio. Nie miałam motywu. Nawet nie znałam faceta.

- Okazuje się, że to niejaki Ronald Anders. Aresztowany jedenastego listopada za posiadanie i sprzedaż substancji halucynogennych, a także nielegalne posiadanie broni. Dwa tygodnie później nie pojawił się na rozprawie w sądzie. Nie zdołano go odnaleźć...

aż do wczoraj. Zgadnij, kto wpłacił za niego kaucję.

- Vinnie.

- Właśnie.

Strzał w samą głowę. Nikt mi o tym nie wspomniał, nawet Morelli.

Pączki zaciążyły mi w żołądku.

- A Morelli? Czy Morelli chce mnie oskarżyć?

Gazarra wepchnął do torby kubki po kawie i serwetki, po czym zaniósł to wszystko do kuchni.

- Nie wiem. Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że na wszelki wypadek mogłabyś się przygotować.

Stanęliśmy przy drzwiach i spojrzeliśmy na siebie.

- Fajny z ciebie kumpel - powiedziałam.

- No - przyznał Gazarra. - Wiem.

Zamknęłam za nim, zaryglowałam się i oparłam czoło o futrynę.

Oczy mnie paliły, a ból promieniował na całą głowę. Jeśli kiedykolwiek powinnam zmusić się do jasnego myślenia, to właśnie teraz, ale nie potrafiłam wykrzesać z siebie ani pół myśli. Stałam tak przez parę minut i wyęczałam umysł. Nie doszłam do żadnych cudownych objawień ani błyskotliwych odkryć. Po chwili wydało mi się, że zapadłam w drzemkę.

Zastanawiałam się właśnie, czy nie wziąć prysznicza, kiedy do drzwi ktoś głośno zapukał. Przysunęłam oko do wizjera i wyjrzałam. Joe Morelli.

Niech to szlag.

Rozdział 5

- Otwieraj - powiedział. - Wiem, że tam jesteś. Słyszę twój oddech.

Obrzydliwe kłamstwo, ponieważ przestałam oddychać po pierwszym uderzeniu w drzwi.

Morelli znowu zapukał.

- No, Stephanie. Twój samochód stoi na parkingu. Wiem, że jesteś w domu. Pan Wolesky z naprzeciwka otworzył drzwi.

- Co, nie słyszałeś pan, że ludzie mogą brać prysznic? Spać? Być na spacerze? Ja tu próbuję oglądać telewizję. Hałasuj pan tak dalej, to zadzwonię na policję.

Morelli obrzucił go wzrokiem, od którego pan Wolesky natychmiast wycofał się do mieszkania. TRZASK, klik, klik.

Morelli odsunął się z pola mojego widzenia, ale dalej czekałam z okiem przyklejonym do wizjera. Usłyszałam otwierające się i zamykające drzwi windy, a potem zapadła cisza. Egzekucja odsunięta. Morelli w odwrocie.

Nie wiedziałam, o co mu chodziło i wydało mi się, że rozsądnie będzie nie dociekać, co to jest - na wypadek, gdyby w grę wchodziło na przykład aresztowanie. Podbiegłam do okna sypialni i wyjrzałam przez szczelinę pomiędzy zasłonami. Morelli wyszedł z budynku i wsiadł do nieoznakowanego samochodu.

Patrzyłam dalej, ale nic się nie działo. Morelli nie odjeżdżał.

Wyglądało na to, że rozmawia przez telefon, który ma w samochodzie.

Minęło parę minut, po czym mój telefon zadzwonił. Kurczę, pomyślałam, ciekawe kto to? Na wypadek, gdyby Morelli, zaczekałam aż włączy się sekretarka. Nie zostawiono mi żadnej wiadomości. Znowu wyjrzałam na parking. Morelli nie rozmawiał już przez telefon. Siedział i obserwował

budynek. Wzięłam krótki prysznic, przebrałam się w czyste ubranie, nakarmiłam Rexa i wróciłam do okna, żeby sprawdzić, czy Morelli już pojechał. Nie pojechał. Kurczę. Zadzwoniłam do Rangera.

- No? - powiedział.

- Tu Stephanie.

- Mam coś, co należy do ciebie.

- To duża ulga, ale mam teraz bardziej palący problem. Joe Morelli siedzi na moim parkingu.

- Wchodzi czy wychodzi?

- Istnieje słaba szansa, że chce mnie aresztować.

- Niezbyt dobry początek dnia, mała.

- Chyba mogę wyjść przez frontowe drzwi tak, żeby mnie nie zauważył. Możemy spotkać się u Bessie za pół godziny?

- Jasne.

Rozłączyłam się i zadzwoniłam do biura. Poprosiłam Lulę do telefonu.

- Tu maleństwo - zgłosiła się Lula.

- To ja, Stephanie. Musisz mnie podwieźć.

- Oż ty w życiu. To znowu te twoje numery?

- Tak, to te numery. Za dziesięć minut podjedź pod moje frontowe drzwi. Nie wjeżdżaj na parking. Masz jeździć wzdłuż budynku, aż zobaczysz, że stoję na chodniku.

Wysuszyłam włosy i znowu zerknęłam na Morellego. Bez zmian.

Pewnie mu zimno. Jeszcze piętnaście minut i wróci do budynku.

Zapięłam kurtkę, chwyciłam wielką torbę na ramię i po schodach zesłam na parter. Szybko przemierzyłam mały hol i wyszłam przez drzwi frontowe.

Nie zauważyłam Luli, więc skuliłam się i przywarłam plecami do ściany. Do tej pory nie mogłam uwierzyć, że Morelli przyszedł mnie aresztować, ale w końcu zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Codziennie jakiś niewinny człowiek zostaje oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił.

Oczywiście Morelli najprawdopodobniej chce mnie zabrać na kolejne przesłuchanie. To też mi nie odpowiadało.

Usłyszałam Lulę, zanim ją zobaczyłam. Dokładnie mówiąc, poczułam wibracje pod podeszwami butów i w klatce piersiowej. Firebird zatrzymał się tuż przede mną. Lula podskakiwała w rytm muzyki i poruszała ustami. Um pa pa, um pa pa.

Wskoczyłam na miejsce obok niej i gestem nakazałam jechać dalej.

Firebird ożył i pomknął przed siebie.

- Dokąd jedziemy? - wrzasnęła Lula. Ściszyłam radio.

- Do Bessie. Spotykam się z Rangerem.

- Buick też ci nawalił?

- Nie buick. Moje życie nawala. Słyszałaś o zabójstwie u wujka Mo?

- O tym, że skasowałaś Ronalda Andersa? No pewnie, że słyszałam.

Każdy słyszał.

- Nie skasowałam nikogo! Byłam nieprzytomna. Ktoś go zabił, kiedy straciłam przytomność.

- Jasne. Tak się zawsze mówi, ale naprawdę... no wiesz, żywy lub martwy, nie?

- Nie!

- Dobra, dobra. Po co się tak unosić. Dlaczego muszę cię podwozić do Bessie?

- Bo Joe Morelli rozbił namioty na moim parkingu. Chce ze mną porozmawiać, ale ja nie chcę.

- Chyba cię rozumiem. Ma fajną dupcię, ale to w końcu glina.

„U Bessie” to kawiarnia i ciastkarnia za rogiem przy ubezpieczalni.

Mała odrapana klitka z brudnymi podłogami i oknami, niemal zawsze pękająca w szwach od chronicznie bezrobotnych i pracowników ubezpieczeń społecznych. Fantastyczne miejsce, jeśli chce się wypić fatalną tanią kawę i zniknąć w anonimowym tłumie.

Lula wysadziła mnie przed kawiarnią, podkręciła radio tak, że szyby zadrżały i odjechała. Łokciami utorowałam sobie drogę do wnętrza kafejki, w której czekał na mnie Ranger. Zajął ostatni stółek przy ladzie i usiadł plecami przy ścianie. Nigdy nie pytałam, w jaki sposób zawsze udaje się mu zająć najlepsze miejsce. Czasami lepiej jest nie wiedzieć.

Usiadłam obok niego i uniosłam brew na widok kawy z faworkami.

- Myślałam, że nie zanieczyszczasz sobie organizmu -

powiedziałam. Ostatnio Ranger przerzucił się na zdrowe żywienie.

- Rekwizyty - pouczył mnie. - Nie chcę się wyróżniać.

Nie miałam serca rozwiewać jego złudzeń, ale Ranger nie wyróżniałby się tylko pomiędzy Rambo i Batmanem.

- Mam problem - oznajmiłam. - Zdaje się, że wpadłam po uszy.

- Mała, wpadłaś po uszy od pierwszego dnia, w którym cię spotkałem. Zamówiłam kawę i zaczekałam, aż mi ją podadzą.

- Tym razem to coś innego. Mogę być podejrzana o popełnienie morderstwa, Ten facet w sklepie Mo to Ronald Anders. Jeden z uciekinierów Vinniego.

- Powiedz mi coś więcej.

- Poszłam do wujka Mo, żeby się rozejrzeć w sytuacji.

- Zaraz - przerwał mi. - Włamałaś się do sklepu?

- No, tak jakby. Miałam klucz. Ale z technicznego punktu widzenia to chyba bezprawne wejście na teren cudzej posiadłości.

- Fajnie.

- No więc byłam w sklepie i zauważyłam, że ktoś przechodzi koło wystawy, więc chciałam wyjść przez tylne drzwi. Zanim zdążyłam, usłyszałam kroki, a potem ktoś zaczął gmerać w zamku. Ukryłam się w łazience. Tylne drzwi otworzyły się i zamknęły. Drzwi piwnicy otworzyły się i zamknęły. A potem drzwi łazienki otworzyły się i stanęłam oko w oko z jakimś wielkim, wkurzonym facetem z dreadami, który rzucił mną o ścianę. Kiedy odzyskałam przytomność, facet już nie żył. Mówi ci to coś?

- Mówi mi to tyle, że kiedy leżałaś nieprzytomna, pojawił się ktoś inny i zastrzelił Ronalda Andersa.

- Kto? Kto mógłby to zrobić?

Spojrzeliliśmy na siebie i daję głowę, że oboje pomyśleliśmy to samo.

Mo.

- Nieee - powiedziałam wreszcie. - To niemożliwe. Ranger wzruszył ramionami.

- To idiotyczne - uparłam się. - Mo nie jest człowiekiem, który lata z bronią i strzela do ludzi.

- Kto jeszcze mógł zastrzelić Andersa?

- Ktokolwiek.

- To już dużo wiemy. - Ranger położył na ladzie piąta i wstał. -

Rozejrzę się w sytuacji.

- A moja broń?

Włożył mi do torebki trzydziestkę ósemkę.

- Nie na wiele ci się przyda, jeśli jej nie nabijesz.

- Jeszcze jedno - powiedziałam proszaco. - Podwieziesz mnie do biura?

Connie zerwała się z miejsca, kiedy wpadłam przez drzwi.

- Nic ci nie jest? Lula powiedziała, że wczoraj ktoś cię dosłownie znokautował.

- Tak, nic mi nie jest. Tak, ktoś mnie znokautował. Nie, nie zabiłam Ronalda Andersa.

Vinnie wyskoczył z gabinetu.

- Jezuniu, patrzcie, kto przyszedł! - zakrzyknął z jadowitą uciechą. -

Łowca nagród z piekła rodem. Pewnie chcesz pieniądze za skasowanie Andersa.

- Nie skasowałam Andersa! - wrzasnęłam.

- Pewnie, pewnie - zbył mnie Vinnie. - Jak wolisz. Tylko następnym razem nie strzelaj facetowi w plecy. To nieładnie wygląda.

Pokazałam mu odpowiedni palec, ale zniknął w gabinecie, zamykając za sobą drzwi.

- Gadaj - ponagliła mnie Connie z oczami wielkimi jak spodki. -

Chcę usłyszeć każdy szczegół.

Prawda wyglądała tak, że nie miałam zbyt wiele do powiedzenia, ale posłusznie jeszcze raz streściłam wszystko od początku.

Kiedy skończyłam. Lula westchnęła z niesmakiem.

- Bardzo kulawa historia - oznajmiła. - Gliny rzucają się na ciebie jak muchy na krwi placek.

- Ustalmy fakty - powiedziała Connie. - Nie widziałas mordercy. Nie poczułaś go ani nie usłyszałaś. Czyli nie masz nawet cienia pomysłu na to, kto to może być.

- Wiem, że przyszedł z zewnątrz. I uważam, że Ronald Anders go znał. Wydaje mi się, że wpuścił go do sklepu, a potem odwrócił się do niego plecami.

- Wspólnik?

- Może.

- A może to Stary Penisowy Nos - wtrąciła Lula. - Może Ronald Anders brał wszystko na kredyt i nie zapłacił za snickersy, więc staruszek musiał go trzasnąć.

- Obrzydliwe - zgorszyła się Connie. - To nawet nie jest śmieszne.

- Ha - sapnęła Lula. - Masz lepszy pomysł?

- Tak. Mam pomysł, żebyś zabrała się do roboty i nie opowiadała głupot o wujku Mo.

- Też bym chciała zabrać się do pracy - powiedziałam - ale nie wiem, co mam zrobić. Znalazłam się

w ślepym zaułku. Jako łowca nagród jestem kompletnie do lu u

□ .

- Nie jesteś do lu u

□ - pocieszyła mnie Connie. - W tym tygodniu

złapałaś już jednego. Ronalda Andersa.

- Bo był martwy!

- No, tak to czasem bywa. - Connie wyciągnęła z dolnej szuflady stosik akt. - Nawaliłaś tylko z Mo. Powinnaś popracować nad innymi sprawami. - Wzięła pierwszą teczkę z wierzchu i zajrzała do środka. -

Leroy Watkins. Dostałam go wczoraj i jeszcze nikomu nie przydzieliłam.

Możesz go wziąć, jeśli chcesz.

- To jakiś psychol, tak? - spytałam. - Zepsułam sobie opinię jak nigdy w życiu. Nie wezmę już nikogo, kto jest tutejszym misterem popularności.

- Znam Leroya - odezwała się Lula. - Ma ksywkę Wąż, ze względu na to, że jego mały jest...

Zacisnęłam powieki.

- Nie mów. - Spojrzałam boleśnie na Connie. - Co zrobił, że go aresztowano?

- Chciał sprzedać ćpunowi narkotyki.

- Stawiał opór?

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała Connie. - W oskarżeniu nie ma wzmianki o strzelaniu do policjantów.

Wzięłam od niej teczkę. Jeśli Leroy Watkins jest naprawdę w stu procentach brzydki, ostatecznie mogłabym spróbować. Spojrzałam na fotografię. Jezu! Był brzydki, bez dwóch zdań.

- Zgoda, zobaczę, czy go znajdę. - Zerknęłam na Connie. - Jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Na przykład, czy w chwili aresztowania miał

przy sobie broń?

- Nic nadzwyczajnego - oznajmiła niedbale. - Czterdziestka piątka, dwudziestka dwójka, nóż.

Nie wiedziałam, że mój głos może osiągać tak wysokie rejestry.

- Dwa gnaty i nóż? Zapomnij! Co, wyglądam na samobójczynię?

Przez chwilę wszystkie oceniałyśmy w milczeniu moje szansę przeżycia.

- Mogłabym pójść z tobą - odezwała się wreszcie Lula. - Załatwię to dyskretnie. Dyskretnie? Lula?

- Myślisz, że jest niebezpieczny? - zaciekawiała się Connie.

- Harcerzem to on nie jest. Ale nie wiem, czy będzie mu się chciało nas pozabijać. Pewnie nie zjawił się w sądzie, bo postanowił postać trochę na ulicy i przynajmniej zebrać dość kasy, zanim go zamkną. Znam jego kobietę, Shirlene Mogłybyśmy z nią porozmawiać.

Porozmawiać z jego kobietą. To brzmiało rozsądnie. Pomyślałam, że z tym chyba sobie poradzę.

- Dobrze - powiedziałam. - Spróbujemy.

Shirlene mieszkała na drugim piętrze w budynku bez windy na południowym krańcu Stark Street. Na cementowym ganku leżała warstwa granulek soli przeżerającej się przez wczorajszy śnieg, z którego powoli robiła się zamarznęta szara breja. Frontowe drzwi budynku, zniszczone przez deszcz i wiatr, stały otworem. Mały korytarzyk był przerażająco mokry i zimny.

- Tu jest jak w chłodni - powiedziałam. Lula prychnęła.

- A owszem, właśnie tak. Jak w chłodni. Bez dwóch zdań. To jest właśnie problem ze Stark Street. Cała jest jak chłodnia.

Zanim dotarliśmy na drugie piętro, obie zdążyłyśmy się zadyszeć.

- Muszę poprawić kondycję - wychrypiałam. - Muszę zapisać się na siłownię czy coś w tym stylu.

- Ja tam mam świetną kondycję - zipnęła Lula. - Tylko ta wysokość mnie wykańcza. Gdyby nie było tak wysoko, serce by mi tak nie biło. -

Spojrzała na drzwi Shirlene.

- Co zrobimy, jeśli Wąż jest w domu? Chyba powinnam spytać, skoro nie lubisz przemocy - wyjąwszy chwilę, kiedy jesteś nieprzytomna.

- Wąż ma tu być? Teraz mi mówisz, że Wąż tu mieszka?

Lula spojrzała na mnie okrągłymi oczami, wielkimi jak spodki.

- To znaczy, że nie zrozumiałaś od razu?

- Myślałam, że idziemy do mieszkania jego kobiety.

- No tak - przyznała Lula. - Ale tak się składa, że to także mieszkanie Węża.

- O kurczę.

- Nic się nie bój - pocieszyła mnie Lula. - Jak tylko ten cały Wąż zacznie sprawiać kłopoty, wezmę go krótko przy pysku. - Zapukała do drzwi. - Nie zniosę, żeby taki ktoś źle mnie traktował.

Nikt nie otworzył, więc zapukała głośniej.

- HEJ! - wrzasnęła.

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu, nasłuchując, a potem z mieszkania, o parę kroków od drzwi, rozległ się ni mniej, ni więcej, tylko charakterystyczny szczęk ładowanej strzelby.

Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy i razem pomyślałyśmy to mimo: O, W PYSK! Obróciłyśmy się na pięcie i pogalopowałyśmy po schodach, na podest pierwszego piętra.

BUM! Kula wyrwała półmetrową dziurę w drzwiach Shirlene, a ze ściany naprzeciwko odłupiała tynk.

- Z drogi! - ryknęła Lula. - Ratuj się kto może!

Pierwsza dopadłam następnego biegu schodów, ale Lula potknęła się na pierwszym schodku, trzy następne przejechała na tyłku i zmiotła mnie, jakbym była kręglem, a ona kulą. Resztę dystansu przejechałyśmy na siedząco, wrzeszcząc i przeklinając, aż wreszcie wylądowałyśmy na podłodze, splątane w jeden kłęb.

Podniosłyśmy się i wypadłyśmy na zewnątrz, o mały włos nie wrywając drzwi z zawiasów. Przegalopowałyśmy dwie i pół przecznicy do firebirda, po czym ruszyłyśmy jak w Formule 1. Żadna z nas nie odezwała się ani słowem, dopóki nie znalazłyśmy się przed biurem Vinniego.

- Nie to, żeby mnie przestraszył - oznajmiła wówczas Lula. - Tylko nie chciałam pobrudzić sobie krwią tego dresu, który jest całkiem nowy.

Wiesz, jak trudno sprać krew.

- Aha - przytaknęłam, ciągle jeszcze dysząc. - Krew jest kurewska.

- Może trochę się przestraszyłam - powiedziała Lula. - No wiesz, ten palant chciał nas tam powystrzelać! Kurde. Co on sobie wyobraża? Co się z nim dzieje?

- Muszę znaleźć nową pracę - wydyszałam. - Nie lubię, jak się do mnie strzela.

- Mówię ci, jak tak sobie teraz o tym myślę, zaczynam się wkurzać.

Za kogo się ten palant uważa, co? Zaraz do niego zadzwonię i mu wygarnę.

Podaliśmy jej teczkę z aktami.

- Proszę bardzo. Numer telefonu jest na pierwszej stronie. A skoro już dzwonisz, powiedz mu, żeby się tu przywłókł, bo kiedy następnym razem ktoś zapuka do jego drzwi, to będzie Ranger.

- A pewnie - ucieszyła się Lula. - Ranger mu pokaże, łachudrze.

Ranger mu przykopie, że hej.

- Rany, jak ja nie lubię, kiedy do mnie strzelają - powiedziałam. -

Strasznie tego nie lubię!

Lula otworzyła drzwi z rozmachem.

- Nie godzę się na to. Nie będę stać bezczynnie, kiedy się mnie tak traktuje - Ani ja - przyświadczyłam, uniesiona nastrojem chwili. - Tego łachmytę trzeba zamknąć.

- Właśnie - zgodziła się Lula. - I to my go zamkniemy!

Tego nie byłam już taka pewna, ale pozwoliłam sprawom toczyć się swoim torem. Obie wmaszerowałyśmy do biura niczym hitlerowskie wojska atakujące Polskę.

Connie podniosła głowę znad papierów.

- Oho, co się dzieje?

- Właśnie do nas strzelano - warknęła Lula i wysunęła dolną wargę.

- Uwierzysz? Już bywałam obecna przy strzelaninach. Przywykłam do takiego draństwa. Ale to draństwo jest inne. To draństwo było skierowane bezpośrednio we mnie. To mi się wcale nie spodobało. To draństwo mnie obraża, wiesz, o co mi chodzi;

Connie uniosła brwi.

- Leroy Watkins?

- Strzelał do nas przez zamknięte drzwi. Connie skinęła głową.

- I?

- I uciekłyśmy - powiedziałam. - Lula martwiła się, że popłami sobie krwią ten nowy ocieplany dres.

Lula trzymała akta w jednej ręce, a słuchawkę w drugiej.

- Ten cały Leroy Watkins nie wymknie mi się tak łatwo. Zaraz do niego zadzwonię i tak mu powiem...! Tak mu powiem, że zobaczy.

Wystukała numer i stanęła, podparta pod boki.

- Daj no Leroya - powiedziała.

Ktoś odezwał się po drugiej stronie, a Lula pochyliła się naprzód.

- Dlaczego nie mogę z nim porozmawiać? Prawie odstrzelił mi łeb, a teraz nie może podejść do telefonu? Żebym ja do niego nie podeszła!

Connie odzyskała telefon po pięciominutowej kłótni.

- Podobno Wąż nie wiedział, że to my - oznajmiła Lula. -

Powiedział, że pójdzie z nami do sądu, jeśli wrócimy.

- To do kogo strzelał? - zaciekawiałam się.

- Powiedział, że nie wiedział. Powiedział, że w tych czasach trzeba zachować ostrożność.

- Rozwalił drzwi!

- Zdaje mi się, że w jego zawodzie jest się o co martwić. Chwyciłam torbę.

- Dobra, skończmy z tym.

- Robota zaczyna mnie przywalać - odezwała się Connie do Luli. -

To ci chyba nie zajmie całego dnia, co?

- No pewnie, że nie. Wrócimy przed obiadem.

Włożyłam rękawiczki, ale nad czapką już się zastanowiłam. Czapkę wkładasz rano, a potem przez cały dzień wyglądasz idiotycznie.

Oczywiście i tak nie prezentowałam się dziś zachwycająco. Nie chciałam tylko pogarszać sytuacji. Zwłaszcza, jeśli Morelli dalej siedzi na moim parkingu. A gdyby zdarzyło się to najgorsze i gdyby mnie aresztował... nie chciałabym mieć na zdjęciu w policyjnych aktach włosów jak debilka.

Pomknęłyśmy na Stark Street, każda zatopiona we własnych rozmyślaniach. Moje dotyczyły przeważnie ciepłych plaż i półnagich mężczyzn podających mi chłodne drinki. Kamienna maska na twarzy Luli świadczyła, że jej myśli są znacznie bardziej mroczne.

Lula zatrzymała samochód pod mieszkaniem Shirlene i wysiadła ciężko z samochodu. Stałyśmy na chodniku i spojrzałyśmy w okna na drugim piętrze.

- Powiedział, że do nas nie strzeli, zgadza się? - uściśliłam, tak na wszelki wypadek.

- Tak właśnie powiedział.

- Wierzysz mu?

Lula wzruszyła ramionami.

Ranger wtargnąłby do mieszkania z wyciągniętą bronią, ale to było nie w moim stylu. Czułabym się głupio z gnatem w dłoni. W końcu, na co mi to? Zastrzelę Leroya Watkina, jeśli nie zgodzi się zejść ze mną do samochodu? Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Skrzywiłam się do Luli. Odpowiedziała tym samym. Weszliśmy do budynku i powoli wdrapałyśmy się po schodach, nasłuchując szczęku strzelby.

Na drugim piętrze zastałyśmy Shirlene, która przyglądała się temu, co zostało z jej drzwi. Była średniego wzrostu, szczupła i muskularna, w wieku pomiędzy dwudziestką a pięćdziesiątką. Miała na sobie różowe pantofle, spłowiałe różowe ocieplane spodenki, o numer za małe i taki sam sweter, upstrzony różnobarwnymi śladami jedzenia, z których żaden nie wyglądał na świeży. Miała krótkie postrzępione włosy i usta o opuszczonych kącikach. Jej spojrzenie nie wyrażało niczego. W jednej ręce trzymała fragment kartonowego pudełka, w drugiej młotek.

- Nic nie przybijesz do tych tandetnych drzwi - powiedziała Lula. -

Musiałybyś mieć ćwieki. To jedyne, co utrzyma tę tekturę.

- Nie mam - warknęła Shirlene.

- Gdzie Leroy? Nie zacznie znowu do nas strzelać, co?

- Leroy poszedł.

- Poszedł? Co to znaczy?

- Że poszedł.

- Dokąd?

- Nie wiem.

- Kiedy wróci?

- Też nie wiem.

Lula podparła się pod boki.

- No, to co wiesz?

- Że muszę naprawić te drzwi - wyjaśniła Shirlene niezyczliwie. - A wy mi przeszkadzacie.

Lula weszła do mieszkania.

- Mogę się rozejrzeć, prawda?

Shirlene nie zaprotestowała. Obie wiedziałyśmy, że nic z wyjątkiem armatki wodnej nie zdoła powstrzymać Luli przed rozejrzeniem się po domu.

Lula zniknęła na chwilę w głębi mieszkania.

- Masz rację - powiedziała, ponownie zjawiwszy się pomiędzy nami.

- Poszedł sobie. Wziął jakieś ciuchy? Tak, jakby miało go nie być przez dłuższy czas?

- Wziął sportową torbę, a wiesz, co w niej nosi.

Spojrzałam na Lulę z brwiami uniesionymi w milczącym pytaniu.

Lula wycelowała we mnie palec.

- A - zrozumiałam.

- Mój czas jest cenny - oznajmiła Lula zwracając się do Shirlene. -

Co napadło twojego starego, że mnie tak traktuje? Myśli, że nie mam nic do roboty, jak tylko latać po tych waszych schodach?

Dałam Shirlene wizytówkę i powlokłam się z powrotem. Lula przez całą drogę narzekała.

- Do góry, na dół, do góry, na dół. Niech Leroy się modli, żebym go nie złapała.

Ja wcale nie byłam niezadowolona, że nie udało mi się go schwytać.

To by oznaczało, że muszę go odstawić na posterunek, a posterunek był w tej chwili ostatnim miejscem, które życzyłam sobie odwiedzić.

- Może powinniśmy zajrzeć do barów - powiedziałam bez entuzjazmu.

- Wąż o tej porze nie siedzi w barze - odparła Lula. - Bardziej prawdopodobne, że płącze się po szkolnych podwórkach i czeka na klientów.

To obudziło we mnie słaby impuls do działania.

- Dobrze. Sprawdźmy szkoły.

Przez godzinę objechałyśmy wszystkie szkoły, ale Węza nie znalazłyśmy.

- Masz inne pomysły? - spytałam.

- Kto podpisał się na umowie o wpłaceniu kaucji?

- Shirlene.

- Nikt więcej? Żadna inna kobitka?

- Nie. Tylko Shirlene.

- No, nie wiem. Zazwyczaj taki facet stoi na ulicy. Nawet przy zlej pogodzie. - Powoli jechałyśmy przez Stark. - Ale dzisiaj nikogo nie widzę.

Nie ma nawet kogo spytać.

Dojechałyśmy do rogu, na którym zwykle stała Jackie, ale tu także było pusto. Może jest z klientem - powiedziałam.

Lula pokręciła głową.

- E tam. Ona dziś nie pracuje. Siedzi na tym parszywym parkingu i czeka na starego. Daję głowę.

Lula objechała mój dom, a ja wypatrywałam Morellego. Nie zauważyłam jego samochodu ani niczego, co przypominałoby gliniarza albo glinomobil, więc wysiadłam. Ostrożnie przeszłam przez hol, nie całkiem przekonana, że Morelli dał za wygraną. Rozejrzałam się i wbiegłam na schody. Na razie w porządku. Wspięłam się na swoje piętro, uchyliłam drzwi na korytarz, wyjrzałam i westchnęłam ulgą. Ani śladu Morellego.

Nie mogłam go unikać przez resztę życia, ale postanowiłam schodzić mu z drogi tak długo, aż znajdzie innych podejrzanych.

Weszłam do domu. Przywitał mnie chrobot kołowrotka, w którym biegał Rex. Ryglowałam za sobą drzwi, powiesiłam torbę i kurtkę na jednym z czterech wieszaków, które przybiłam na ścianie małego przedpokoju, i weszłam do kuchni.

Na sekretarce migało światełko. Cztery wiadomości. Pierwsza pochodziła od Morellego.

- Zadzwoń.

Wiedziałam, że to Morelli, bo na dźwięk jego głosu zawsze czułam mrowienie w sutkach. Tym razem dźwięczało w nim wyraźne rozdrażnienie. Wcale mu się nie dziwiłam.

Druga brzmiała tak samo tajemniczo.

- Zostaw Mo w spokoju albo...

Głos mężczyzny, stłumiony. Nie do rozpoznania. Świetnie. Właśnie tego mi trzeba. Anonimowych grózb.

Trzecia pochodziła z warsztatu nissana. Mechanik zawiadamiał

mnie, że wymienił świece i styki. Samochodzik jest gotowy i czeka na mnie.

Czwarta była od mojej matki.

- Stephanie! Jesteś tam? Nic ci nie dolega? Co to za gadanie o strzelaninie? Halo? Halo?

W Miasteczku dobre wiadomości szybko się rozchodzą. Złe - jeszcze szybciej. A jeśli chodzi o skandal, całe życie staje, dopóki każdy szczegół

zajścia nie zostanie streszczony, przebadany, rozgłoszony i upiększony.

Gdybym zaczęła słuchać tego, co się mówi o mnie w dzielnicy, pewnie padłabym trupem.

Zadzwoniłam do rodziców, ale numer był zajęty. Zastanowiłam się, czy to zwalnia mnie z obowiązkowej wyjaśniającej rozmowy i uznałam, że jednak nie.

Zrobiłam sobie kanapkę z tuńczykiem, kartoflami i piklami i zjadłam ją przy stole w kuchni.

Znowu zadzwoniłam do matki. Nadal zajęte.

Wyczyściłam klatkę Rexa, którego włożyłam do wanny. Potem wyczyściłam wannę. Potem resztę łazienki. Przejechałam podłogę odkurzaczem. Wytarłam na mokro podłogę w kuchni. Zeskrobałam jedną warstwę zaskorupiałych resztek na kuchence. To tak na wypadek, gdyby mnie aresztowano. Nie chciałam, żeby matka przyszła do mojego mieszkania i zobaczyła ten brud.

O trzeciej dałam sobie spokój ze sprzątaniami i znów spróbowałam zadzwonić do domu. Bez rezultatu.

Zadzwoniłam do Sue Ann, żeby się czegoś dowiedzieć i otrzymałam pełen pakiet nowości. Na Sue Ann zawsze można polegać.

- Słyszałaś kiedykolwiek, żeby wujek Mo był... dziwny?

- Dziwny?

- W kwestiach miłosnych.

- Ty coś wiesz! - wrzasnęła Sue Ann z podnieceniem. - Co to jest?

Co to jest? Jakaś paskudna plotka, tak? Wujek Mo ma romans?

- Nie wiem. Tylko się zastanawiam. Zapomnij, że coś mówiłam.

Rozłączyłam się i znowu przypuściłam atak na numer matki. Ciągłe gadał.

Zbliżała się czwarta i na dworze zaczęło się ściemniać. Podeszłam do okna i spojrzałam na parking. Morellego ani śladu.

- I co o tym sądzisz? - spytałam Rexa. - Powinnam dzwonić czy pojechać?

Rex zasugerował mi telepatycznie, że osobisty kontakt z matką łączy się z możliwością wyżebrania kolacji.

Pomyślałam, że jest bardzo inteligentny, biorąc pod uwagę fakt, że jego mózdek ma rozmiary wyschniętego ziarnka grochu.

Złapałam torbę i kurtkę. Wyrzałam przez wizjer na korytarz. Nikt nie czaił się w zasięgu wzroku. Uchyliłam drzwi i wyrzałam. Teren czysty.

Ruszyłam po schodach, przebiegłam przez hol i wyszłam na parking przez tylne drzwi.

Staruszkowie zawsze zajmują najlepsze miejsca przy wyjściu, więc mój buick stał przy zewnętrznym krańcu parkingu, obok śmietnika.

Z ulicy St. James dobiegał mnie jednostajny szum samochodów, latarnie migały spokojnie. Już prawie dopadłam buicka, kiedy czarny jeep cherokee wjechał nagle na parking i zatrzymał się z piskiem opon.

Przyciemniana szyba od strony kierowcy zjechała w dół i przez okno wyrzał facet w masce narciarskiej. Wymierzył we mnie czterdziestkę piątkę i wystrzelił dwa razy; pociski uderzyły w asfalt tuż pod moimi stopami. Stałam jak przymurowana, sparaliżowana zgrozą.

- To było ostrzeżenie - odezwał się mężczyzna. - Przestań szukać Mo. Następnym razem te kule trafią w twój mózg.

Wystrzelił trzy razy w masywną żelazną ścianę śmietnika.

Przykucnęłam. Ostatnia kula świsnęła mi nad głową.

Okno zasunęło się i samochód z wizgiem wypadł z parkingu.

Rozdział 6

Pozbierałam się z ziemi, kiedy tylko serce znowu zaczęło mi bić.

Lękliwie wyrzałam zza śmietnika. W moją stronę zmierzała pani Karwatt. Była już w połowie parkingu. Szła wymijając zlodowaciałe fragmenty chodnika. Do piersi przyciskała mały worek ze śmieciami.

- Widziała pani? - zawołałam do niej głosem, który osiągnął

częstotliwości słyszalne chyba tylko dla psów.

- Co?

- Tego człowieka w samochodzie. Strzelał do mnie!

- Nie!

- Nie słyszała pani?

- Na miłość boską! A to dopiero. Myślałam, że to gaźnik tak strzela.

Wpatrywałam się w ten lód na chodniku. Trzeba bardzo uważać. Moja siostra pośliznęła się zeszłej zimy i złamała sobie biodro. Musiałam oddać ją do domu starców. Nigdy zupełnie nie wyzdrowiała. Ale nie jest jej tam źle. Dwa razy w tygodniu dostaje na deser zieloną galaretkę.

Przejechałam drżącą ręką po podziurawionej przez kule ścianie śmietnika.

- Po raz drugi tego dnia ktoś do mnie strzelał!

- Dochodzi do tego, że człowiek nie może wyjść z domu - przyznała pani Karwatt.

- Pełno lodu i strzelanin. Od kiedy człowiek stanął na księżycu, cała planeta schodzi na psy.

Ja też szukam kogoś, kogo mogłabym obarczyć odpowiedzialnością za moje żałosne życie, ale chyba nie można zwalić wszystkiego na Neila Armstronga.

Pani Karwatt rzuciła worek do śmietnika i wróciła do domu.

Właściwie miałam ochotę iść z nią, ale kolana mi się trzęsły, a stopy nie chciały się oderwać od ziemi.

Po pewnym czasie zdołałam otworzyć drzwi buicka. Padłam na siedzenie i zacisnęłam obie dłonie na kierownicy. Dobrze, pomyślałam.

Weź się w garść. Miałaś dwa nieprzyjemne przeżycia. Po raz pierwszy strzelano do ciebie, bo zostałaś wzięta za kogoś innego. Po raz drugi... po raz drugi co? Grożono mi śmiercią.

JASNA CHOLERA.

Wyciągnęłam telefon komórkowy i zadzwoniłam do Morellego.

- Ktoś właśnie do mnie strzelał! - wrzasnęłam w słuchawkę. -

Wsiadałam do samochodu na moim parkingu, a ten gość w narciarskiej masce podjechał i powiedział, żebym przestała szukać Mo. A potem strzelił do mnie. Powiedział, że to ostrzeżenie. I odjechał.

- Jesteś ranna?

- Nie.

- Grozi ci bezpośrednie niebezpieczeństwo?

- Nie.

- Narobiłaś w gacie?

- Bardzo niewiele brakowało. Zamilkł na chwilę. Zastanawiał się.

- Spisałaś jego rejestrację? Możesz mi podać rysopis tego typu?

- Byłam zbyt przerażona, żeby zapisywać cokolwiek. Facet był

średniego wzrostu. Biały. Tyle wiem.

- Poradzisz sobie?

- Tak - pokiwałam głową. - Już mi lepiej. Tylko... musiałam z kimś pogadać.

- Skoro już rozmawiamy... - zaczął Morelli.

Cholera! Zapomniałam, że się przed nim ukrywam! Natychmiast skończyłam rozmowę. Nic się nie bój, powiedziałam do siebie. Nic się nie stało. Ale chyba lepiej nie stać tak na tym parkingu. To dawało mi dwie możliwości. Mogłam odwiedzić rodziców albo wrócić do domu i schować się w szafie. Szafa miała swój urok, ale kiedyś będę musiała z niej wyjść, a wtedy będzie już po kolacji.

Najpierw kolacja, zdecydowałam. Potem szafa.

Kiedy matka otworzyła drzwi, nie uśmiechała się.

- No i? - powiedziała.

- To nie ja.

- W dzieciństwie zawsze tak mówiłaś i zawsze kłamałaś.

- Jak Boga kocham - przysięgam. - Nikogo nie zastrzeliłam.

Przypadkowo zostałam ogłuszona, a kiedy się ocknęłam, leżałam obok martwego faceta.

- Zostałaś ogłuszona! - Matka złapała się za głowę. - Dlaczego moja córka włóczy się po miejscach, gdzie każdy może ją ogłuszyć!

Babcia Mazurowa stała już za nią.

- Na pewno mu nie wkropiłaś? - spytała z nadzieją. - Dotrzymam tajemnicy, przyrzekam.

- Nie wkropiłam mu!

- A to szkoda. Miałabym co opowiadać dziewczynom w salonie piękności. Ojciec siedział w salonie i nie zwracał uwagi na nic poza telewizorem.

- Ehe - mruknął nie poruszając nawet jednym mięśniem.

Pociągnęłam nosem.

- Pachnie klopsem.

- Betty Szajack dała mi nowy przepis - powiedziała matka. - Trzeba dodać pokrojone oliwki i namoczoną bułkę zamiast krakersów.

Najlepszy sposób na rozbrojenie mojej matki to rozmowa o jedzeniu. Od trzydziestu lat wyrażamy miłość i gniew poprzez sosy i tłuczone kartofle.

- Zostajesz na kolacji? - chciała wiedzieć matka. - Na deser będzie ciasto imbirowe z czekoladowym lukrem.

- Jasne - powiedziałam. - Bardzo chętnie.

Pomogłam babci Mazurowej nakryć do stołu, a matka kończyła gotowanie. Mieliśmy już siadać, kiedy do drzwi ktoś zadzwonił.

- Pewnie gazeciarz chce z nas wycisnąć jeszcze więcej pieniędzy -

domyśliła się babcia. - Ale nie ze mną te numery.

Otworzyłam drzwi i spojrzałam prosto w brązowe oczy Joe Morellego. Wyszczrzył zęby.

- Niespodzianka.

- Czego chcesz?

- Chodzi ci o listę krótszą czy dłuższą?

- Nie chodzi mi o żadną listę. - Zamierzałam zamknąć drzwi, ale Morelli wepchnął się do domu. - Wynocha! - warknęłam. - Nie pora na to.

W ogóle nie zwrócił na mnie uwagi i pomaszerował prosto do salonu.

- Dzień dobry - odezwał się do mojej matki. Ojcu skinął głową, a do babci puścił oko.

- Mamy klopsa z oliwkami - powiedziała babcia Mazurowa. - Ma pan ochotę? Jest go mnóstwo.

- Nie chciałbym się narzucać - oznajmił Morelli obłudnie. Na coś takiego musiałam zrobić odpowiedni grymas.

Matka postawiła dodatkowe krzesło obok mojego miejsca i na stole jeszcze jeden talerz.

- Nie moglibyśmy pana wypuścić bez kolacji - powiedziała.

- Ja bym mogła - mruknęłam.

Matka palnęła mnie w czubek głowy drewnianą chochlą.

- Panna Impertynentka!

Morelli nałożył sobie dwa kawały klopsa, górę tłuczonych kartofli, zielony groszek i sos jabłkowy. Wdał się w grzeczną rozmowę z matką i babcią i przedyskutował z ojcem wyniki meczów. Z pozoru wydawał się rozluźniony i pogodny, ale czasami przyłapywałam go, kiedy przyglądał

mi się wzrokiem, jakim ropucha szacuje wyjątkowo smakowitego owada.

- A co jest między panem i moją wnuczką? - wypaliła babcia. -

Skoro przyszedł pan na kolację, to pewnie sprawy wyglądają poważnie.

- Z każdą chwilą coraz poważniej - poświadczył Morelli.

- Razem pracujemy - warknęłam. - To wszystko. Morelli rozwalił się na krześle.

- Nie powinnaś okłamywać babci. Wiesz, że za mną szalejesz.

- A to dopiero - powiedziała babcia, najwyraźniej zauroczona. - Czy on nie jest wyjątkowy?

Morelli pochylił się ku mnie i zniżył głos.

- Skoro mówimy o pracy, muszę z tobą przedyskutować na osobności pewną kwestię. Może po kolacji wybierzemy się razem na przejażdżkę?

- Pewnie - zgodziłam się. I może sama się zamknę w pudle.

Pozbierałam talerze i zaniiosłam je do kuchni. Matka i babcia Mazurowa poszły za mną z półmiskami.

- Idź pierwsza i pokrój ciasto - powiedziałam do matki. - Ja przygotuję kawę. Odczekałam, aż zostanę sama w kuchni i całkiem zwyczajnie wyszłam sobie przez tylne drzwi. Nie miałam najmniejszej ochoty zgodzić się na przejażdżkę, której punktem kulminacyjnym byłaby penetracja jam ciała. Morelli już poddawał mnie tej procedurze w różnych momentach mojego życia i z różnym powodzeniem. Nowym elementem tej sytuacji byłby fakt, iż tym razem penetrację przeprowadziłaby policjantka w więzieniu - co miało jeszcze mniej uroku, niż gdybym padła ofiarą Morellego. Miałam na sobie dzinsy, botki i flanelową koszulę narzuconą na podkoszulek, więc zanim przeszłam przez podwórko i dotarłam do domu Mary Lou o dwie przecznice dalej, zęby zaczęły mi szcząkać niczym instrumenty perkusyjne. Mary Lou jest moją najlepszą przyjaciółką od niepamiętnych czasów. Od sześciu lat jest mniej lub więcej szczęśliwą żoną Leonarda Stankovica ze Stankovic i Synowie, Hydraulika i Ogrzewanie. Ma dwoje dzieci i hipotekę, a także pracę na niepełny etat jako księgowa w salonie oldsmobila.

Nie zawracałam sobie głowy pukaniem. Wpadłam do jej salonu i zaczęłam podskakiwać w miejscu,

dla rozgrzewki zabijając ręce.

- Cho-cho-cholera, ale zi-zi-zimno!

Mary Lou zbierała na czworakach plastikowe samochodziki i ludziki, które wyglądały jak uliczne hydranty.

- Może byłoby mniej zimno, gdybyś włożyła płaszcz.

- Byłam u rodziców i przyszedł Morelli, więc musiałam się wykraść przez tylne drzwi.

- Akurat - nie uwierzyła mi Mary Lou. - Gdybyś była z Morellim, brakowałoby ci więcej ciuchów.

- Tym razem to coś poważnego. Boję się, że chce mnie aresztować.

Mały Mikey, dwulatek, przypełził z kuchni i przywarł do nogi Mary Lou.

Uważam, że dzieci są bardzo miłe na odległość, ale trudno mi je znieść, kiedy czuję ich zapach z bliska. Podejrzewam, że sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby to były moje dzieci.

- Musisz przestać strzelać do ludzi - poradziła mi Mary Lou. -

Zastrześliś masę facetów i gliny wreszcie się wkurzyły.

- Tego akurat nie zastrześliłam. No więc musiałam się wykraść z domu i zostawiłam tam płaszcz i wszystko inne.

Lenny i czterolatek siedzieli przed telewizorem i oglądali powtórkę

„Domku na prerii”. Lenny jest w porządku, tylko sapie. Mary Lou zawsze miała słabość do tego typu mężczyzn - mięśnie liczą się dla niej bardziej niż mózg. Oczywiście Lenny nie jest całkowicie głupi. Chodzi tylko o to, że pewne rzeczy po prostu nie mieszczą się mu w głowie.

Mary Lou wrzuciła hydrantowców do plastikowego kosza na bieliznę pełnego zabawek, a dwulatek zaczął wyć. Darł się w niebogłosy, sięgając po nie wiadomo co. Pewnie po Mary Lou. A może po zabawki, które zostały schowane na noc. Ryczał z szeroko rozdziawionymi ustami i zaciśniętymi powiekami, a pomiędzy rykami wrzeszczał „nie, nie, nie!” Mary Lou wyjęła z kieszeni krakersa i dała go Mikey’owi.

Mały wsadził krakersa do ust i dalej coś bełkotał, ciamkając i trąc twarz tłustymi rękami. Okruszki zmieszały się ze łzami i smarkami i rozsmarowały się we włosach i na policzkach. Z ust wypłynęła brązowa nitka śliny i skapnęła na koszulę.

Mary Lou spojrzała na niego wzrokiem ciężko doświadczonej przez życie osoby.

- Mikey jest zmęczony - powiedziała.

Jak już wspominałam, dzieci są całkiem fajne na odległość, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek stały się popularniejsze od chomików.

- Muszę zadzwonić od ciebie do domu - powiedziałam. Wytarła małemu twarz ręką spódnicy.

- Proszę bardzo.

Zadzwoniłam z kuchni, starając się przekrzyknąć wrzask dobiegający z salonu.

- Morelli jeszcze tam jest? - spytałam.

- Właśnie wyszedł.

- Na pewno? Nie kręci się koło domu?

- Słyszałam warkot jego samochodu.

Pożyczyłam od Mary Lou bluzę od dresu i pobiegłam do domu rodziców. Na podwórku zwołam i wyjrzałam na ulicę. Czysto. Ani śladu Morellego. Weszłam do kuchni.

- No - powiedziała matka na mój widok. - Co to ma znaczyć?

- Mnie by tam nie trzeba było prosić, żebym wyszła z takim przystojniakiem oznajmiła babcia Mazurowa. - Już ja bym wiedziała, co się robi z takim mężczyzną.

Ja też bym wiedziała, tylko nie jestem pewna, czy można legalnie wykastrować policjanta.

- Nie dałaś mu chyba ciasta do domu, co? - zwróciłam się do matki.

Matka uniosła dumnie głowę.

- Dałam mu całe. Przynajmniej tyle mogłam zrobić, skoro zostawiłaś go tu jak idiotę.

- Całe ciasto! - wrzasnęłam, ugodzona do żywego. - Jak mogłaś! Nie zjadłam ani kawałeczka!

- Nie trzeba było wychodzić. Skąd mogłam wiedzieć, gdzie jesteś?

Mogłaś zostać porwana. Mogłaś dostać wylewu krwi do mózgu i błąkać się po mieście z amnezją. Skąd miałam wiedzieć, że wrócisz i zażadasz ciasta?

- Miałam powody, żeby wyjść - zatkałam. - Bardzo ważne powody!

- Jakie?

- Morelli przyszedł, żeby mnie aresztować... prawdopodobnie.

Matkę zatkało.

- Aresztować?

- Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że mogę być podejrzana o popełnienie morderstwa.

Matka przeżegnała się. Babcia nie podzielała naszego ponurego nastroju.

- Wczoraj w telewizji pokazali taką kobietę. Powiedziała, że aresztowano ją za palenie marychy, że gliniarze zamknęli ją w małej celi, a potem ciągle przyglądali się jej przez monitory i czekali, aż będzie chciała iść do toalety. W jednym kącie celi jest taka przegródka z nierdzewnej stali. Nie ma tam muszli klozetowej ani nic podobnego i właśnie tam trzeba się załatwić. Powiedziała, że w tej przegródce była kamera, więc gliniarze mieli dobry widok na wszystko.

Żołądek ścisnął mi się boleśnie, a przed oczami zatańczyły czarne kropki. Zaczęłam się zastanawiać, czy starczy mi pieniędzy na bilet do Brazylii.

Babcia była bardzo zadowolona.

- Ta kobieta z telewizji mówiła, że zanim cię aresztują, trzeba zjeść mnóstwo węgla w tabletkach. Zamuruje cię na amen i będziesz mogła spokojnie poczekać, aż wpłacą za ciebie kaucję.

Osunęłam się na krzesło i zaczęłam głęboko oddychać.

- To spotka każdego, kto pracuje dla kuzyna twojego ojca -

oznajmiła matka.

- Jesteś zdolna. Mogłabyś dostać przyzwoitą pracę, na przykład zostać nauczycielką.

Pomyślałam o dziecku Mary Lou z krakersem rozsmarowanym we włosach - i nagle spodobało mi się, że jestem łowcą nagród. No właśnie, zawsze może być gorzej, pomyślałam. Mogłabym być nauczycielką.

- Muszę wracać - powiedziałam i wyciągnęłam płaszcz z szafy w przedpokoju.

- Jutro mam masę pracy. Powinnam się wcześniej położyć.

- Masz. - Matka wręczyła mi torbę z jedzeniem. - Trochę klopsa.

Wystarczy na kanapkę.

Zajrzałam do środka. Klops. Ani śladu ciasta.

- Dziękuję - mruknęłam. - Na pewno nie zostało ani trochę ciasta?

- Podejrzana o popełnienie morderstwa - zadumała się matka. - Jak to się mogło stać?

Też się dziwiłam. Zadawałam sobie dokładnie to samo pytanie.

Robiłam to przez całą drogę powrotną. W końcu nie jestem taka zła.

Trochę oszukuję urząd podatkowy, ale płacę prawie wszystkie rachunki.

Nie wyśmiewam się ze starszych, przynajmniej nie w oczy. Nie biorę narkotyków. Więc dlaczego ciągle mam takie parszywe szczęście? No dobrze, nie chodzę za często do kościoła, ale matka chodzi regularnie, więc myślałam, że to się wyrównuje.

Wtoczyłam wielkiego błękitnego potwora na parking. Zrobiło się już późno. Wszystkie dobre miejsca były pozajmowane, więc znów stanęłam tyłem do śmietnika. Nic nowego. Przynajmniej będę miała osłonę na wypadek, gdyby ktoś do mnie strzelał. Może już zawsze będę tu parkować.

Spojrzałam w swoje okna i spostrzegłam, że pali się światło. To wydało mi się bardzo dziwne, jako że z całą pewnością zgasiłam wszystko wychodząc. Wsiadłam z samochodu i podeszłam bliżej. Znowu spojrzałam w okna. No tak, światła ciągle się palą. Co to oznacza? Może to, że zostawiłam je włączone i teraz cierpię na przedwczesną demencję.

Plus lekką paranoję.

W oknie salonu pojawiła się jakaś sylwetka. Serce mi zamarło. Ktoś był w moim mieszkaniu. Z ulgą przyjął, że demencja mnie ominęła, ale ciągle był pewien problemu. Nie chciałam przeprowadzać śledztwa na własną rękę i po raz trzeci wystawić się na strzały. Niestety, jedyną możliwością było powiadomienie policji. Ponieważ akurat nie miałam przy sobie węgla w tabletkach, wykluczyłam to rozwiązanie.

Postać znowu pojawiła się w oknie. Stała nieruchomo na tyle długo, że doszłam do wniosku, że to mężczyzna. Podeszedł bliżej i rozpoznałam jego twarz.

Była to twarz Morellego.

Co za bezczelność. Włamał mi się do mieszkania! A to jeszcze nie koniec. On coś żarł! Podejrzewałam, że ciasto mojej matki.

- ŚWINIA! - ryknęłam. - Bydlę!

Chyba nie usłyszał. Pewnie oglądał telewizję.

Pogalopowałam wokół parkingu i znalazłam czarną toyotę Morellego. Kopnęłam ją w tylny zderzak, czym uruchomiłam alarm.

Pani Karwatt z pierwszego piętra otworzyła okno i wystawiła głowę.

- Co się tam dzieje?

Z okna pana Weinsteina wysunęła się lufa strzelby.

- Czyj to tak wyje? Chyba nie mój cadillac, co?

Tylko w jednym oknie nikt się nie pojawił. W moim. Pewnie dlatego, że Morelli leciał już galopem na dół.

Pobiegłam do własnego samochodu.

- Zostaw go, bo strzelę! - huknął pan Weinstein.

- To mój samochód! - odkrzyknęłam.

- Akurat - nie uwierzył mi pan Weinstein, mierząc mnie złowrogim spojrzeniem zza grubych dwuogniskowych okularów. BUM! Pan Weinstein wystrzelił pierwszą salwę i zlikwidował przednią szybę w samochodzie obok mojego.

Wypadłam na ulicę i schowałam się pomiędzy domami po drugiej stronie ulicy. Zatrzymałam się i spojrzałam za siebie. Morelli krążył jak lew w klatce w okolicach tylnych drzwi i krzyczał coś do pana Weinsteina.

Najwyraźniej bał się pokazać na parkingu w zasięgu strzału.

Ukryłam się w mroku, przeskoczyłam płot i znalazłam się na Elm Street. Przeszłam na drugą stronę i powtórzyłam manewr, docierając w ten sposób do Hartland. Truchtem minęłam jedną przecznicę, skręciłam w Hamilton i przytuliłam się do ceglanej ściany nocnego sklepu.

Jego poprzedni właściciel nazywał się Joe Echo. Sprzedał go w listopadzie, a nowy właściciel, azjata Sam Pei, zmienił nazwę sklepu na

„Sklep Amerykański”. Uważam, że bardzo trafnie. W „Sklepie Amerykańskim” znajduje się wszystko, czego mógłby potrzebować prawdziwy Amerykanin - po czterokrotnie wyższej cenie. Pudełko fig za siedem pięćdziesiąt, choć w środku jest zaledwie dwanaście sztuk.

Przypuszczam jednak, że jeśli w środku nocy zachce ci się fig, masz w nosie, ile kosztują.

Wyciągnęłam z kieszeni czapkę narciarkę i naciągnęłam ją na uszy.

Bateria w komórkowym telefonie prawie się wyczerpała, więc wygrzebałam z torby dwadzieścia pięć centów, wrzuciłam je do automatu telefonicznego i zadzwoniłam na własny numer.

Morelli odebrał po czwartym sygnale.

Rozluźniłam zaciśnięte szczęki na tyle, by wypowiedzieć parę słów.

- Co do jasnej cholery robisz w moim mieszkaniu?

- Czekam na ciebie - wyjaśnił Morelli.

- A co jesz?

- Ciasto twojej matki. Jeszcze trochę zostało, ale lepiej się pospiesz.

Delikatnie położyłam słuchawkę na widelkach.

- Świnia!

Kupiłam u pana Pei snickersa i zjadłam go po drodze. Pora oprzytomnieć. Morelli jest o wiele lepszy ode mnie w zabawie w policjantów i złodziei. Zaczęło do mnie docierać, że gdyby chciał mnie aresztować, już by to zrobił. Co za tym idzie, gdyby zamierzał

doprowadzić mnie na posterunek, też już bym się tam znalazła. Być może nie muszę jeszcze kupować węgla w tabletkach.

Więc dlaczego mnie prześladowuje? Bo czegoś ode mnie chce. Ale czego? Informacji? Może wydaje mu się, że w bardziej nieformalnych okolicznościach zdoła ze mnie wycisnąć więcej ważnych szczegółów. A może chce mnie zastraszyć bez świadków. A może chce mnie zaprosić na randkę.

Skręciłam w Hartland i postanowiłam z nim porozmawiać. Ta sprawa przestała być prosta. Mo nadal się nie ujawnił. Zabito człowieka.

Grożono mi śmiercią. I zapomniałam powiedzieć Morellemu o paru drobiazgach. Nie wspominając już o cieście mojej matki.

Kiedy wróciłam na parking, wszystko wyglądało tak samo. W moim mieszkaniu paliło się światło. Samochód Morellego nadal stał na swoim miejscu. Wokół chryslera, który posłużył panu Weinsteinowi za cel strzelecki, zebrała się grupka osób. Pan Weinstein trzymał wielką plastikową płachtę i taśmę klejącą.

- Jeszcze chwila i odjechałby moim samochodem, mówię wam -
relacjonował.

- Lepsza zbita szyba niż skradziony wóz.

- Święta prawda - przyświadczył Arty Boyt. - Dobrze, że miałeś pod ręką broń. Wszyscy przytaknęli. Pewnie, że dobrze.

Wśliznęłam się do budynku i zadzwoniłam do mieszkania z automatu telefonicznego, który znajduje się w holu.

- To znowu ja - powiedziałam, kiedy Morelli podniósł słuchawkę.

- Gdzie jesteś?

- Daleko.

- Kłamczucha. - W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. - Widziałem, jak szłaś przez parking.

- Dlaczego mnie podglądasz?
- Policjanci nikogo nie podglądają. Policjanci prowadzą śledztwo.
- Dobra. Dlaczego mnie śledzisz?
- Musimy porozmawiać.
- Tylko tyle? Porozmawiać?

- A co myślałaś?

- Nic.

Oboje zamilkliśmy, rozważając to, co mogłam sobie pomyśleć.

- No - odezwałam się wreszcie. - To o czym chcesz porozmawiać?

- O Mo, i nie przez telefon.

- Słyszałam, że niektórzy chcą mnie aresztować.

- Tak, ale ja nie - oznajmił Morelli.

- Dasz mi słowo?

- Dziś cię nie aresztuję. Nie będę ci składał długoterminowych zobowiązań. Kiedy wysiadłam z windy, Morelli czekał już na mnie w otwartych drzwiach.

- Wyglądasz, jakbyś była zmarznięta i zmęczona.

- Uskakiwanie przed kulami jest męczące. Nie rozumiem, jak wy, policjanci, możecie to robić dzień w dzień.

- Zakładam, że mówisz o panu Weinsteinie. Powiesiłam na wieszaku kurtkę i torbę.

- Mówię o całej ludzkości. Ludzie bez przerwy do mnie strzelają.

Ukroiłam sobie wielki kawał ciasta i opowiedziałam Morellemu o Wężu.

- I co o tym sądzisz? - spytałam.

- Sądzę, że łowcy nagród powinni zdawać egzamin i dostawać licencję. I myślę, że pewnie byś oblała.

- Dopiero się uczę.

- Jasne. Miejmy nadzieję, że nie dasz się zabić w trakcie tej nauki.

Zazwyczaj uznaję takie uwagi za obrażę, ale sama myślałam coś bardzo zbliżonego.

- Co się może dzieć z wujkiem Mo?

- Nie wiem - przyznał Morelli. - Najpierw martwiłem się, że nie żyje.

Teraz sam już nie wiem, co o tym myśleć.

- Jakie odciski palców znaleźliście w sklepie?

- Twoje, Mo i Andersa z klamki tylnych drzwi. Nie zawracaliśmy sobie głowy miejscami dostępnymi społeczeństwu. Wyodrębnilibyśmy pół dzielnicy.

- Sąsiedzi coś zauważyli?

- Tylko pani z naprzeciwka, która zgłosiła na policji, że widziała światło latarki.

- Morelli oparł się o stół w kuchni i założył ręce. - Jeszcze jakieś pytania?

- Wiesz, kto zabił Andersa?

- Nie. A ty?

Opłukałam talerz i wstawiłam go do zmywarki.

- Nie. - Zerknęłam na Morellego. - Jak Anders dostał się do sklepu?

Słyszałam, jak gmera w zamku. Najpierw sądziłam, że ma klucz, ale drzwi się nie otworzyły. Więc doszłam do wniosku, że pewnie próbuje otworzyć zamek wytrychem.

- Nie znaleźliśmy śladów włamania.

- Możemy o tym porozmawiać nieoficjalnie?

- Chyba czytasz w moich myślach.

- Nie mówię ci tego jako policjantowi, prawda?

- Prawda.

Nalałam sobie szklankę mleka.

- Oto, co wiem. Tyłne drzwi sklepu Mo były zamknięte. Otworzyłam je kluczem, który znalazłam w jego mieszkaniu. Po wejściu znowu je zamknęłam. Były zamknięte na klucz, kiedy Ronald Anders chciał się dostać do środka. Najpierw wydawało mi się, że ma klucz, ale drzwi się nie otworzyły. Przez parę minut szarpał się z nimi i wreszcie zamek ustąpił. Znalazłeś przy nim coś, czego mógłby użyć do otworzenia zamka?

- Nie.

- Znaleźliście przy nim klucz do sklepu?

- Nie. Uniosłam brwi.

Morelli też unióś brwi.

- Ktoś chyba ukradł klucz, który się nie sprawdził - powiedziałam. -

A może ktoś otworzył drzwi tym parszywym kluczem, wpuścił RONALDA ANDERSA, zniknął na parę minut, wrócił i go zabił.

Oboje westchnęliśmy. Logika podpowiadała, że jedyną osobą, posiadającą ten parszywy klucz musiał być wujek Mo. A w świetle odkrycia, iż wujek Mo bywał czasem na Stark Street, hipoteza o jego znajomości z RONALDEM ANDERSEM wcale nie wydawała się tak nieprawdopodobna. Może wszystko to ma związek z narkotykami. Może Mo jest ćpunem. Jasny gwint, może sam sprzedaje narkotyki. Po przejrzeniu jego lektur do poduszki byłam skłonna uwierzyć niemal we wszystko.

- Czy ktokolwiek rozmawiał z dzieciakami, które przychodziły do sklepu? - spytałam Morellego. - Nigdy nie słyszałaś, żeby ze sklepu Mo wychodziły jakieś prochy?

- Wprost odwrotnie - powiedział Morelli. - Sklep Mo był strefą bezpieczeństwa. Mo jest w ochotniczej organizacji przeciwnarkotkowej.

Wszyscy o tym wiedzą.

Wpadłam na inny pomysł.

- Co to za organizacja? Na tyle zorganizowana, że mogłaby zamordować handlarza narkotyków?

Morelli obrzucił mnie nieprzeniknionym spojrzeniem właściwym policjantom.

- To by było bardzo dziwne - ciągnęłam. - Kochany, staroświecki dziadek okazuje się mordercą. Zemsta inicjatywy prywatnej.

Anders dostał w plecy. Miał broń, ale po nią nie sięgnął. Znaleziono ją, kiedy policjanci odwrócili ciało. Była zatknięta za pleciony pasek raperskich spodni Andersa. Osoba, która stanie przed sądem oskarżona o jego zabójstwo, będzie się musiała ciężko napracować, żeby udowodnić, iż strzelała w samoobronie.

- Koniec? - spytałam.

- Na razie.

Morelli był ubrany w dzinsy, wysokie buty i koszulę z podwiniętymi rękawami. Do pasa miał przypięty służbowy pistolet. Zdjął z wieszaka wojskową kurtkę.

- Będę ci wdzięczny, jeśli przez parę dni powstrzymasz się od wycieczek poza granice kraju - powiedział.

- Jejku, to co ja zrobię z tymi biletami do Monako?

Połaskotał mnie pod brodą, uśmiechnął się i poszedł sobie. Przez chwilę wpatrywałam się w zamknięte drzwi. Połaskotał mnie pod brodą.

Co to znaczy? Niegdyś Morelli usiłował wsadzić mi język aż do gardła. A przynajmniej zrobić jakąś sprośną uwagę. Kiedy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że od dnia, w którym przyniósł mi pizzę, zachowywał się jak dżentelmen. A wczorajsza noc? Wyszedł, nie uściskawszy mi nawet ręki.

Spojrzałam w lustro. Włosy nadal miałam wciśnięte pod włóczkową narciarkę. Niespecjalnie seksownie, ale do tej pory Morellemu takie rzeczy nie przeszkadzały. Zdjęłam czapkę i moje włosy ukazały się w całej krasie. Dobrze, że nie zrobiłam tego przy Morellim.

Poszłam do kuchni i zadzwoniłam do Rangera.

- No? - odezwał się.

- Czy ktoś chwali się, że zabił Ronalda Andersa?

- Ostatnio nikt się niczym nie chwali. Na ulicach cisza.

- Cicha wojna?

- Nie wiem. Zniknęło paru gości. Paru narkomanów nie żyje.

Podobno ktoś likwiduje ludzi.

- Przedawkowali?

- Tak stoi w ich aktach zgonu.

- Jesteś innego zdania?

- Czuję coś złego.

Rozłączyłam się i po chwili telefon znowu zadzwonił.

- Mamy kłopot - oznajmiła Lula.

- Kłopot?

- Właśnie dzwoniła do mnie Jackie i nic nie rozumiem z tego, co mi powiedziała. Coś, że jej stary znowu ją przerobił.

- Gdzie teraz jest?

- Pod tym odpindrzonym blokiem. Siedziała tam dniem i nocą i ma taki głos, jakby już nie żyła. Powiedziałam, żeby nie ruszała się z miejsca i że przyjedziemy najszybciej, jak można.

Piętnaście minut później stanęliśmy na parkingu River Edge.

Chmury wisiały nisko nad ziemią, z rzadka rozmieszczone halogenowe latarnie oświetlały chodnik martwym sztucznym światłem. Chrysler Jackie stał na obrzeżu parkingu. Rzeka znajdowała się tuż obok, a w świetle wokół latarni kłębiły się jęzory lodowatej mgły, która osiadała na maskach samochodów.

Jackie stała obok samochodu i machała obiema rękami.

Wrzeszczała do Luli, a Lula wrzeszczała na nią.

- Uspokój się! - ryczała. - Spokój!

- On nie żyje! - darła się Jackie. - Nie żyje, nie żyje! Nie żyje, w mordę kopany! Martwy jak kawał drewna. Co za świnią!

Spojrzałam na Lulę, a ona wzruszyła ramionami.

- Dopiero przyjechałam. Nie wiem nic poza tym, że ten łachudra nie żyje. Może się za bardzo naszprycowała. Musimy najpierw doprowadzić ją do porządku.

- Nic nie wzięłam, ty głupia krowo - zapieniła się Jackie. - Ja ci mówię, że on nie żyje, a ty mnie wcale nie słuchasz!

Rozejrzałam się dokoła.

- Można go tu gdzieś znaleźć?

Przysięgam, że najbardziej na świecie chciałam usłyszeć, że nie. Już wyrobiłam swoją normę trupów na to tysiąclecie.

- Widzisz ten wielki krzak przy śmietniku? - spytała Jackie.

- Aha.

- A widzisz tę w dupę kopaną, sparszywiałą nogę, co wystaje z krzaka? O rety. Miała rację. Z krzaka wystawała czyjaś noga.

- Jasna cholera - powiedziałam. - Chyba nie zabiłaś tej nogi, co?

- Nie, nie zabiłam tej nogi. Właśnie to chcę ci powiedzieć. Ktoś mnie znowu przerobił. Ja tu siedzę jak idiotka, tyłek mi odpada z zimna, czekam tylko po to, żeby zabić drania, a ktoś mi odbiera tę

przyjemność!

To niesprawiedliwe!

Jackie popędziła nieco chwiejnie w stronę śmietnika, a ja i Lula pognaliśmy w ślad za nią.

- Chciałam posprzątać w samochodzie - wyjaśniła po drodze. - Więc poszłam do śmietnika z torbą śmieci, patrzę, a tu coś błyska. Patrzę bliżej, a to zegarek. A potem widzę, że ten zegarek jest na czyjeś ręce. I mówię sobie, oż ty w życiu, ja znam tę rękę i ten zegarek. Zaczynam kopać w śmieciach i proszę, co odkopałam. Patrzcie, co wyciągnęłam z tej góry śmieci.

Zatrzymała się przy krzaku, chwyciła nogę i wywlokła ciało mężczyzny.

- Tylko popatrzcie. Nie żyje, drań. A jakby tego było mało, jest zamrożony na kość. Ten skurczysyn wygląda jak wielki sopel. Nawet nie zobaczę, jak gnije. Niech to szlag.

Jackie puściła stopę i kopnęła Camerona Browna w zębra. Lula i ja odskoczyliśmy i nieco się zakrztusiłyśmy.

- Uuu - powiedziała Lula.

- To jeszcze nie koniec - powiadomiła ją Jackie. - Siedziałam tutaj i myślałam, jak to go zastrzelę, więc patrzcie, co teraz zrobię.

Rozpięła płaszcz, wyjęła zza paska spodni dziewięćmilimetrową baretę i wypruła pół magazynka w Camerona Browna. Cameron parę razy podskoczył, uderzony pociskami, ale generalnie strzały nie zrobiły wielkiego efektu - oprócz utworzenia paru dodatkowych dziur w różnych częściach ciała.

- Zwariowałaś? - ryknęła Lula. - On nie żyje! Strzelasz do trupa!

- To już nie moja wina - warknęła Jackie. - Chciałam go zastrzelić, kiedy jeszcze żył, ale ktoś mnie wyprzedził. Ja tylko staram się wykorzystać tę głupią sytuację.

- Jesteś pijana!

- No pewnie. Zamarzłabym tu na śmierć, gdybym sobie nie pociągała od czasu do czasu.

Jackie uniosła broń, szykując się do wyprucia serii w Camerona.

- Czekaaj - powiedziała Lula. - Słyszę syreny.

Znieruchomiliśmy i faktycznie, z daleka rozległo się przeciągłe wycie.

- Jadą tutaj! - rzuciła Lula. - Jazda! Każda w inną stronę!

Rozbiegaliśmy się do swoich samochodów i jednocześnie ruszyliśmy, niemal wpadając na siebie przy wyjeździe z parkingu.

Rozdział 7

Spotkałam się z Jackie i Lulą na parkingu Dunkin Donuts, niecałe pół kilometra od River Edge. Zaparkowałyśmy samochody obok siebie, wysiadłyśmy i zbiłyśmy się w stadko.

- Muszę zjeść pączka - oznajmiła Jackie. - Takiego fajnego, z kolorowym maczkiem.

- Pączek to nie wszystko - powiedziała Lula. - Musisz przebadać sobie głowę. Strzelałaś do trupa. Co ty sobie wyobrażasz?

Jackie szperała po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy na pączka.

- Że mam prawo zastrzelić każdego, kogo mi się podoba.

- Błąd. Istnieją zasady. Ten facet był już martwy, a ty okazałaś brak szacunku zmarłemu.

- Ten zmarły nie zasługiwał na szacunek. Ukradł mi samochód.

- Każdy zmarły zasługuje na szacunek - pouczyła ją Lula. - To taka zasada.

- Kto tak powiedział?

- Pan Bóg.

- Tak? Więc Bóg nie zna się na zasadach. Mówię ci, ta zasada jest głupia. Lula podparła się pod boki, a oczy omal nie wyskoczyły jej z głowy.

- Nie mów w ten sposób o Bogu, ty nędzna wywłoko. Nie pozwolę ci tak bluźnić.

- Spokój! - wrzasnęłam. - A policja?

- Co policja? - poinformowała się Jackie.

- Musimy do nich zadzwonić.

Jackie i Lula spojrzały na mnie, jakbym nagle zaczęła mówić po chińsku.

- Ktoś zabił Camerona Browna, zanim Jackie zrobiła z niego ser szwajcarski. Nie możemy go zostawić na śmietniku.

- O to nie musisz się martwić - pocieszyła mnie Lula. - W tej chwili na śmietniku aż roi się od glin. Znajdą go. Leży na wierzchu.

- Tak, ale strzelanie do trupów to prawdopodobnie przestępstwo.

Staniemy się winne współuczestnictwa w zbrodni, jeśli nie zgłosimy tego na policji.

- Ja na policję nie pójdę - zapowiedziała Jackie. - O, nie. Nie ma mowy.

- Tak trzeba.

- To bardzo głupio.

- Stephanie ma rację - poparła mnie Lula. - To prochy i gorzła nie pozwalają ci robić tego, co trzeba. Tak, jak każą ci bluźnić przeciwko Bogu. Musisz zrobić coś dla siebie. Musisz iść na detoks.

- Nie muszę.

- Ha - sapnęła Lula.

- Aha.

- Ha.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Jackie. - Chcesz mnie zaciągnąć na detoks, odkąd sama jesteś czysta. To jakiś podstęp.

- A żebyś wiedziała - oznajmiła Lula. - Albo pójdziesz na detoks, albo cię wydamy. - Spojrzała na mnie. - Dobrze mówię?

- Jasne - zgodziłam się. - Bardzo dobrze.

Sąd i tak zrobiłby to samo. Klinika na Perry Street pewnie poradzi sobie z tym lepiej.

Zaczęło się od grzecznego pukania do moich drzwi. A kiedy nie otworzyłam, pukanie zmieniło się w łomot. Wyjrzałam przez wizjer i zobaczyłam Morellego, który krążył po korytarzu i mruczał coś pod nosem. Odwrócił się i grzmotnął pięścią w drzwi.

- No, Stephanie! - zawołał. - Pobudka. Wyłaż z łóżka i otwórz.

Było wpół do dziewiątej i już od godziny nie spałam. Zdażyłam wziąć prysznic, ubrać się i zjeść śniadanie. Nie otwierałam, ponieważ nie chciałam rozmawiać z Morellem. Podejrzewałam, że właśnie wrócił z River Edge.

Usłyszałam, że manewruje przy zamku. Po chwili zamek puścił.

Trzydzieści sekund później załatwił zasuwę. Drzwi uchyliły się, ale utrzymał je łańcuch.

- Wiem, że tam jesteś - powiedział Morelli. - Czuję twój szampon.

Otwieraj, bo wrócę z nożycami do metalu.

Zdjęłam łańcuch i otworzyłam drzwi.

- Co znowu?

- Znaleźliśmy Camerona Browna. Zrobiłam wielkie oczy.

- Nie!

- Tak. Zamarzniętego na kość. I bardzo nieżywego. Według mnie umarł parę dni temu. Znaleźliśmy go obok śmietnika w dzielnicy River Edge.

- Muszę powiadomić Jackie.

- Aha. Z tym ciałem jest jedna śmieszna rzecz. Wygląda na to, że morderca wyrzucił Browna do śmietnika. A potem zeszłej nocy ktoś go stamtąd wyciągnął i władował w niego pół magazynka.

- Nie!

- Tak. Jest nawet jeszcze śmieszniej. Dwoje mieszkańców River Edge przyszło do nas i powiedziało, że wczoraj, późno w nocy, usłyszeli kilka kobiet, które kłóciły się na parkingu, a potem rozległy się strzały.

Kiedy wyjrzeli przez okno, jak sądzisz, co zobaczyli?

- Co?

- Trzy samochody opuszczające parking. Jednym z nich był stary buick. Powiedzieli, że mógł być błękitny z białym dachem.

- Czy mają numer rejestracyjny? Widzieli te kobiety?

- Nie.

- To pewnie macie twarde orzech do zgryzienia, co?

- Myślałem, że może zdołasz mnie oświecić.

- Czy dziś mówię z policjantem?

- Cholera - mruknął Morelli. - Nie chcę tego słyszeć.

- Czy prawo zabrania strzelać do kogoś, kto już nie żyje?

- Tak, prawo tego zabrania. Skrzywiłam się lekko.

- Tak myślałam. A dokładnie jakie to prawo?

- Nie wiem. Ale jestem pewien, że coś się znajdzie. Podejrzewam, że można będzie znaleźć okoliczności łągodzące.

- Pewnym osobom lepiej nie nadeptywać na odciski.

- Czy pewne osoby zgłoszą się na policję?

- Właśnie zostały odstawione na detoks.

- Twoim zawodem jest praca dla Vinniego - powiedział Morelli. -

Pracownik opieki społecznej to zupełnie inne zajęcie.

- Napijesz się kawy? Pokręcił głową.

- Mam robotę. A potem zaczniemy sekcję zwłok.

Patrzyłam za nim, kiedy odchodził korytarzem i wsiadał do windy.

Tylko idiota mógłby uważać, że będzie rozmawiać z Morellem, nie mówiąc jednocześnie z Morellem - policjantem. Gliny nigdy nie przestają być na służbie. To chyba najcięższy zawód świata.

Policjanci w Trenton mają tyle funkcji, że nawet nie potrafię ich wszystkich wymienić. Są między nimi rozjemcy, pracownicy społeczni, stróże porządku publicznego, niańki i funkcjonariusze. Ich praca jest nudna, przerażająca, obrzydliwa, wyczerpująca i często w ogóle bez sensu. Płace są śmieszne, godziny pracy nieludzkie, budżet absurdalny, a mundury uwierają w kroku. I rok za rokiem policjanci w Trenton pracują, żeby można tu było żyć.

Rex siedział w puszcze po zupie, z kuprem na zewnątrz, na wpół

zakopany w wiórach. Zażywał porannej drzemki. Rozłupałam orzech i wrzuciłam go do klatki. Po chwili pod wiórami dało się zauważyć poruszenie. Rex wycofał się, chwycił połówkę orzecha i zaniósł ją do puszki. Czekałam jeszcze trochę, ale przedstawienie się skończyło.

Sprawdziłam, czy mam w torebce najpotrzebniejsze rzeczy... pager, telefon komórkowy z naładowaną baterią, szoker z naładowaną baterią, szczotkę do włosów, gumę do żucia, pieprz w aerozolu, pilnik do paznokci. Ale ze mnie uzbrojony po zęby łowca nagród, co?

Chwyciłam kluczyki i wbiłam się w kurtkę. Pierwszą pozycją w moim planie dnia była wizyta w biurze. Chciałam się upewnić, czy Jackie dotrzymała umowy.

Chmury wisiały nisko i złowroźnie nad parkingiem, a powietrze było lodowate niczym tyłek czarownicy. Zamek w drzwiach buicka zamarzał, a przednia szyba pokryła się lodem. Zaczęłam wydłubywać lód z zamka, ale nie udało mi się go ruszyć, więc wróciłam do domu i wzięłam spray do rozmrażania i plastikową skrobaczkę. Po dziesięciu minutach udało mi się otworzyć drzwi. Włączyłam ogrzewanie na cały regulator i wyskrobałam w lodzie na przedniej szybie dziurkę do wyglądania na zewnątrz.

Usiadłam za kierownicą, sprawdziłam, co widać przez dziurę i uznałam, że dam sobie radę. Byle nie jechać za szybko. Zanim dotarłam do biura Vinniego, w samochodzie było bardzo przyjemnie i ciepłutko, a poza tym widziałam już całą maskę, nie wspominając o drodze. Przed budynkiem stał chrysler Jackie. Zajęłam miejsce za nim i weszłam do firmy.

Jackie miotła się przed biurkiem Connie.

- Nie rozumiem, dlaczego muszę to zrobić - mówiła. - Przecież panuję nad sobą. Mogę przestać, jeśli zechcę. Od czasu do czasu pozwalam sobie na małego kopa. Nie rozumiem, co w tym złego. Każdy tak robi.

- Ja nie - odezwała się Connie.

- Ani ja - dodała Lula.

- Ani ja - włączyłam się.

Jackie popatrzyła kolejno na każdą z nas.

- Ha.

- Będiesz szczęśliwa, kiedy się odtrujesz - obiecała jej Lula.

- Tak? Ja już jestem szczęśliwa. Jestem tak cholernie szczęśliwa, że aż mi to trudno znieść. Czasami muszę sobie tylko trochę pomóc.

Na biurku przed Connie leżały akta Mo.

- Jeśli w ciągu najbliższych pięciu dni nie znajdziemy Mo, będziemy mogli zapomnieć o kaucji - powiedziała do mnie.

Otworzyłam akta i spojrzałam na umowę o wpłacie kaucji i na zdjęcia. Jackie zajrzała mi przez ramię.

- Hej - powiedziała. - To Stary Penisowy Nos. Szukasz go? Właśnie go widziałam.

Odwróciłyśmy się i wytrzeszczyłyśmy na nią oczy.

- Aha, to on, nie ma co - ciągnęła Jackie, przeciągając po fotografii sztucznym czerwonym paznokciem. - Jechał niebieską hondą. Pamiętam, że kiedyś widywałyśmy go na ulicy. Zobaczyłam go, jak wychodził z budynku na Montgomery. Tym przy misji.

Lula i ja spojrzaliśmy na siebie. Taa.

- Sam był? - spytałam.

- Nie zwracałam specjalnie uwagi, ale nie przypominam sobie nikogo innego.

- Odwiozę Jackie do kliniki na Perry Street - odezwała się Lula. -

Pomogę się jej urządzić.

Problem z kliniką na Perry Street polega na tym, że pełno w niej narkomanów. Dlatego na ulicach wokół jest równie pełno handlarzy narkotyków. Ćpuny przychodzą na codzienną dawkę metadonu, ale

droga do kliniki jest jak przejście przez supermarket z halucynogenami. W

każdym mieście zawsze najłatwiej kupić narkotyki w pobliżu kliniki dla narkomanów.

Lula nie zamierzała pomóc Jackie urządzić się na nowym miejscu.

Miała zamiar dopilnować, żeby nie przedawkowała jeszcze przed podpisaniem formularzy.

Lula pojechała ze mną do domu moich rodziców i zaczekała, aż zostawię buicka na podjeździe. Potem podwiozła mnie pod warsztat nissana.

- Nie daj sobie wcisnąć ciemnoty - nauczyła mnie. - Najpierw wypróbuj samochód. Powiedz, że jaja im urwiesz, jeśli go nie naprawili.

- Dobrze - obiecałam. - Nie martw się. Nikt mnie nie wykorzysta.

Pomachałam jej na pożegnanie i poszłam poszukać mechanika.

- No i co? - spytałam. - Mój samochód jest w porządku?

- Jeździ jak wyścigówka.

- Wspaniale - powiedziałam, z ulgą przyjmąwszy fakt, iż nikomu nie muszę niczego urywać.

Jackie widziała Mo, który złożył wizytę w budynku na rogu Montgomery i Grant. Nie nazwałabym tego absolutnie pewnym cynkiem, ale zawsze lepsze to niż nic, i uznałam, że powinnam to przynajmniej sprawdzić. Ulice Montgomery i Grant leżą na południowym wschodzie miasta i ze wszystkich sił starają się zarobić na życie. W całej okolicy kwitnie mnóstwo małych firm. Kafejka „U Sama”, „Artykuły A&G”,

„Smakowite owoce morza”, Misja Wolności oraz Kościół Wolności.

Okrążyłam całą dzielnicę, wypatrując niebieskiej hondy. Bez sukcesu. Budynek miał własny podziemny parking, ale żeby do niego wjechać, trzeba mieć kartę magnetyczną. Nie ma sprawy. Mogę zaparkować na ulicy i wejść do garażu na piechotę.

Objechałam dzielnicę trzy razy i wreszcie ktoś zwolnił jedno wolne miejsce. Chciałam stanąć na Montgomery, żeby mieć na oku drzwi frontowe i wejście do garażu. Pomyślałam, że zajrzę tam rzucę okiem na skrzynki pocztowe, a potem posiedzę w samochodzie i sprawdzę, czy nie zjawi się ktoś interesujący.

Znalazłam siedemdziesiąt dwie skrzynki na listy. Na żadnej nie figurowało nazwisko Mosesa Bedemiera. Garaż był wypełniony zaledwie w jednej trzeciej. Zauważyłam dwie niebieskie hondy, ale żadna nie miała właściwego numeru rejestracyjnego.

Wróciłam do samochodu i zaczęłam czekać. Obserwowałam ludzi na ulicy i samochody. Nie zauważyłam żadnej znanej twarzy. O pierwszej kupiłam sobie kanapkę w kafejce Sala. Pokazałam

kelnerce fotografię Mo i spytałam, czy się tu nie pokazał.

Kobieta przyjrzała się zdjęciu.

- No, może - powiedziała. - Jakby znajomy, ale trudno powiedzieć na pewno. Przychodzi do nas mnóstwo ludzi. Masa starszych mężczyzn wpada tu na kawę, zanim misja zacznie wydawać śniadanie. Z początku założono ją dla bezdomnych, ale stopniowo zaczęli w niej bywać staruszkowie, samotni i niebyt zamożni.

O czwartej wyszłam z samochodu i zajęłam punkt obserwacyjny w budynku, gdzie mogłam pokazywać lokatorom zdjęcie Mo i wypytywać ich na jego temat. O siódmej skończyli mi się lokatorzy i wytrzymałość.

Ani jedna osoba nie rozpoznała Mo.

Zesłam z posterunku o ósmej. Było zimno. Umierałam z głodu. I roznosiła mnie niewykorzystana energia. Pojechałam do Miasteczka, do pizzerii Pino.

Dwie przecznice przez pizzerię zatrzymałam się na światłach i poczułam jakąś aktywność sejsmiczną pod maską samochodu. Parę wstrząsów i znajome rżenie. Bang! Samochód strzelił i zgasł.

- Oż ty w mordę! - wrzasnęłam. - Zakichany japoński trup!

Przeklęty, kłamliwy, pieprzony mechanik!

Oparłam czoło o kierownicę. To koniec. Darłam się jak mój ojciec.

Pewnie tak się czuli ludzie, którzy szli na dno z „Titanikiem”.

Dociągnęłam samochód na parking Pino, wygramoliłam się zza kierownicy i pogoniłam do baru. Zamówiłam sobie piwo z beczki, super kanapkę z kurczakiem, małą pizzę pepperoni i frytki. Niepowodzenia zaostrzają mi apetyt.

Pino to miejsce, w którym zbierają się policjanci. Przynajmniej połowa posterunku mieszka w Miasteczku, a Pino znajduje się w bardzo dobrym punkcie. Dzieje się tak częściowo dlatego, że dwaj synowie Pino są policjantami, a policjanci wspierają swoich. A także dlatego, że pizza jest tu pierwsza klasa. Mnóstwo sera i tłuszczu, mało sosu pomidorowego i fantastyczne ciasto. Nikogo nie obchodzi, że po kuchni biegają karaluchy wielkie jak koty.

Morelli siedział na końcu baru. Przyglądał mi się, kiedy składałam zamówienie, ale nie podchodził. Dopiero kiedy jedzenie stanęło przede mną, usiadł na stołku obok.

- Niech zgadnę - powiedział, zaglądając mi w talerze. - Miałaś kiepski dzień. Machnęłam ręką.

Na twarzy Morellego pojawił się już ciemny zarost. Nawet w źle oświetlonym barze widziałam siateczkę zmarszczek, która w chwilach zmęczenia zawsze pojawiała się mu wokół oczu. Oparł się łokciem o bar i zaczął mi wyzerać frytki z talerza.

- Gdybyś miała przyzwoite życie seksualne, nie musiałabyś szukać takiej rekompensaty - oznajmił i wyszczerzył zęby, bardzo białe w kontraście z ciemną szczeciną zarostu.

- Mam przyzwoite życie seksualne.

- Aha. Ale wiesz, czasami fajnie jest mieć partnera. Odsunęłam frytki poza jego zasięg.

- Dobrze się dziś bawiłeś na sekcji?

- Przeniesiona na jutro rano. Doktor ma nadzieję, że do tego czasu Cameron Brown się rozmrozi.

- Znacie przyczynę jego śmierci? Kaliber kuli?

- Nie będziemy jej znać aż do jutra. Skąd to zainteresowanie?

Miałam w ustach wielki kęs kanapki z kurczakiem. Bardzo długo ją przeżuwałam. Potem popiłam piwem.

- Jestem ciekawa.

Byłam ciekawa, ponieważ Cameron Brown okazał się drugim martwym handlarzem narkotyków, na którego się nadziałam od chwili wzięcia sprawy Mo. Na razie trudno było znaleźć między nimi powiązanie, ale mój radar już się włączył.

Morelli spojrzał na mnie z bólem.

- Ty i twoje przyjaciółki nie załatwiłyście go, co?

- Nie!

Wstał i pociągnął mnie za włosy.

- Uważaj na siebie.

Zdjął w wieszaka brązową skórzaną kurtkę lotniczą i wyszedł.

Patrzyłam za nim w osłupieniu. Morelli pociągnął mnie za włosy.

Najpierw połaskotał pod brodą, a teraz to. To już naprawdę koniec.

Rozumiem, że to ja kpię z Morellego. Ale jeśli on się nabija ze mnie, to sprawa zaczyna robić się poważna. Nie tak powinna wyglądać ta gra.

O wpół do dziesiątej wytoczyłam się z pizzerii Pino, naburmuszona i podejrzliwa. Przez chwilę stałam przed nissanem, zanim do niego wsiadłam. Kolejne nieszczęście. Mój samochodzik nie był już słodki.

Wyglądał, jakby trzeba go było zawieźć do ortodonta. Wymieniłam mu styki i świece, ale nie miałam

pieniędzy na operację plastyczną. Usiadłam za kierownicą i włożyłam kluczyk do stacyjki. Silnik ożył i... zdechł.

CHOLERA!

Dom rodziców znajdował się zaledwie o trzy przecznice dalej.

Dowlokłam się do niego, rżąc i jęcząc. Doznałam ogromnej ulgi, kiedy wreszcie mogłam zostawić tego trupa przy krawężniku.

Buick stał na podjeździe, szyderczo uśmiechnięty. On nigdy się nie psuł.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z najgłębszego snu. Na budziku była druga w nocy. Głos w słuchawce należał do bardzo młodej dziewczyny.

- No cześć - powiedziała. - Tu Gillian! Gillian. Nie znałam żadnej Gillian.

- Pomyłka - wychrypiałam.

- Jejku - zmartwiła się Gillian. - Kurczę. Szukam Stephanie Plum.

Podniosłam się na łokciu.

- Mówi Stephanie Plum.

- Tu Gillian Wurtzer. Dała mi pani wizytówkę. Miałam zadzwonić, gdybym zobaczyła wujka Mo.

Obudziłam się w mgnieniu oka. Gillian, dziewczynka która mieszka naprzeciwko Mo!

Gillian zachichotała.

- Mój chłopak był dzisiaj u mnie. Pomagał mi w lekcjach. No i właśnie wyszedł. I kiedy się zegnaliśmy, zauważyłam światło w oknach sklepu. Pewnie w korytarzu na zapleczu. I ktoś tam chodził. Nie wiem, czy to wujek Mo, ale pomyślałam, że i tak powinnam do pani zadzwonić.

- Światło nadal się pali?

- Tak.

- Jestem o dziesięć minut od ciebie. Obserwuj sklep, ale nie wychodź. Zaraz tam będę.

Miałam na sobie czerwoną flanelową koszulę nocną i grube białe skarpetki. Wbiłam się w dżinsy, wcisnęłam stopy w martensy, w biegu złapałam kurtkę i torebkę i pogalopowałam do samochodu, po drodze wystukując na komórce numer Rangera.

Zanim dotarłam do buicka, zdążyłam wyjaśnić Rangerowi sytuację.

Zaczynał siąpić przykry deszczyk, a temperatura spadła poniżej zera, więc wszystkie samochody

pokryły się skorupą lodu. *Deja vu*. Pilnikiem do paznokci odłupałam lód z klamki, wkropiłam do zamka spray i policzyłam do dziesięciu, żeby obniżyć sobie ciśnienie. Kiedy krew przestała szumieć mi w uszach, zeszkrobałam pilnikiem nieco lodu z przedniej szyby. Wskoczyłam za kierownicę i ruszyłam z nosem przyciśniętym do szyby.

Proszę, proszę, proszę, nie odchodź.

Naprawdę chciałam złapać wujka Mo. Nie tyle dla pieniędzy, co z ciekawości. Chciałam się dowiedzieć, co się z nim działo. Chciałam się dowiedzieć, kto zabił Ronalda Andersa. I dlaczego.

O tej porze w Miasteczku panowała niezmacona cisza. Domy stały w zupełnych ciemnościach. Ulice wyglądały jak wymarłe. Światła latami wydawały się przymglone w drobnym deszczu. Powoli zatrzymałam samochód przy sklepie Mo. Tak jak powiedziała Gillian, na zapleczu paliło się światło. Ani śladu Rangera. Ani śladu niebieskiej hondy.

Żadnego ruchu. Skręciłam w King i znalazłam się w zaułku z garażem Mo.

Drzwi były otwarte, wewnątrz tonęło w mroku. Dostrzegłam zarys samochodu. Tym samochodem była honda.

Wyłączyłam reflektory i zaparkowałam buicka tak, że blokował

wyjazd z garażu. Przez chwilę siedziałam, obserwując i nasłuchując. Cicho wysiadłam, powędrowałam zaułkiem w stronę King i Ferris i przeszłam na drugą stronę ulicy. Stałam w głębokim cieniu za dębem Wurtzerów i czekałam na Rangera - a także na chwilę, w której ktoś wyjdzie ze sklepu.

Spojrzałam na zegarek. Postanowiłam dać Rangerowi jeszcze trzy minuty. Jeśli nie zjawi się do tego czasu, sama pójde do sklepu i obstawię tylne drzwi. W jednej kieszeni miałam broń, w drugiej pieprz w aerozolu.

Na King pojawiły się światła samochodu. Kiedy zbliżyły się do Ferris, lampa w sklepie zgasła. Ruszyłam sprintem do sklepu, a jednocześnie zza rogu wyłoniło się BMW Rangera i stanęło.

Ranger ma dwa samochody. Pierwszy to czarny bronco, wyposażony w niesamowity system naprowadzający. Kiedy Ranger zamierza dokonać aresztowania i przewieźć delikwenta na posterunek, zabiera bronco. Kiedy nie jedzie na własną akcję, zabiera czarne BMW z limitowanej serii 850CL Zorientowałam się w cenie tego modelu i okazało się, że wyraża się ona w siedmiu cyfrach.

- Światło dopiero co zgasło - syknęłam scenicznym szeptem. -

Samochód zostawił w garażu. Wyjdzie przez tylne drzwi.

Ranger był cały spowity w czerń. Czarne dżinsy, czarna koszula, czarna kamizelka z żółtym napisem POSZUKIWANIE ZBIEGÓW.

Srebrny kolczyk kontrastujący ze smagłą skórą. Włosy jak zwykle ściągnięte na karku w kucyk. Pistolet Ranger wyjął w chwili, kiedy jego stopa dotknęła chodnika. Gdyby to mnie ścigał, padłabym trupem na miejscu na sam jego widok.

- Wejść od tyłu - rzucił w przelocie. - Ty zabezpieczaj przód.

To mi bardzo odpowiadało. Z największą radością godziłam się grać drugie skrzypce.

Stałam przy frontowych drzwiach, przyciśnięta do ściany. Przez szybę miałam znakomity widok do wnętrza sklepu i byłam świetnie przygotowana do aresztowania wujka Mo, gdyby przyszło mu do głowy uciekać na Ferris Street.

Gdzieś daleko zaszczekał pies. Jedyne dźwięki, mącą ciszę śpiącego osiedla. Ranger bez wątpienia znalazł się już przy tylnych drzwiach, ale nie słyszałam nic wskazującego na to, że dokonał wejścia lub aresztowania. Żołądek skurczył mi się ze strachu. Przygryzłam dolną wargę. Mijały kolejne minuty. Raptem w całym sklepie zabłyśło światło.

Zbliżyłam się do wystawy i zajrzałam do środka. Bardzo wyraźnie zobaczyłam Rangera w korytarzu na zapleczu. Nikogo innego nie było widać.

Ranger otwierał kolejne drzwi, zupełnie tak jak ja parę dni temu.

Szukał Mo, a instynkt podpowiadał mi, że go nie znajdzie. Przeze mnie.

Powinnam wejść wcześniej. Nie trzeba było czekać.

Odwrociłam się na dźwięk przyspieszonego oddechu i prawie wpadłam na wujka Mo. Jego twarz tonęła w mroku, ale i tak widziałam, że jest wkurzony.

- Zablokowałeś mi wyjazd - powiedział. - A teraz ten osiłek łązi mi po sklepie. Rób tak dalej, a wszystko zepsujesz!

- Nie zjawił się pan na rozprawie. Nie wiem, dlaczego postanowił

pan uciec, ale to nie był dobry pomysł. Proszę pojechać ze mną na posterunek, gdzie ustalimy następną datę rozprawy.

- Nie jestem jeszcze gotowy. Jeszcze nie. Skontaktuj się z moim adwokatem.

- Ma pan adwokata?

- Tak. - Spojrzeniem zlokalizował samochód Rangera, z otwartymi drzwiczkami i kluczami zwisającymi ze stacyjki. - Oooo - powiedział

zupełnie innym tonem.

- Ten się bardzo dobrze nada.

- O, nie. Lepiej nie.

Kącki ust drgnęły w ironicznym uśmiechu.

- Wygląda jak Batmobil.

- To nie Batmobil. Batman nie jeździ BMW. Nie mogę pozwolić, żeby pan odjechał. Musi pan pójść ze mną.

Mo miał w jednej ręce plastikową torbę, a w drugiej największą puszkę pieprzu w aerozolu, jaką kiedykolwiek widziałam. Wycelował ją we mnie.

- Nie prowokuj mnie.

Widziałam, jak wyglądają ludzie potraktowani takim sprayem.

Nieładnie.

- To Bond jeździ BMW - powiedziałam. - Szerokiej drogi.

- Bond - powtórzył wujek Mo. - Oczywiście. I odjechał.

Ranger wypadł biegiem zza rogu i zatrzymał się na środku chodnika, wpatrzony w znikające tylne światła BMW.

- Mo?

Skinęłam głową i postawiłam kołnierz.

- Na pewno puściłaś go wolno z jakiegoś ważnego powodu.

- Miał większą puszkę z pieprzem niż ja.

Postaliśmy trochę w milczeniu, wpatrzeni we mgłę, ale samochód Rangera już się nie pojawił.

- Będę musiał go zabić - powiedział Ranger rzeczowo. Miałam nadzieję, że żartuje, ale... chyba nie żartował.

Kiedyś spytałam go, jak to możliwe, że stać go na takie drogie samochody, a on powiedział, że poczynił dobre inwestycje. Nie wiem, co miał na myśli. Giełda wydaje mi się zbyt nudna dla kogoś takiego jak on.

Gdybym miała zaryzykować domysły odnośnie jego źródeł zarobków, stawiałabym raczej na kontakty z ustosunkowanymi zagranicznymi handlarzami broni.

- Znalazłeś w sklepie coś niezwykłego? - spytałam. - Na przykład czyjeś zwłoki?

- Nie. Pewnie zobaczył cię z ulicy. Nie tracił czasu nawet na sprawdzenie, czy tylne drzwi są

zamknięte. Po prostu wyszedł.

W drodze do mojego samochodu opowiedziałam Rangerowi o Cameronie Brownie i śmietniku w River Edge. Potem o tym, jak Jackie zauważyła wujka Mo na Montgomery Street. I jak sama obserwowałam budynek, z którego wyszedł, ale niczego się nie dowiedziałam.

Ranger rzucił okiem na moje potargane włosy i czerwoną flanelową koszulę, majtającą się mi między nogami.

- Za kogo jesteś przebrana?

- Spieszyłam się.

- Postawisz poszukiwaczy nagród w złym świetle, jeśli będziesz się tak ubierać. Otworzyłam drzwi, zajęłam miejsce za kierownicą i uruchomiłam samochód.

- Dokąd?

- Na Montgomery Street.

Też tak myślałam. Nasłuchiwałam, dokąd odjechało BMW.

Kierowało się na południowy wschód, w stronę Montgomery.

- Nie ma go - oznajmił Ranger po powrocie z podziemnego parkingu.

- Możemy poczekać.

- Słuchaj, mała, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale nie jesteśmy całkiem niezauważalni. Obserwacja w tym samochodzie to to samo, co chowanie wieloryba w słoiku.

No i dobrze. Było mi zimno, mokro i ohydnie. Chciałam wrócić do domu, zakopać się w moim kochanym ciepłym łóżeczku i spać aż do czerwca.

- I co teraz? - spytałam.

- Podrzucić mnie na róg Dwunastej i Major.

Nikt nie wie, gdzie mieszka Ranger. Kiedyś poprosiłam Normę, żeby sprawdziła w jego dokumentach i okazało się, że podany adres jest pustą działką.

- Chyba go nie zabijesz, co? - spytałam, kiedy buick sunął w kierunku Dwunastej.

- Kradniesz BMW 850Ci, dostajesz w czapę.

- To wujek Mo!

- Wujek Mo to świrus.

- Tak, ale to mój świrus. Będę ci bardzo wdzięczna, jeśli nie zabijesz go, dopóki go nie dopadnę i nie dowiem się paru rzeczy. Na przykład, kto zabił Ronalda Andersa.

- Zrobię to dla ciebie po znajomości.

- Dzięki.

- Masz jakiś trop?

- Nie.

- Zajmiemy się tym razem - oznajmił. - Wpadnę do ciebie jutro o piątej.

- Rano?

- Jakiś problem?

- Skąd!

O trzeciej rano Trenton jest naprawdę ohydne. Nawet ludzie nocy, pijacy i młodzieżowe bandy, chowają się w jakichś dziurach, a w plamach lodowatego jarzeniowego światła spacerują jedynie gołębie, dziobiące porzucone hot dogi.

Kto przemierza te ulice o takiej godzinie? Gliny, robotnicy, złoczyńcy, łowcy nagród.

Skręciłam na mój parking i zgasiłam silnik. W wielkim czarnym masywie budynku świeciły iskierki żółtego światła. Pani Karwatt, pani Bestler, mieszkanie DeKune'a, pan Paglionne. Starsi ludzie nie potrzebują dużo snu. Pan Walesky, mój sąsiad z naprzeciwka, pewnie ogląda telewizję.

Wysiadłam z buicka i usłyszałam otwierające się za mną drzwi samochodu. Moje serce wykonało krótki numer ze stepowaniem. Broń miałam ciągle w kieszeni. Wyszarpnęłam ją i obróciłam się gwałtownie, omal nie nokautując małego chudego facecika.

Natychmiast odskoczył i podniósł obie ręce.

- Spokojnie - powiedział.

Kątem oka widziałam jeszcze dwóch innych. Także się zatrzymali i podnieśli ręce. Wszyscy trzej mieli na twarzach narciarskie maski i brązowe kombinezony.

- Kim jesteście? - spytałam. - O co wam chodzi?

- Jesteśmy dobrymi obywatelami - oznajmił ten mały chudy, którego omal nie trzasnęłam w nos. - Nie chcemy ci robić krzywdy, ale jeśli nie przestaniesz śledzić Mo, będziemy musieli wkroczyć do akcji.

-

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął kopertę. - Jesteś kobietą interesu. Rozumiemy to, więc

zawrzyjmy układ. Te pieniądze stanowią równowartość nagrody, jaką dostałabyś za przyprowadzenie Mo do Vinniego plus dwieście dolarów premii. Weź te pieniądze i wskakuj do samolotu na Barbados.

- Po pierwsze, nie chcę waszych pieniędzy. Po drugie, chcę usłyszeć parę wyjaśnień.

Mały chudy dał znak ręką; za jego plecami rozbłysły reflektory.

Samochód podjechał, tylne drzwi powoli się otworzyły.

- Tylko spróbuj tam wsiąść, to strzełę - zapowiedziałam.

- Jestem nieuzbrojony. Nie strzelisz do bezbronnego człowieka. Tu mnie miał.

Nastawiłam budzik na za pięć piątą i tak się przestraszyłam, kiedy zadzwonił, że spadłam z łóżka. Nie dałam sobie czasu na kąpiel, tylko umyłam zęby, ubrałam się w jakieś ciuchy, które podniosłam z podłogi i zesłam na dół po schodach.

Ranger czekał na mnie na parkingu. Wyciągnął z kieszeni złożoną na czworo kartkę i podał mi ją.

- Lista mieszkańców Montgomery Street - powiedział. - Mówi ci to coś?

Nie spytałam, skąd jama. Nie życzę sobie znać szczegółów jego warsztatu. Podejrzewam, że mają coś wspólnego z łamaniem kości i strzelaniem pociskami mniejszego kalibru.

Oddałam mu kartkę.

- Nie znam żadnego nazwiska.

- Więc pójdziemy od drzwi do drzwi. O rany.

- A w międzyczasie obstawimy hol i garaż.

Plan zakładał, że Ranger będzie obserwować hol, a ja garaż.

Mieliśmy się ustawić przy windach i wypytywać ludzi, którzy wychodzą do pracy. O dziewiątej, z zerowymi osiągnięciami, zaczęliśmy obchodzić piętra. Na pierwszych czterech wysłano nas do diabła.

- Niedobrze to wygląda - powiedziałam. - Rozmawialiśmy z tłumem ludzi i nie mamy nawet pół informacji.

Ranger wzruszył ramionami.

- Ludzie nie zwracają na nic uwagi. Zwłaszcza w takim budynku.

Nie mają poczucia wspólnoty, a poza tym mogli go nie widzieć z jeszcze jednego powodu.

- Jackie mogła się pomylić.

- Nie jest najbardziej godnym zaufania świadkiem.

Weszliśmy na następne piętro i ruszyliśmy wzdłuż korytarza.

Pukaliśmy kolejno do drzwi i pokazywaliśmy zdjęcie Mo. Przy trzecich drzwiach szczęście wreszcie się do nas uśmiechnęło.

Kobieta była starsza od większości mieszkańców budynku.

Sześćdziesiąt lat. Elegancka.

- Widziałam tego człowieka - powiedziała. Uważnie przyjrzała się fotografii.

- Tylko nie wiem... może Stanley Larkin. Tak, chyba widziałam go ze Stanley'em.

- Czy Larkin mieszka na tym piętrze?

- Dwa mieszkania dalej po tej samej stronie. Numer pięćset jedenaście. - Na jej czole pojawiły się dwie drobne zmarszczki. -

Powiedziała pani, że zajmujecie się aresztowaniem zbiegów. Co to znaczy?

Poczęstowałam ją historyjką o wykroczeniu i niestawieniu się na rozprawie, co ją uspokoiło.

Ranger zapukał do drzwi Larkina i oboje przylgnęliśmy do ścian po obu stronach drzwi, żeby nie zobaczył nas przez wizjer.

Po chwili drzwi się otworzyły.

- Tak?

Ranger błysnął mu przed oczami odznaką.

- Agenci dochodzeniowi. Możemy wejść i przez chwilę z panem porozmawiać?

- Nie wiem - powiedział Larkin. - Chyba nie. O co chodzi?

Miał sześćdziesiąt parę lat. Mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Policzki jak jabłuszka. Płowe włosy, na czubku głowy przerzedzone.

- To zajmie chwilkę - zapewnił Ranger. Wziął go za łokieć i delikatnie popchnął do tyłu.

Wykorzystałam tę chwilę, żeby wejść do mieszkania i rozejrzeć się po pokojach. Mieszkanko było niewielkie i zagracone. Jabłkowitzelony dywan na całej podłodze. Złociste zasłony żywcem przeniesione z lat siedemdziesiątych. Z miejsca, w którym stałam, widziałam kuchnię.

Jedna szklanka po soku i miseczka po płatkach kukurydzianych w zlewie.

Na stole kubek z kawą i gazeta.

Ranger pokazywał Larkinowi fotografię Mo i wypytywał go o niego.

Larkin kręcił głową.

- Nie - powiedział. - Nie znam takiego. Pani Greer musiała się pomylić. Mam paru przyjaciół w tym wieku. Może jeden z nich wygląda z daleka tak jak ten człowiek.

Wśliznęłam się do sypialni. Ogromne łóżce. Luksusowe, z ciemnozieloną narzutą. Na białym biurku kilka zdjęć w srebrnych ramkach.

Nocny stolik z budzikiem.

Ranger wręczył Stanley'owi Larkinowi wizytówkę.

- Tak na wszelki wypadek - powiedział. - Jeśli go pan zauważy, będę wdzięczny za wiadomość.

- Naturalnie - zgodził się Stanley.

- I co sądzisz? - spytałam, kiedy znów stanęliśmy na korytarzu.

- Że musimy do końca przepytąć wszystkich mieszkańców. Jeśli nikt więcej nic powiąże Mo z Larkinem, proponuję dać sobie spokój.

Larkin nie wygląda, jakby coś ukrywał.

Rozdział 8

Wróciliśmy do bronco Rangera i spojrzeliśmy smętnie na budynek.

- Fałszywy alarm - powiedziałam z westchnieniem. Nikt więcej nie rozpoznał Mo.

Ranger milczał.

- Szkoda, że tak wyszło z twoim samochodem.

- To tylko samochód, mała. Zawsze mogę mieć drugi.

Wydało mi się istotne, iż Ranger użył słowa „mieć”, nie „kupić”.

Propozycja zgłoszenia wszystkiego na policji lub poinformowania towarzystwa ubezpieczeniowego o kradzieży również wydała mi się bezcelowa.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wziąć budynek pod obserwację? -

spytałam nieśmiało.

Ranger spojrzął w głąb ulicy.

- Moglibyśmy się trochę rozejrzeć.

Usiedliśmy z samochodzie, odsunawszy siedzenia, żeby mieć więcej miejsca im nogi. Ranger nie odezwał się do mnie ani słowem. Jego potencjał konwersacyjny jest tylko nieznacznie większy niż możliwości Rexa. Mnie to nie przeszkadzało, ponieważ mogłam zająć się własnymi myślami.

Niepokoilo mnie, że Mo wrócił do sklepu. Nawet, gdyby sklep był

najważniejszą sprawą mojego życia, chyba nie zaryzykowałabym takiej wizyty. Mo trzymał plastikowy worek, w którym mógł mieć wszystko, od bielizny po wafelki do lodów. Nie pachniał zbyt pięknie. Czuć go było potem i ziemią. Albo pracował w ogrodzie, albo mieszkał na ulicy.

Ciągle jeszcze zastanawiałam się nad tymi możliwościami, kiedy o dwunastej Ranger przyniósł kanapki i napoje z kafejki Sala.

Moja wyglądała, jakby została zrobiona z razowego chleba i trawy.

- Co to?

- Kiełki, marchewka, ogórek i rodzynki.

Rodzynki! Dzięki Ci, Boże. Już myślałam, że Ranger odebrał

jedzenie jakiemuś królikowi.

- Bedemier musi gdzieś mieszkać - oznajmił Ranger. - Sprawdziłaś, czy nie ma drugiego domu?

- W pierwszej kolejności. I nic.

- Sprawdziłaś motele?

Wytrzeszczyłam na niego oczy, co miało oznaczać: yyyy! Nie!!

- Mielibyśmy zajęcie - powiedział Ranger. - Zaoszczędzi nam kłopotów. Dziwne poczucie humoru.

- Może Mo mieszka na ulicy. Kiedy go spotkałam, pachniał tak, jakby wstał z grobu.

- Groby jest trudno sprawdzić - usłyszałam w odpowiedzi. - Motele łatwiej.

- Możesz mi powiedzieć, jak chcesz to zrobić?

Ranger wyciągnął z kieszeni wydarte z książki telefonicznej Żółte Strony.

- Sal ich nie potrzebował - rzucił tytułem wyjaśnienia. Podał mi połowę. - Zajmij się pierwszą

połową alfabetu. Pokazuj jego zdjęcie. Pytaj o samochód. Jeśli go znajdziesz, nic nie rób. Zadzwoń do mnie.

- A jeśli nic z tego nie wyjdzie?

- Rozszerzymy zakres poszukiwań. Psiakrew.

Pół godziny później siedziałam już za kierownicą buicka.

Uporządkowałam listę pod kątem geografii, od moteli położonych najdalej aż do najbliższych mojego domu.

Zadzwołam do ojca i poprosiłam, żeby zechciał uprzejmie odwieźć mojego nissana do warsztatu. Mruknął coś o wyrzucaniu pieniędzy w błoto i o tym, że młodzi myślą, że są najmądrzejsi, po czym odłożył

słuchawkę.

Do piątej zdołałam wypalić dwa baki benzyny i dotarłam do litery J, O piątej zrobiło się już bardzo ciemno i nie chciało mi się wracać do domu. Kiedy jechałam sobie w buicku wujka Sandora, czułam się jak w prywatnym czołgu. Ale gdy zaparkuję mój czołg i postawię stopę na asfalcie, zainauguruję sezon polowań dla Klubu Miłośników Wujka Mo.

Nie chciało mi się rozpoczynać sezonu polowań na czczo, więc po drodze zajrzałam do rodziców.

Matka stanęła w drzwiach, zanim jeszcze zatrzymałam samochód.

- Jaka miła niespodzianka - powiedziała. - Zostaniesz na kolację?

Pieczeń jest już w piekarniku, a na deser będzie pudding.

- Pieczeń z ananasem i goździkami? - upewniłam się. - Zrobiłaś kartofelki? Pager, który noszę przy pasku, nagle zaczął piszczeć. Na ekraniku pojawił się numer Rangera.

Babcia podbiegła rześko i przyjrzała się pagerowi.

- Może kupię sobie coś takiego, jak dostanę rentę. Ojciec, wciśnięty w fotel, podkreślił dźwięk w telewizorze. Zadzwołam do Rangera z kuchni.

- Do kogo dzwonisz? - chciała wiedzieć babcia Mazurowa.

- Do Rangera.

Babcia zrobiła wielkie oczy.

- Do tego łowcy nagród! Czego od ciebie chce?

- Raportu o osiągnięciach. Nic wielkiego.
- Powinnaś zaprosić go na kolację. Przycisnęłam słuchawkę do piersi.
- To nie jest dobry pomysł.
- Powiedz mu, że mamy pieczeń.
- Na pewno jest zajęty.

Matka podniosła głowę znad miarki z mąką.

- Kto jest zajęty?
- Chłopak Stephanie - doniosła babcia. - Ten łowca nagród. Właśnie z nią rozmawia.
- I nie ma czasu, żeby przyjść na kolację? - upewniła się matka, bardziej zdumiona niż urażona. - Kto to słyszał! Mężczyzna musi jeść, może nie? Powiedz mu, że mamy dużo jedzenia. Powiedz, że już stawiam dla niego talerz.
- Już stawiają talerz dla ciebie - powtórzyłam do słuchawki. Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.
- Pochodzisz z długiej linii przerażających kobiet - powiedział

wreszcie Ranger. W garnku z kartoflami woda wrzała i przyskała na kuchenkę. Czerwona kapusta gotowała się w saganie. Marchewka z groszkiem perkotała na trzecim palniku. Szyby w oknach kuchni były skute lodem od dołu i zaparowane na górze. Na ścianie za piecykiem zbierała się skroplona para wodna. Matka sprawdziła kartofle.

- Już miękkie - oznajmiła.
- Muszę kończyć - powiadomiłam Rangera. - Kartofle już miękkie.
- Co będzie, jeśli nie przyjdę? - chciał wiedzieć Ranger.
- Lepiej nie pytaj.
- Cholera.

Mój ojciec jest zwykłym cichym kołtunem. Nie odmówiłby człowiekowi praw, do nikogo nie żywi nienawiści. Po prostu wie, że Włosi są narodem wybranym, stereotypy są uświęcone przez Boga, a jeśli jest się osobą godną szacunku, jeździ się buickiem.

Na Rangera popatrywał z pewnym zdumionym oszołomieniem, naturalnym u kogoś, komu właśnie zbombardowano dom.

Dziś Ranger przywdział czarny uniform. Obcisły czarny podkoszulek z długimi rękawami, czarny wodoszczelny zegarek, czarne raperskie spodnie włożone w czarne wojskowe buty, w uszach podwójne złote kolczyki a na szyi tyle złotych łańcuszków, że można by nimi zapłacić kaucję za zbrodniarza wojennego.

- Niech się pan częstuje pieczenią - powiedziała babcia zachęcająco.

- Jest pan Murzynem?

Ranger nawet nie mrugnął okiem.

- Kubańczykiem.

Babcia ciężko się zawiodła.

- Szkoda. Myślałam, że będę mogła się pochwalić dziewczynom w salonie piękności, że jadłam kolację z Murzynem.

Ranger uśmiechnął się i nałożył sobie kartofli.

Bardzo dawno temu postanowiłam, że nie będę się wstydzić za swoją rodzinę. To kolejna zaleta mieszkania w Jersey. W Jersey każdy ma prawo robić z siebie idiotę, ale nie ma to wpływu na nikogo poza nim.

Prawdę mówiąc, okresowe robienie z siebie idioty jest niemal pożądane.

Widziałam wyraźnie, że matka robi wysiłek umysłowy w poszukiwaniu bezpiecznego tematu do rozmowy.

- Ranger to niezwykle imię - zdołała wymyślić. - Czy to pseudonim?

- To ksywka. Byłem rangerem w wojsku.

- W telewizji mówili o rangerach - wtrąciła babcia. - Podobno przez nich owce zachodzą w ciążę.

Ojciec otworzył usta tak szeroko, że wypadł mu z nich kawałek pieczeni. Matka zamarła z widelcem w powietrzu.

- To taki żart - wyjaśniłam babci. - Tak naprawdę owce nie zachodzą w ciążę przez rangerów.

Wzrokiem wezwałam Rangera na pomoc, ale tylko się uśmiechnął.

- Bardzo mi trudno znaleźć Mo - zwróciłam się do matki. - Nie słyszałaś niczego w sklepie?

Matka westchnęła.

- Ludzie nie rozmawiają o Mo. Ludzie rozmawiają o tobie. Babcia wgniotła groszek w kartofle i

dokładnie wymieszała.

- Elsie Farnsworth powiedziała, że widziała Mo w smażalni.

Kupował kubek ekstra pikantnych udek. A Mavis Rheinhart mówi, że widziała, jak wchodził do sklepu Giovachinni. Binney Rice widziała Mo, kiedy przedwczoraj w nocy wyjrzała przez okno w sypialni. Oczywiście dwa tygodnie temu Binney opowiadała wszystkim, że Donald Trump zaglądał jej do okna.

Ranger podziękował za pudding. Nie lubi zmieniać poziomu cukru we krwi. Ja zjadłam dwa kawałki i wypiałam kawę, zmuszając tym samym swoją trzustkę do akrobatycznych wyczynów. Raz się żyje, oto moja filozofia.

Pomogłam posprzątać ze stołu i właśnie odprowadzałam Rangera do drzwi, kiedy zaćwierkał jego telefon komórkowy. Rozmowa była krótka.

- Mam spotkanie w barze na Stark Street - oznajmił Ranger. -

Chcesz postrzelać?

Pół godziny później siedzieliśmy w bronco przed knajpą „U Eda”.

To standardowy lokal na tej ulicy. Jedna sala z kilkoma stołami z popękanego laminatu i bar w głębi. Powietrze jest tu stęchłe i pełne duszącego dymu, śmierdzi piwem, tłustymi włosami i zimnymi frytkami.

Stoły były puste. Wokół baru stała gromadka mężczyzn. Kiedy weszliśmy do środka, z mroku spojrzeli na nas nieprzyjazne oczy.

Barman skinął głową niemal niedostrzegalnym ruchem. Zerknął na pokoik na końcu baru. Na drzwiach wisiał wyszczerbiony metalowy trójkąt.

Ranger odezwał się cicho.

- Zostań tutaj i obstawiaj drzwi.

Obstawiać drzwi? To ma być żart? Pomachałam figlarnie paluszką do mężczyzn przy barze. Żaden mi nie odpowiedział.

Wyciągnęłam z kieszeni trzydziestkę piątkę i zatknęłam za pasek lewisów.

Teraz też żaden do mnie nie pomachał.

Ranger zniknął za drzwiami z trójkątem. Usłyszałam, że zapukał do drzwi kabiny. Potem jeszcze raz... mocniej. Szczęknęła poruszana klamka, a potem doszedł mnie charakterystyczny odgłos kopnięcia w drzwi.

Ranger wybiegł pędem z toalety.

- Uciekł przez okno!

Pospieszyłam za nim. Zatrzymaliśmy się na ułamek sekundy, nasłuchując kroków, po czym Ranger wystartował przed siebie, na tyły baru. Pośliznęłam się na udzie, potknęłam na śmieciach i zaczęłam tracić dech. Czubek buta uwiązał mi w jakimś kawałku drewna; uderzyłam kolaniem o ziemię. Podniosłam się i tak długo opowiadałam bardzo brzydkie słowa, aż ból ustąpił.

Wypadliśmy z zaułka. Mroczna postać biegła ku frontowym drzwiom domku naprzeciwko. Pogalopowaliśmy za nią. Ranger wbiegł

frontem, ja pospieszyłam ubezpieczyć tylne wejście. Z trudem łapałam powietrze, a jednocześnie szukałam po kieszeniach pieprzu w aerozolu.

Nie zdążyłam wyjąć ręki z kieszeni, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, a Melvin Morley III wpadł na mnie z rozpędem.

Morley okazał się wielki jak niedźwiedź i tak samo śmierdzący.

Został oskarżony o napaść z użyciem broni oraz kradzież. Był pijany jak bela.

Oboje gruchnęliśmy na ziemię, która jęknęła głucho pod nami. On na dole, ja na górze. Odruchowo chwyciłam go za kurtkę.

- Hej, przystojniaku - powiedziałam. Może zdezorientuję go kobiecym wdziękiem.

Sapnął i zmiotł mnie z siebie, jakbym była muchą. Chwyciłam go za nogawkę.

- Ratunku! - wrzasnęłam. - RATUNKUUUU!

Morley złapał mnie pod pachy i podniósł na wysokość swoich oczu.

Nogi dyndały mi co najmniej dziesięć centymetrów nad ziemią.

- Ty głupia biała suko - powiedział i potrząsnął mną gwałtownie tak, że głowa omal mi nie odpadła.

- Je-je-jesteś aresztowany - oznajmiłam.

- Nikt nie aresztuje Morley'a. Zabiję każdego, kto będzie chciał

mnie aresztować. Zaczęłam machać rękami, wierzgać nogami i nagle jakoś tak się stało, że trafiłam go w kolano.

- Łooo! - wrzasnął.

Wielka łapa puściła mnie i Morley zgiał się w pół. Zatoczyłam się do tyłu i grzotnęłam o ziemię,

wpadając na Rangera.

- Hej, przystojniaku? - spytał Ranger.

- Myślałam, że to go zbije z tropu.

Morley trzymał się za kolano i rzeził, skulony w pozycji płodowej.

- Złamała mi kolano - wyjęczał. - Ta przekłeta baba złamała mi kolano.

- Zdaje się, że to twój bucik go zbił z tropu. Szczęśliwy przypadek.

- Skoro stałeś tu przez cały czas, dlaczego mi nie pomogłeś?

- Nie potrzebowałaś pomocy, mała. Może sprowadzisz samochód, a ja posiedzę przy panu Morley'u. Trzeba będzie mu pomóc w chodzeniu.

Dochodziła dziesiąta, kiedy Ranger odwiózł mnie do domu rodziców na High Street. Na ganku domu naprzeciwko siedział Psiuńcio, dwustuletni pudel pani Crandle, sposobiąc się do ostatniego siusnięcia przed snem. W domu obok, w którym mieszka pani Ciak, światła były już pogaszone. Pani Ciak lubi wcześniej się kłaść i wcześniej wstawać. Moja matka i babcia najwyraźniej nie podzielały jej upodobań, ponieważ stały w oknie z nosami rozpląszczonymi na szybie i przyglądały się nam.

- Pewnie stoją tak, odkąd wyszłaś - zauważył Ranger.

- Moja siostra jest normalna - powiedziałam obronnym tonem. -

Zawsze tak było.

Ranger pokiwał głową.

- To jeszcze dziwniejsze.

Pomachałam mu na do widzenia i poszłam do domu.

- Zostało jeszcze trochę puddingu - oznajmiła matka, ledwie otworzyłam drzwi.

- Zastrzeliłaś kogoś? - dopytywała się podniecona babcia. - To była duża robota?

- Mała - odpowiedziałam. - I nikogo nie zastrzeliliśmy. Prawie nigdy nie strzelamy do ludzi.

Ojciec wychylił się z fotela w salonie.

- Kto strzela?

- Stephanie. Ale dziś nikogo nie zastrzeliła - wyjaśniła matka.

Ojciec przyjrzał się nam nieruchomym wzrokiem, jakby zastanawiał

się, czy by nie ruszyć w półroczną podróż samolotem, po czym odwrócił

się znów do telewizora.

- Nie mogę zostać - powiedziałam do matki. - Wstąpiłam tylko, żebyście wiedzieli, że wszystko jest w porządku.

- W porządku? - krzyknęła matka. - Wybiegasz w środku nocy za jakimś mordercą! Jak możesz mówić, że coś tu jest w porządku! I spójrz tylko na siebie! Co się stało z twoimi spodniami! Masz wielką dziurę!

- Upadłam.

Matka zacisnęła usta.

- Więc chcesz ten pudding czy nie?

- Oczywiście, że chcę.

Otworzyłam oczy w kompletnych ciemnościach z niesamowitym uczuciem, że nie jestem sama. Nie miałam żadnych faktów na poparcie tej tezy. Zostałam wyrwana ze snu przez bardzo wyraźne przecucie. Być może to przecucie powstało pod wpływem świstu wiatru lub ruchu firanki. Z mocno bijącym sercem zaczęłam nasłuchiwać odgłosów ruchu.

Wciągnęłam powietrze, by poczuć zapach cudzego potu, szukałam jakiegokolwiek potwierdzenia swoich obaw.

Rozejrzałam się, ale zauważyłam tylko znajome kształty. Na elektronicznym budziku cyferki pokazywały godzinę piątą trzydzieści.

Poderwałam się na dźwięk zatrzaśniętej szuflady bieliźniarki i wreszcie znalazłam natręta.

Spodnie od dresu poszybowały w powietrzu i uderzyły mnie w głowę.

- Jeśli mamy pracować razem, musisz poprawić kondycję - oznajmił natręt.

- Ranger, to ty?

- Zrobiłem ci herbaty. Stoi na szafce przy łóżku.

Włączyłam światło. Faktycznie, przy łóżku stała filiżanka parującej herbaty. Tyle na temat baśni o Stephanie Plum, kobiecie o instynkcie dzikiego zwierzęcia.

- Nie znoszę herbaty - powiedziałam pociągając nosem. Upiłam jeden łyk. Yyy!

- Co to?

- Źeń szeń.

- Dziwne. Okropny smak.

- Dobrze ci robi na krążenie - pouczył mnie Ranger. - Pomaga się dotlenić.

- Co robisz w mojej sypialni? - W normalnych okolicznościach spytałabym raczej o sposób wejścia. W przypadku Rangera pytanie nie miało sensu. Ranger miał swoje sposoby na wszystko.

- Chcę cię wyciągnąć z wyra. Już późno.

- Jest wpół do szóstej!

- Zaczekam w salonie. Będę się rozgrzewać.

Odprowadziłam go tępym wzrokiem. O co mu chodzi? Do czego zamierza się rozgrzewać? Wciągnęłam spodnie i podreptałam za nim.

Ranger robił pompki im jednej rękę.

- Zaczniemy od pięćdziesięciu - zarządził.

Położyłam się na podłodze i spróbowałam go naśladować. Po pięciu minutach Ranger skończył, a ja prawie zrobiłam jedną pompkę.

- Dobra - odezwał się Ranger podskakując w miejscu. - A teraz na ulicę.

- Ja chcę jeść.

- Przebiegniemy dwa kilometry i wrócimy na śniadanie.

Dwa kilometry? Na głowę upadł? Było wpół do szóstej rano.

Ciemno. Zimno. Wyjrzałam przez okno. Jasny gwint, padał śnieg!

- Fajnie - powiedziałam. - Bułka z masłem.

Ubrałam się w puchówkę, załadowałam kieszenie chusteczkami do nosa i balsamem do ust, włożyłam narciarkę, omotałam szyję szalikiem, naciągnęłam na ręce wielkie wełniane mitenki i podążyłam za Rangerem.

Przebiegł bez śladu zmęczenia przez pół dzielnicy. Jego kroki były pewne i równe. Uwaga skierowana do wewnątrz. A ja galopowałam za nim, zasmarkana, rżężąca, z uwagą skierowaną na przeżycie następnej minuty.

Na boisku za liceum wbiegliśmy na bieżnię. Zwolniłam i posmarowałam usta balsamem. Ranger

trzepnął mnie w głowę, więc znowu potulnie zaczęłam poruszać się truchtem. Ranger musiał mnie trzepnąć jeszcze parę razy, a potem zwałóknął mnie z bieźni i ponownie zaciągnął na ulicę.

Słońce nie wyłoniło się jeszcze znad horyzontu, ale niebo już zaczęło się rozjaśniać pod zasłoną chmur i śniegu. Na twarzy Rangera lśniła warstewka potu, a na koszuli widniała ciemna wilgotna plama. Nie zmienił wyrazu kontemplacyjnego zamyślenia. Ciągle miał równy oddech, a krok dostosował do mojego tempa.

W milczeniu dobiegliśmy do mojego domu. Ranger wbiegł po schodach, ja pojechałam windą.

Czekał na mnie przed drzwiami.

- Myślałem, że jesteś za mną - powiedział.

- Bo byłam. Bardzo daleko za tobą.

- Cała tajemnica leży w stanie ducha - pouczył mnie. - Chcesz być twarda, musisz żyć zdrowo.

- Zaczniemy od tego, że wcale nie chcę być twarda. Chcę być... jak należy. Ranger zdjął bluzę.

- Należy umieć przebiec dwa kilometry. Jak zamierzasz łapać bandytów, skoro nie potrafisz ich prześcignąć?

- Bandytów, którzy lubią biegać, Connie oddaje tobie. Mnie daje tłustych i bez kondycji.

Ranger wyjął z mojej lodówki torbę i wrzucił jej zawartość do miksera. Włączył go i w pojemniku pojawiła się różowa breja.

- Co robisz? - spytałam z niepokojem.

- Puszek.

Wlał puszek do wielkiej szklanki i wręczył mi ją.

Pociągnęłam łyk. Niezłe. Gdyby ten puszek był w mniejszej szklance, a obok niego znajdowała się wielka sterta faworków z cukrem pudrem, pewnie wydawałby się niemal znośny.

- Czegoś tu brakuje - oznajmiłam. - Brakuje tu... czekolady. Ranger wypił resztę.

- Wracam do domu. Wezmę prysznic i zadzwonię w parę miejsc.

Będę za godzinę. Dla uczczenia naszej współpracy ubrałam się tak jak on.

Czarne buty, czarne dżinsy, czarny golf, małe srebrne kółka w uszach.

Obejrzał mnie od stóp do głów, kiedy otworzyłam mu drzwi.

- Elegantka.

Mam nadzieję, że to, czym go obdarzyłam, wyglądało na enigmatyczny uśmiech.

On miał na sobie czarną skórzaną kurtkę z frędzlami wzdłuż rękawów. Na każdym frędzlu znajdowały się niebieskie i czarne koraliki.

Moja czarna skórzaną kurtka nie miała frędzli ani koralików. Za to suwaków miała więcej, więc uważam, że się wyrównało. Włożyłam czarną czapkę z emblematem Metalliki.

- Co teraz? - spytałam.

- Teraz poszukamy Mo.

Ciągle padał śnieg, ale w bronco Rangera było ciepłutko.

Jechaliśmy ulicami, szukając Batmobila na parkingach i przy domkach jednorodzinnych. Za moją poradą odwiedziliśmy parę laboratoriów fotograficznych. Dwóch sprzedawców rozpoznało wujka Mo, ale powiedzieli, że nie widzieli go ostatnio. Śnieg ciągle padał, a na ulicach robiły się korki przez samochody, które nie potrafiły wspiąć się pod górkę.

- Mo nie wyjdzie w taką pogodę - zawyrokował Ranger. - Właściwie możemy dać sobie spokój na dzisiaj.

Nie zamierzałam się z nim sprzeczać. Zbliżała się pora obiadu.

Umierałam z głodu i nie zamierzałam paść się kielkami i zarodkami pszenicy.

Ranger dowiózł mnie przed drzwi mojego mieszkania i odjechał w swoim rumaku z napędem na cztery koła. Popędziłam po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz, przegalopowałam przez korytarz i otworzyłam drzwi. W domu panowała cisza i spokój. Rex drzemał.

Lodówka cicho brzęczała. Śnieg padał za rybą. Zrzuciłam buty, zdarłam z siebie czarne dżinsy i przyniosłam do sypialni naręczce żarełka. Włączyłam telewizor i runęłam na łóżko z pilotem w objęciach.

Ja to się umiem zabawić, co?

O wpół do siódmej byłam bliska śpiączki. Usiłowałam wybrać pomiędzy dziennikiem a starym kinem, kiedy nagle w mózgu zapłonęła mi lampka.

Mo ma prawnika.

Od kiedy? W dokumentach zaznaczył, że rezygnuje z obrońcy.

Jedyne, co przyszło mi do głowy, to zadzwonić do Joe Morellego.

- No? - powiedział. Tylko tyle. Żadnego halo.

- Miałeś zły dzień?
- Nie miałem dobrego dnia.
- Wiesz, że Mo ma prawnika?
- Mo zrezygnował z obrońcy.
- Wpadłam na niego i powiedział, że ma prawnika. Po drugiej stronie zapadła cisza.
- Wpadłaś na Mo?
- Był w sklepie.
- I?
- I uciekł.
- Słyszałem, że w fabryce guzików są wolne miejsca.
- Przynajmniej wiem, że ma prawnika. Ty nawet tyle nie wiesz.
- Twoje na wierzchu - przyznał Morelli. - Sprawdzę to jutro w sądzie, ale o ile mi wiadomo, nikt nas nie powiadomił o zmianie sytuacji.

Do listy pytań dodałam jeszcze jeden punkt. Dlaczego Mo miałby angażować prawnika? Mógł to zrobić, gdyby rozważał zgłoszenie się na policję. Może miał także inne powody, ale żaden nie przychodził mi do głowy.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Śnieg już nie padał, a na ulicach zrobiło się porządniej. Zaczęłam krążyć po sypialni i po salonie. Podeszłam do stołu i napisałam w notatniku: „Mo ma prawnika”.

Potem dodałam: „Niektórym wydaje się, że widzieli Mo na Montgomery Street”.

Narysowałam wielką okrągłą głowę i wypełniłam ją znakami zapytania. Była to moja głowa.

Znowu zaczęłam chodzić. Dręczyła mnie ta Montgomery Street. A co tam, pomyślałam. Przejadę się tam. I tak nie mam co robić.

Ubrałam się i pobrałam przez śnieg do buicka. Zaparkowałam na Montgomery niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym staliśmy poprzednio. I zobaczyłam dokładnie to samo. Żółty budynek, misja, kościół, magazyn. Jedyłą odmianę stanowił fakt, że teraz panowały ciemności, a wtedy było jasno. Z technicznego punktu widzenia ciemno było przez pierwsze dwie godziny, ale wtedy znajdowałam się w odrętwieniu spowodowanym przez brak snu, więc to się nie liczyło.

Spojrzałam przez lornetkę na budynek - tak sobie, dla draki. Ani golasów, ani morderców, ani Mo.

Podglądanie wcale nie jest takie fajne, jak się słyszy.

W misji światła były wygaszone, ale w kościele obok panował spory ruch. Misja i kościół zajmowały dwa piętrowe budynki. Niegdyś mieściły się w nich sklep papierniczy i pralnia. Wielebny Bill, kaznodzieja z łaski bożej, kupił je przed pięcioma laty i założył w nich siedzibę swojego kościoła. To jeden z tych, co to głoszą wartości rodzinne. Od czasu do czasu gazety publikowały zdjęcie wielebnego Billa pikietującego pod kliniką aborcyjną lub oblewającego krowią krwią kobiety w futrach.

Ludzie, którzy wchodzili do kościoła, wyglądali normalnie. Żaden nie miał przy sobie transparentu ani wiadra z krowią krwią. Przeważnie rodziny. Paru samotnych mężczyzn. W ciągu pół godziny naliczyłam dwadzieścioro sześcioro mężczyzn, kobiet i dzieci; potem pewnie zaczęło się spotkanie, bo drzwi zamknięto i nikt więcej się nie pokazał. Nie była to grupa zróżnicowana etnicznie, co nie wydawało się dziwne, ponieważ w tej dzielnicy mieszkają przeważnie biali. Ludzie chodzą do kościoła, który znajduje się najbliżej ich domu.

Sklep z artykułami gospodarstwa domowego i kafejkę Sala zamknięto o dziewiątej. Jeszcze raz zlustrowałam budynek przez lornetkę. Wpatrywałam się właśnie w drugie piętro, kiedy ktoś zapukał do mojego okna.

Był to Carl Costanza w policyjnym mundurze. Patrzył na mnie i kręcił głową. Otworzyłam drzwi i wpuściłam go do środka.

- Naprawdę, musisz sobie znaleźć jakieś towarzystwo - powiedział.

- Mówisz jak moja matka.

- Dostaliśmy zgłoszenie, że przed blokiem siedzi zboczeniec w buicku i podgląda ludzi przez lornetkę.

- Śledzę Mo.

Costanza odebrał mi lornetkę i sam przyjrzał się budynkowi.

- Długo będziesz jeszcze tu siedzieć?

- Nie, już skończyłam. W ogóle nie wiem, po co tu przyjechałam.

Wiesz, miałam takie przecucie.

- W tym mieście ludzie w ogóle się nie rozbierają - stwierdził

Costanza z rozczarowaniem, wodząc spojrzeniem od okna do okna. -

Rozmawiałaś z wielebnym Billem?

- Jeszcze nie.

- To idź do niego, a ja będę tu miał oko na wszystko. To mieszkanie na pierwszym piętrze wygląda obiecująco.

- Myślisz, że Mo może się tam pojawić?

- Nie. Myślę, że może się tam pojawić goła kobitka. No, słoneczko -

powiedział Carl słodko, skupiony na kobiecie w oknie. - Rozepnij bluzeczkę dla wujcia Carla.

- Jesteś chory.

- Żyję po to, by służyć społeczeństwu.

Przeszłam przez ulicę i zajrzałam przez szparę w zasłonach okna Kościoła Wolności. Nie zobaczyłam wiele, więc otworzyłam drzwi i zerknęłam do środka.

Cały parter stanowił jedno wielkie pomieszczenie - audytorium ze składanymi krzesłami i rodzajem sceny. Scena była przybrana niebieskim materiałem. Pośrodku stała katedra. Podejrzewam, że miała to być ambona.

Obok ambony jakiś mężczyzna układał książki. Był średniego wzrostu, średniej wagi i miał głowę jak kula do kręgli. Na świat patrzył

przez szylkretowe okulary, a cerę miał tak różową, jakby przed chwilą szorował twarz ryżową szczotką. Wyglądał mi na typ człowieka, który zwraca się do ludzi per „panie dobrodzieju”. Znałam go z gazet. Miałam przed sobą wielebnego Billa.

Na mój widok wyprostował się z uśmiechem. Głos miał miękki i melodyjny. Bez trudu wyobrażałam go sobie śpiewającego w chórze.

Nieco trudniej przyszło mi zobaczyć go z wiadrzem krwi, ale podejrzewam, że w gorączce chwili...

- Oczywiście, że znam Mosesa Bedemiera - powiedział, dobrotliwie uśmiechnięty. - Wszyscy znają wujka Mo. Takich wielkich porcji lodów nie sprzedaje nikt oprócz niego.

- Parę osób zgłosiło, że widziało go ostatnio na Montgomery.

- Już po tym, jak zniknął?

- Pastor wie o tym?

- Paru naszych parafian mieszka w Miasteczku. Wszyscy się martwimy. To bardzo dziwne zachowanie jak na tak statecznego człowieka.

Dałam wielebnemu wizytówkę.

- Jeśli go pastor zobaczy, będę wdzięczna za wiadomość.

- Oczywiście. - Spojrzał na wizytówkę, zatopiony w myślach, poważny. - Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Rozdział 9

Nie życzyłam sobie ponownej wizyty Rangera w mojej sypialni o świcie, więc sprawdziłam, czy wszystkie okna są zamknięte, a zasuwę zabezpieczona. Potem, dla zupełnej pewności, ustawiłam przed drzwiami wieżę z garnków i patelni, które powinny się zwalić na podłogę w razie, gdyby ktoś usiłował wejść. Kiedyś wykorzystałam do tego samego celu szklanki. Zabieg miał swój urok, jeśli nie liczyć odłamków szkła w całym mieszkaniu oraz konieczności picia z papierowych kubków do czasu następnej wypłaty.

Odczytałam swoje notatki, ale nie nawiedziła mnie żadna odkrywca myśl.

O piątej rano garnki zwały się na podłogę z piekielnym jazgotem.

Wypadłam w koszuli na korytarz, gdzie zastałam uśmiechniętego Rangera.

- Cześć, mała - powiedział.

Przeszłam pomiędzy fantazyjnie rozrzuconymi naczyniami i sprawdziłam drzwi. Dwa zamki yale były nietknięte, zasuwę na swoim miejscu, łańcuch również. Wniosek nasuwał się sam - Ranger zburzył

moją wieżę z garnków, wśliznąwszy się do mieszkania przez szparę pod progiem.

- Pewnie nic mi nie przyjdzie z tego, że spytam, jak tu wszedłeś.

- Kiedyś, kiedy nie będziemy mieli nic do roboty, odbędziemy kurs dla zaawansowanych

włamywaczy.

- Wiesz, co to jest dzwonek przy drzwiach? Ranger tylko się uśmiechnął.

No dobrze, nie otworzyłabym, gdyby zadzwonił. Wyrzałałabym przez wizjer, zobaczyła go i wróciła do łóżka.

- Dzisiaj nie biegam - oznajmiłam. - Biegałam wczoraj. Nie spodobało mi się. Już nigdy tego nie zrobię. To już zaliczyłam.

- Gimnastyka ma zbawienny wpływ na życie seksualne - powiedział

Ranger.

Nie zamierzałam czynić mu krępujących zwierzeń, ale nie można mieć wpływu na coś, co nie istnieje.

- Pada śnieg? - spytałam nieufnie.

- A deszcz?

- Też nie.

- Nie będę musiała wypić puszkę?

Ranger zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie zaszkodziłoby ci. W tej koszuli wyglądasz jak Miś Yogi.

- Nie wyglądam jak Miś Yogi! No, od paru dni nie goliłam nóg... ale to jeszcze nie powód, żeby mnie tak nazywać. I na pewno nie jestem taka gruba!

Ranger ograniczył się do swojego słynnego uśmiechu.

Wyniosłam się do sypialni i trzasnęłam drzwiami. Wcisnęłam się w rajtki i spodnie od dresu, zasznurowałam buty do biegania i pomaszerowałam na korytarz, gdzie czekał Ranger.

- Tylko niech ci się nie wydaje, że tak będzie codziennie -

zapowiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Robię to tylko po to, żeby poprawić ci humor.

Po godzinie wróciłam do domu na czworakach, dopełzłam do kanapy i runęłam na nią jak długa. Przyszło mi do głowy, żeby na drugi raz położyć przy łóżku pistolet, najlepiej nabity. Następnie postanowiłam posłużyć się nim do zamordowania Rangera. Potem rozmyśliłam się i pomyślałam, czy nie wykorzystać go do popełnienia samobójstwa. Jeszcze jeden trening o świcie i padnę trupem. Może lepiej skończyć z tym od razu.

- Dojrzałam do podjęcia pracy w fabryce produktów sanitarnych -

wyznałam Rexowi, który ukrył się w puszcze po zupie. - Do pakowania tamponów kondycja nie jest potrzebna. Mogłabym ważyć sto pięćdziesiąt kilo, a mimo to być cenionym pracownikiem. - Zdarłam z nóg buty i przemoczone skarpetki. - Dlaczego ja się tak męczę? Zaczęłam pracować z szaleńcem i wypruwam z siebie żyły, żeby złapać dziadka, który sprzedaje dzieciom lody.

Rex wysunął się z puszkii, spojrział na mnie i poruszył wąsikami.

- No właśnie - zgodziłam się z nim. - To głupie. Głupie, głupie, głupie.

Wstałam z bolesnym stęknieniem. Podreptałam do kuchni i zabrałam się do parzenia kawy. Przynajmniej Ranger nie wtrąca się do tego, co jem.

- Musiał wrócić do domu z powodu przykrego wypadku -

wyjaśniłam Rexowi. - Słowo daję, że nie chciałam mu podstawić nogi. A już na pewno nie chciałam, żeby rozdarł sobie dres na kolanie, kiedy się tak nieszczęśliwie przewrócił. I oczywiście strasznie mi przykro, że naciągnął sobie pachwinę.

Rex spojrział na mnie wzrokiem mówiącym: „akurat”.

W dzieciństwie chciałam być reniferem - takim latającym. Przez parę lat galopowałam po okolicy, wypatrywałam porostów i marzyłam o reniferze płci męskiej. Potem pewnego dnia obejrzałam „Piotrusia Pana” i faza reniferowa przeszła do historii. Urok wiecznego dzieciństwa był mi kompletnie obcy, ponieważ każda dziewczynka w okolicy marzyła o tym, żeby urosnąć, mieć piersi i męża. Ale rozumiałam, że Piotruś Pan jest lepszy od latającego renifera. Mary Lou też obejrzała „Piotrusia Pana”, ale ona zamierzała zostać Wendy, więc razem stanowiłyśmy dobraną parę.

Całymi dniami ganiałyśmy po dzielnicy trzymając się za ręce i wołając:

„Umiem latać! Umiem latać!”. Gdybyśmy były starsze, pewnie zaczęłyby się plotki.

Faza Piotrusia Pana trwała dość krótko. W parę miesięcy później odkryłam istnienie Wonder Woman. Wonder Woman nie potrafiła latać, ponieważ miała ogromne, bujne piersi opięte seksownym kostiumem. W

Miasteczku tytuł najsłynniejszej kobiety dzierżyła Bartne, ale Wonder Woman nieźle dawała jej w kość. Nie tylko miała własną broń, ale w dodatku łapała prawdziwych złoczyńców.

Gdybym miała wymienić osobę, która najbardziej zaważyła na moim życiu, byłaby nią Wonder Woman.

Przez całe nastoletnie życie i trochę później chciałam zostać gwiazdą rocka. Fakt, iż nie potrafię grać na żadnym instrumencie i nie mam głosu, w niczym nie odbierał uroku moim marzeniom. W chwilach większej przytomności umysłu chciałam być dziewczyną rockowego piosenkarza.

Przez bardzo krótki okres, kiedy pracowałam jako sprzedawczyni bielizny u E. E. Martina, moje ambicje dotyczyły świata interesów.

Postrzegałam siebie jako elegancką kobietę, rzucającą rozkazy tłumowi płaszczących się mężczyzn i podróżującą wyłącznie limuzyną.

Rzeczywistość wyglądała tak, że pracowałam w Newark i uważałam, że mam udany dzień, jeśli nikt nie nasikał mi na nogi na stacji kolejowej.

Obecnie mam niejaki problemy z opracowaniem kolejnego udanego marzenia. W pewnym sensie powróciłam do pragnienia zostania Wonder Woman, ale okrutny los sprawił, że jej kostium byłby na mnie bardzo luźny w klatce piersiowej.

Włożyłam do tostera mrożony wafel i zjadłam go na słodko, kiedy się już ogrzał. Wypiłam dwie filiżanki kawy i powlokłam obolałe ciało do łazienki, gdzie wzięłam prysznic.

Bardzo długo stałam pod gorącą wodą, zastanawiając się, co mam dziś do załatwienia. Powinnam zadzwonić w sprawie samochodu, zrobić pranie i zapłacić rachunki, oddać bluzę Mary Lou. I zdecydowanie musiałam złapać wujka Mo.

Najpierw zadzwoniłam do warsztatu.

- Chodzi o gaźnik - powiadomił mnie mechanik. - Możemy dać nowy albo próbować łątać stary. Naprawa jest o wiele tańsza. Oczywiście nie dajemy żadnych gwarancji.

- Jaki gaźnik? Chodziło tylko o świece i styki.

- No tak, to też.

- Skąd nagle ten gaźnik?

- Tak wyszło. Na dziewięćdziesiąt pięć procent. Czasami ma się takie problemy przy wadliwym działaniu zaworu wydechowego. Czasami tak bywa, jak nawala przewód powietrza albo pompa paliwowa. Ale nie sądzę. Uważam, że trzeba dać nowy gaźnik.

- Dobrze. Świetnie. Proszę bardzo. Niech będzie gaźnik. Jak długo to potrwa?

- Niedługo. Zadzwonimy do pani.

Następnym punktem mojego dnia miała być wizyta w biurze i sprawdzenie, czy wydarzyło się coś nowego. A przy okazji mogłabym skontrolować Larkina, mieszkańca domu przy Montgomery Street.

Okutałam się w ciepłe ciuchy, zesłam na dół, odłupałam z buicka świeży lód i ruszyłam do biura.

Lula i Connie już pracowały. Drzwi Vinniego były zamknięte.

- Jest u siebie? - spytałam.

- Nie widziałam go - odrzekła Connie.

- Aha - dodała Lula. - Może wczoraj ktoś wbił mu kłutek w serce i już nigdy go nie zobaczymy.

Zadzwoił telefon. Connie przekazała słuchawkę Luli.

- Jakaś Shirlene.

Uniosłam brwi. Shirlene, kobieta Leroya Watkina?

- Tak! - zakrzyknęła Lula, skończywszy rozmowę. - Jesteśmy na fali!

Mamy szczęście. Shirlene mówi, że Leroy przyszedł na noc do domu.

Potem się pokłócili, Leroy ją natłukł i wykopał na ulicę. No więc Shirlene mówi, że możemy go złapać.

Chwyciłam kluczyki i zapięłam kurtkę.

- Lecimy.

- Nie będzie łatwo - powiedziała Lula, kiedy znalazłyśmy się na Stark Street. - Jak zapukamy, pewnie pomyśli, że to Shirlene. Mam nadzieję, że nie ucieszy się za bardzo, wiesz co mam na myśli?

Wiedziałam bardzo dobrze i nie miałam ochoty się nad tym zastanawiać. Zatrzymałam samochód przed budynkiem, w którym mieszka Leroy i obie znieruchomiałyśmy w milczeniu.

- No - odezwała się wreszcie Lula. - Drugi raz nie zniszczy drzwi.

Pewnie właściciel nieźle się po nim przejechał. Drzwi nie rosną na drzewach, dobrze mówię?

Rozważyłam to.

- Może nie ma go w domu - dodałam. - Kiedy Shirlene go widziała?

- Wczoraj w nocy.

Jeszcze trochę posiedziałyśmy w milczeniu.

- Mogłybyśmy tu na niego zaczekać - zaproponowała Lula. -

Weźmiemy dom pod obserwację.

- Albo możemy zadzwonić.

Lula spojrzała w okna mieszkania.

- To dobry pomysł. Można zadzwonić. Minęło parę minut.

Wzięłam głęboki wdech.

- No dobrze, do roboty.

- A niech to - mruknęła Lula.

W korytarzu przystanęliśmy i rozejrzałyśmy się uważnie. Z

któregoś mieszkania dochodził ryk telewizora. Z innego wycie dziecka.

Powoli weszłyśmy na pierwsze piętro, nasłuchując przy każdym kroku.

Zatrzymałyśmy się i zrobiłyśmy parę głębokich wdechów.

- Nie zemdlejesz, co? - upewniła się Lula. - Nie chciałam, żebyś się na mnie przewróciła.

- Nic mi nie jest - zapewniłam ją.

- Aha - powiedziała Lula. - Mnie też.

Kiedy dotarłyśmy na drugie piętro, prawie w ogóle przestałyśmy oddychać. Stałyśmy przed drzwiami załatanymi tekturą i brudną sklejką. Skinęłam na Lulę, żeby stanęła przy ścianie. Natychmiast się na niej rozpląszczyła. Poszłam za jej przykładem.

Zapukałam do drzwi.

- Pizza na telefon! - wrzasnęłam. Nie usłyszałam odpowiedzi.

Zapukałam mocniej i drzwi otworzyły się same. Ani ja, ani Lula nadal nie byłyśmy zdolne do odetchnięcia, a ja czułam w skroniach tętnienie krwi. Przez całą minutę żadna z nas nie zrobiła najmniejszego ruchu. Stałyśmy po obu stronach drzwi i nie odzywałyśmy się ani słowem.

Wreszcie zdołałam wydobyć z siebie głos.

- Leroy? Tu Lula i Stephanie Plum. Jesteś tam? Po chwili milczenia Lula zdobyła się na uwagę:

- Chyba go nie ma.

- Nie ruszaj się - nakazałam. - Wchodzę.

- Proszę cię uprzejmie - zgodziła się. - Poszłabym pierwsza, ale nie chcę niczego popsuć.

Wkradłam się do środka i obejrzałam całe mieszkanie. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałam. Żadnego śladu czyjejś obecności.

- No i? - zawołała Lula z korytarza.

- Chyba puste.

Lula wyjrzała zza framugi.

- Szkoda. A już miałam nadzieję, że dopadnę drania. Miałam ochotę skopać mu tyłek.

Podeszłam do zamkniętych drzwi łazienki, trzymając w pogotowiu pieprz w aerozolu. Szarpnęłam za klamkę i odskokczyłam. Drzwi trzasnęły o ścianę, a Lula wykonała klasyczne „padnij” za kanapą.

Zajrzałam do pustej łazienki i poszukałam wzrokiem Luli. Wstała i otrzepała się.

- Ćwiczyłam refleks - wyjaśniła z godnością. - Nowa metoda.

- Aha.

- Nie chodzi o to, że się przestraszyłam. Trzeba kogoś lepszego, żeby przestraszyć taką kobietę jak ja.

- Przestraszyłaś się.

- Wcale nie.

- Aha.

- Aha, wcale nie. Pokażę ci, kto się tu boi. I to nie będę ja. Ja też potrafię otworzyć drzwi.

Podeszła do szafy i szarpnęła za drzwi. Otworzyły się i ukazały ściśnięte płaszcze i inne ubrania.

Ubrania rozstały się i Leroy Watkins, goły jak święty turecki, z dziurą na środku czoła, zwałił się na Lulę.

Lula zachwiała się i oboje runęli na ziemię. Leroy - z wyciągniętymi rękami, sztywny jak deska, całkiem podobny do Frankensteina - znalazł

się na górze.

- W mordę! - wrzasnęłam. - Jezusie, Maryjo!

- Uuuuuuu! - zawyła Lula rzucona na plecy, młócąc rękami i nogami, z Leroyem leżącym jej na piersi niczym głaz.

Zaczęłam skakać wokół niej.

- Wstawaj! Wstawaj!

A Lula miotła się na ziemi.

- Zdejmij go ze mnie! Zdejmij go!!!

Złapałam martwą rękę i pociągnęłam, a Lula zerwała się na równe nogi i otrząsnęła jak pies.

- Yyy! Ohyda!

Obie stanęłyśmy nad Leroyem.

- Nie żyje - orzekłam. - Z całą pewnością.

- A pewnie. Z całą pewnością. Ma w głowie dziurę jak stodoła.

- I śmierdzi.

- Pewnie narobił w tej szafie.

Obie zakrzusiliśmy się, pogalopowałyśmy do okna i wystawiłyśmy głowy na ulicę. Kiedy przestało mi dzwonić w uszach, wyciągnęłam telefon i skontaktowałam się z Morellem.

- Mam dla ciebie klienta - powiedziałam.

- Znowu?

W jego głosie dźwięczało niedowierzanie i wcale mu się nie dziwiłam. Trzeci trup w ciągu jednego tygodnia.

- Leroy Watkins wypadł nam z szafy - zameldowałam. - I żadna ludzka siła go już nie ożywi.

Podaliśmy mu adres, rozłączyłam się i wyszliśmy na korytarz.

Najpierw pojawili się dwaj mundurowi. Trzydzieści sekund później przyszedł także Morelli. Poinformowałam go o wszystkim i usunęłam się mu z drogi.

Leroy był nagi i niezbyt zakrwawiony. Pomyślałam, że ktoś mógł go zaskoczyć pod prysznicem. W łazience nic nie ociekało krwią, ale nie czułam ochoty, by zajrzeć za zaciągniętą zasłonką.

Morelli wrócił do nas. Zeszliśmy razem na dół, z dala od policjantów i jeszcze raz opowiedziałyśmy mu o wszystkim.

Na schodach pojawili się dwaj inni mundurowi. Spojrzeli na Morellego, a on kazał im zaczekać. Telewizor nadal grzmiał za czyimiś drzwiami. Skądś dobiegały stłumione odgłosy kłótni dwojga dzieci. Nikt nie okazał zaciekawienia obecnością policjantów. Pewnie w tej okolicy ciekawość nie jest uważana za cechę sprzyjającą długiemu życiu.

Morelli zaciągnął suwak mojej kurtki.

- Od ciebie nic już nie chcę... na razie.

Zanim zdążyłam się odwrócić, Lula była w połowie schodów.

- Zmywam się - rzuciła w pośpiechu. - Mam robotę w biurze.

- Robi się nerwowa na widok policjantów - wyjaśniłam Morellemu.

- Aha. Znam to uczucie. Ze mną jest tak samo.

- Jak ci się zdaje, kto mógł stuknąć Leroy'a?

- Każdy. Jego matka mogła go stuknąć.

- Czy to nie dziwne, że w jednym tygodniu zakitowali trzej handlarze narkotyków?

- Nie, jeśli toczą się jakieś podziemne walki.

- A toczą się?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Paru mundurowych stanęło przy nas.

Morelli wskazał kciukiem następne piętro, tamci coś mruknęli i ruszyli dalej.

- Muszę lecieć - powiedział Morelli. - To na razie.

Na razie? I tyle? No dobrze, na górze leżał trup, a cały budynek roił

się od policjantów. Powinnam być szczęśliwa, że Morelli zrobił się taki oficjalny. Powinnam dziękować Bogu, że nie muszę się od niego opędzać, tak? Ale to „na razie” coś za bardzo kojarzyło mi się z „nie dzwoń do mnie, ja zadzwonię do ciebie”. Oczywiście nie chciałam, żeby Morelli do mnie dzwonił. Tylko zastanowiło mnie, dlaczego nie chce. Co jest za mną nie tak? Dlaczego Morelli unika mnie, jak może?

- Coś cię gryzie? - spytałam. Ale Morelli już zniknął w grupce policjantów na drugim piętrze.

Może jednak powinnam schudnąć, pomyślałam człapiąc po schodach. Może powinnam zrobić sobie czerwone pasemka.

Lula czekała w samochodzie.

- Nie było tak źle, co? - odezwała się. - Nie strzelił do nas.

- Co sądzisz o moich włosach? - spytałam. - Może zrobić sobie czerwone pasemka?

Lula obrzuciła mnie wzrokiem fachowca.

- W czerwonym będzie ci bosko.

Podrzuciłam Lulę do biura i pojechałam do domu, żeby sprawdzić wyciągi z konta. Okazało się, że zostało mi jeszcze parę dolarów. Uściłam niemal wszystkie rachunki. Czynnysz na ten miesiąc miałam opłacony. Jeśli dalej będę się żywić na koszt matki, mogę sobie pozwolić na pasemka.

Przejrzałam się w lustrze, nastroszyłam włosy i wyobraziłam sobie nowy świetlisty kolor.

- Wchodzę w to - powiedziałam do swojego odbicia. Zwłaszcza, że jako alternatywa zostało mi

wspominanie Leroy'a Watkinsa.

Pojechałam do domu handlowego, gdzie namówiłam pana Alexandra, żeby się mną zajął. Trzy kwadranse później siedziałam pod suszarką z włosami nasączonymi śmierdzącą pianką i owiniętymi folią aluminiową. Stephanie Plum, potwór z kosmosu. Usiłowałam czytać gazetę, ale oczy mi łzawiły od gorąca i wyziewów. Wytarłam je i spojrzałam na otwarte drzwi wychodzące na dom handlowy.

Była sobota i wszędzie przewalały się tłumy ludzi. Przechodnie zerkali na mnie. Ich wzrok nie wyrażał żadnego uczucia. Zwykła ciekawość. Matki z dziećmi. Wałęsające się małolaty. Stuart Baggett. O

mamusiu! Ten mały zgniłek Stuart Baggett przyszedł do domu handlowego!

Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Ruszyła pamięć. Stuart wymówił bezgłośnie moje imię i wykonał w tył zwrot. Odepchnęłam suszarkę i wyprysnęłam z siedzenia jak wystrzelona z procy.

Znaleźliśmy się na dole sklepu. Stuart miał nade mną przewagę i pierwszy dopadł ruchomym schodów. Przepychał się między ludźmi i przeproszał ich grzecznie. Robił urzekające wrażenie, łobuz.

Wskoczyłam na schody i łokciami utorowałam sobie drogę.

Natknęłam się na kobietę z wielkimi siatkami zakupów.

- Przepraszam - powiedziałam. - Muszę przejść.

- Mam prawo stać na schodach - usłyszałam w odpowiedzi. - Co, cały sklep jest dla ciebie?

- Gonię tamtego chłopaka!

- Wariatka, słowo daję. Ratunku! - wrzasnęła kobieta. - Tu jest wariatka! Ratunku!

Stuart zniknął ze schodów i pobiegł w głąb sklepu. Wstrzymałam oddech i zaczęłam podskakiwać w miejscu, żeby nie stracić go z oczu. Po dwudziestu sekundach i mnie udało się rozstać ze schodami. Pełnym galopem popędziłam za nim; folia trzepotała mi wokół uszu, a brązowy fartuszek z salonu fryzjerskiego przekręcił się i furkotał za mną jak skrzydełka.

Nagle Stuart zniknął w tłumie. Zwolniłam i zaczęłam przyglądać się uważnie stoiskom, które mijałam. Przebiegłam truchtem przez Macy's.

Szaliki, sportowe ubrania, kosmetyki, buty. Dotarłam do wyjścia i wyjrzałam na parking. Ani śladu Stuarta.

Przypadkiem wpadło mi w oko moje odbicie w lustrze, co sprawiło, że zatrzymałam się jak rażona gromem. Wyglądałam jak Aluminiowa Kobieta w starciu z Domem Handlowym. Gdybym spotkała kogoś znajomego, chyba padłabym na miejscu zimnym trupem.

Żeby wrócić, musiałam przejść przez całe Macy's, koło stoiska z kosmetykami, gdzie mogłam znaleźć Joyce Bamhardt, królową elegancji.

A potem czekały mnie ruchome schody i główny korytarz. Nie były to miejsca, w których miałam ochotę pokazać się w takim stanie.

W salonie fryzjerskim zostawiłam torbę, więc kupno chustki na głowę spadało. Mogłabym odwinąć sobie te aluminiowe strzępki z włosów, ale zapłaciłam sześćdziesiąt dolców, żeby mi je zawinięto.

Jeszcze raz spojrzałam w lustro. No dobrze, byłam u fryzjera.

Właśnie robię sobie pasemka. I co z tego? Uniosłam dumnie głowę.

Tysiące razy widziałam ten numer w wykonaniu matki i babci. Nie ma lepszej obrony niż stalowooki atak.

Rześko pomaszero wałam przed siebie i weszłam na schody ruchome. Kilka osób wytrzeszczyło na mnie oczy, ale większość konsekwentnie nie patrzyła na nikogo.

Pan Alexander krążył jak lew przed wejściem do salonu i mamrotał

coś pod nosem. Zobaczył mnie i przewrócił oczami.

Pan Alexander zawsze odziewa się w czerń. Długie włosy ma zaczesane gładko do tyłu brylantyną. Nosi buty z czarnej patentowanej skóry. W uszach złote kolczyki w kształcie krzyżyków. Kiedy dał sobie spokój z przewracaniem oczami, zacisnął usta.

- Gdzie pani poszła? - spytał.

- Ściagałam zbiega - oznajmiłam. - Na nieszczęście go zgubiłam. Pan Alexander zdjął mi z włosów jeden srebrny skrawek.

- Na nieszczęście to należało zmyć dziesięć minut temu! - Skinął na jednego z podwładnych. - Panna Plum do mycia. - Zdjął jeszcze jeden skrawek i przewrócił oczami. - Yyy - jęknął z odrazą.

- Co?

- Ja za to nie odpowiadam.

- Za co? Za co?

Pan Alexander znów skinął dłonią.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział kojąco. - Może nieco bardziej efektownie niż pierwotnie zamierzałem.

Efektownie to chyba dobrze, nie? Chwyciłam się tej myśli pazurami i nie dopuszczałam do siebie

żadnej innej przez całe mycie i czesanie.

- Wszystko będzie dobrze, tylko trzeba przywyknąć - oznajmił pan Alexander zza chmury lakieru.

Spojrzałam spode łba w lustro. Moje włosy były pomarańczowe.

Zaraz, bez paniki. To na pewno przez światło.

- Wyglądają, jakby były pomarańczowe - odezwałam się podejrzliwie.

- Kalifornijski zachód słońca - powiedział pan Alexander. Wstałam i podeszłam do lustra, żeby przyrzeć się im z bliska.

- Mam pomarańczowe włosy - powiedziałam z rosnącą paniką. -

Jezus Maria. POMARAŃCZOWE!

Kiedy wyszłam z domu handlowego, dochodziła piąta. Była sobota i matka spodziewała się mnie o szóstej na kolacji. Stypa byłaby znacznie odpowiedniejsza. Niezameżna córka, tak żałosna, że nawet w sobotę wieczorem nie ma randki, zjawia się na wołanie dwukilowej pieczeni.

Zaparkowałam buicka przed domem i spojrzałam we wsteczne lusterko na swoje włosy. W ciemnościach niewiele było widać. Pan Alexander zapewnił mnie, że wyglądam świetnie. Wszyscy w salonie go poparli. Naprawdę świetnie, powiedzieli. Ktoś zaproponował, żebym zrobiła sobie mocniejszy makijaż, skoro moje włosy są „poprawione”.

Zrozumiałam, że w porównaniu z tą neonową fryzurą twarz wygląda blado. Matka otworzyła drzwi z miną wyrażającą milczącą rezygnację.

Babcia wyglądała jej zza pleców. Stała na palcach, żeby mnie lepiej widzieć.

- Ha! - zakrzyknęła. - Masz pomarańczowe włosy! I wyglądają, jakby było ich o wiele więcej. Całkiem jak taka peruka, którą noszą clowni. Jak to zrobiłaś?

Poklepałam się po fryzurze.

- Chciałam zrobić sobie pasemka, ale płyn leżał za długo, więc włosy stały się napuszone.

I pomarańczowe.

- Ja też chcę takie - oznajmiła babcia. - Chciałabym mieć takie napuszone pomarańczowe włosy. Od razu wszystko dokoła robi się jaśniejsze. - Wystawiła głowę na zewnątrz i rozejrzała się po okolicy.

-

Przyprowadziłaś kogoś? Jakiegoś nowego chłopca? Ten ostatni mi się podobał. Przystojny łobuz.

- Przykro mi, dziś jestem tylko ja.

- Możemy do niego zadzwonić - zaproponowała babcia ochoczo. -

Mamy więcej kartofli. Zawsze miło popatrzeć na takiego ogiera.

Ojciec stanął w korytarzu, zgarbiony, z programem telewizyjnym z dłoni.

- Ohyda - oznajmił. - Mało, że muszę oglądać te świństwa w telewizji, to jeszcze we własnym domu mam staruchę, która gędzi o ogierach.

Babcia spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

- Kogo nazywasz staruchą?

- Ciebie! - wyjaśnił jej ojciec. - Ciebie nazywam staruchą. Nie wiedziałabyś, co zrobić z ogierem nawet, gdybyś się o niego potknęła.

- Jestem stara, ale nie martwa - oznajmiła babcia. - I chyba bym wiedziała, co się robi z ogierem. Może powinnam sobie znaleźć własnego ogiera.

Ojciec wyglądał, jakby miał z wymiotować.

- Jezu - powiedział.

- Może zapiszę się do biura matrymonialnego - ciągnęła babcia. -

Mogłabym nawet znowu wyjść za mąż.

Ojciec zastrzygł uszami. Nie odezwał się ani słowem, ale wyraźnie było widać, co myśli. Babcia Mazurowa wyjdzie za mąż i zniknie z jego domu. Czy to możliwe? Czy można liczyć na tyle szczęścia?

Powiesiłam płaszcz w szafie w przedpokoju i poszłam za matką do kuchni. Na stole stał gotowy ryżowy pudding. Ziemniaki były już zgniecione i podgrzewały się na kuchence w garnku z przykrywką.

- Dostałam cynk, że wujek Mo wychodził z kamienicy na Montgomery. Matka wytarła ręce w fartuch.

- Tej obok Kościoła Wolności?

- Aha. Znasz kogoś, kto tam mieszka?

- Nie. Margaret Laskey chciała tam kiedyś wynająć mieszkanie, ale powiedziała, że woda nie dochodzi na górne piętra.

- A kościół? Chodzi do niego ktoś znajomy?

- Czytuję o nim tylko w gazetach.

- Słyszałam, że wielbny Bill jest fajnym gościem - wtrąciła babcia. -

Dziewczyny w salonie piękności niedawno o nim mówiły i powiedziały, że to on wymyślił ten kościół. A potem Louise Buzick powiedziała, że jej syn Mickey znał kogoś, kto raz był w tym kościele i powiedział, że wielbny Bill to prawdziwy zaklinacz węży.

Pomyślałam, że to dobre określenie wielbnego Billa.

Przez całą kolację trudno mi było usiedzieć w miejscu; nie potrafiłam przestać myśleć o Mo. Właściwie nie spodziewałam się, że Larkin jest właściwym tropem, ale uważałam, że Mo naprawdę był na Montgomery. Może wpadał tam czasem na darmowe jedzenie.

W połowie puddingu nie wytrzymałam i wstałam od stołu, żeby przesłuchać moją sekretarkę.

Pierwsza wiadomość była od Morellego. Chciał mi powiedzieć coś ciekawego, więc wpadnie do mnie dziś wieczorem. To zabrzmiało zachęcająco.

Druga wiadomość wyglądała znaczenie bardziej tajemniczo.

- Mo będzie dziś w sklepie - powiedział dziewczęcy głos. Nie przypominał głosu Gillian, ale może to jakaś jej koleżanka. A może ktoś inny. Rozdałam mnóstwo wizytówek.

Zadzwoniłam do Rangera i zostawiłam prośbę, żeby natychmiast oddzwonił.

- Muszę lecieć - powiedziałam do matki.

- Tak szybko? Ledwie weszłaś.

- Mam robotę.

- Jaką robotę? Chyba nie będziesz się znów włóczyć za przestępcami, co?

- Dostałam cynk, który muszę sprawdzić.

- Jest ciemno! Nie lubię, kiedy chodzisz w nocy po zakazanych spelunkach.

- Nie wybieram się do żadnej spelunki. Matka spojrzała na ojca.

- Idź z nią - rozkazała.

- Nie trzeba - przestraszyłam się. - Umiem o siebie zadbać.

- Nie umiesz - powiedziała matka. - Ludzie dają ci po głowie i strzelają do ciebie. Spójrz na siebie! Zrobili ci pomarańczowe włosy! -

Przyłożyła rękę do serca i zamknęła oczy. - Przez ciebie dostanę zawału -

zagroziła i znów na mnie spojrzała. - Poczekaj, to dam ci coś do jedzenia.

- Ale nie za dużo. Przechodzę na dietę. Matka uderzyła się w czoło.

- Dieta! Coś takiego. Jesteś chuda jak deska! Nie musisz się odchudzać. Jak masz być zdrowa, skoro nie chcesz jeść?

Podreptałam za nią do kuchni i przyglądałam się, jak pakuje do torby mięso, kartofle, sół sosu, połowę zawartości rondla z zielonym groszkiem oraz biszkopt. No dobrze, zacznę się odchudzać od poniedziałku.

- Proszę - powiedziała matka wręczając mi torbę. - Frank, jesteś gotowy? Stephanie wychodzi.

Ojciec pojawił się w drzwiach kuchni.

- Co?

Matka spojrzała na niego wzrokiem męczennicy.

- Ty mnie w ogóle nie słuchasz.

- Zawsze cię słucham. O czym mówiłaś?

- Stephanie wychodzi, żeby ścigać przestępców. Powinieneś iść razem z nią.

Złapałam torbę z jedzeniem i pobiegłam do drzwi. Po drodze zdarłam z wieszaka płaszczyznę.

- Przysięgam, że nie zrobię nic niebezpiecznego - powiedziałam. -

Będę absolutnie bezpieczna.

Wyszłam i pospiesznie wsiadłam do buicka. Obejrzałam się. Matka i babka stały w drzwiach z rękami założonymi na piersi i poważnymi minami. Nie uwierzyły mi. Ojciec stał za ich plecami, wyglądając zza głowy babci.

- Dobrze wygląda ten samochód - powiedział. - Jak się sprawuje?

Sprawdzasz go? Słyszysz jakieś piknięcia?

- Żadnych piknięć! - odkrzyknęłam.

I czym prędzej pojechałam do sklepu Mo. Powiedziałam sobie, że tym razem będę mądrzejsza. Nie dam się znokautować ani oszukać. Nie pozwolę, żeby Mo przestraszył mnie większą puszką pieprzu w aerozolu.

Jak tylko go zobaczę, od razu zaprawię go w łeb. Bez litości.

Zatrzymałam samochód naprzeciw sklepu i wpatrzyłam się w jego mroczne okna. Żadnych świateł. Żadnego ruchu. Ruszyłam i okrążyłam dom wypatrując BMW Rangera. Zajrzałam do garażu na tyłach

sklepu.

Pusty. Wróciłam na Ferris. Wciąż ani śladu życia. Zaparkowałam o jedną przecznicę od King. Może znowu powinnam zadzwonić do Rangera.

Sięgnęłam po torebkę. Nie znalazłam jej. Zamknęłam oczy. Nie do wiary.

Podczas pospiesznej rejterady z domu zapomniałam zabrać torebkę. Nie szkodzi. Zaraz po nią wrócę. Skręciłam w Ferris. Po raz ostatni spojrzałam w okna sklepu. Ujrzałam jakiś cień przemykający na tyły sklepu.

- Cholera!

Zatrzymałam buicka o dwa domy dalej i wyskoczyłam na dwór.

Zapomniałam z domu torby pełnej takich gadżetów jak pieprz w sprayu i kajdanki, ale nie zamierzałam z tego powodu tracić okazji. Tak naprawdę wcale nie chciałam krzywdzić Mo. Chciałam z nim porozmawiać.

Poprosić o wyjaśnienia. Przemówić mu do rozumu. Skłonić do dobrowolnego zgłoszenia się na policję.

Stephanie Plum, wzór rozsądku. Uwierzy we wszystko, w co jej wygodnie uwierzyć. Ukryłam się w cieniu i zaczęłam obserwować sklep.

Serce ścisnęło mi się, kiedy w środku zamigotało jakieś światło. Ktoś zapalił latarkę i natychmiast ją zgasił. Informacja na automatycznej sekretarce była prawdziwa. Mo przyszedł do sklepu.

Rozdział 10

Sprintem przebiegłam przez ulicę i ukryłam się w mroku.

Przywarłam do ceglanej ściany i zaczęłam pełznąć w stronę tylnego wyjścia. Zastanawiałam się, czy nie zabarykadować tylnych drzwi. Łatwiej przyjdzie mi złapać Mo, jeśli zostanie mu tylko jedna droga ucieczki.

Wzięłam głęboki wdech i wyjrzałam zza rogu. Tyłne drzwi stały otworem. Jakoś nie wydało mi się to dobrym znakiem. Gdyby Mo przyszedł do sklepu, nie czułby się bezpiecznie. Coś mi mówiło, że sytuacja się powtarza.

Powolutku zbliżyłam się do drzwi i stanęłam nasłuchując. Trudno coś usłyszeć, kiedy serce wali jak dzwon, ale wydawało mi się, że wokół

panuje absolutna cisza. Nikt nie spacerował. Nikt nie jeździł

samochodem. Nikt nie trzaskał drzwiami.

Znowu odetchnęłam i zajrzałam w otwarte drzwi. Z głębi mrocznego sklepu dobiegł mnie odgłos czyichś cichych kroków i omal nie udławiłam się ze zdenerwowania. Moją pierwszą myślą było: uciekać.

Drugą - krzyżeć o pomoc. Nie zrealizowałam żadnego z tych zamierzeń, ponieważ do ucha przywarła mi lufa pistoletu.

- Bądź miła i wejdź cicho do sklepu.

Był to ten sam maty chudy facecik, który proponował mi łapówkę.

Nie widziałam go, ale rozpoznałam głos. Niski i chrapliwy. Głos palacza.

Akcent z północnego Jersey. Newark, Jersey City, Elizabeth.

- Nie - oznajmiłam. - Nie wejdę.

- Pomóżcie - odezwał się facecik. - Panna Plum nie chce współpracować.

Z mroku wyłonił się drugi. Miał na sobie maskę narciarską i kombinezon. Był wyższy i potężniejszy. Potrząsał puszką z pieprzem w aerozolu. Demonstrował, że wie, jak się z nią obchodzić.

Otworzyłam usta do krzyku i dostałam chmurą pieprzu.

Odetchnęłam nią i poczułam potworne palenie w gardle. Upadłam na kolana i zaczęłam się dławić, oślepią, nieprzytomna z bólu, który wygryzał mi oczy.

Jakieś ręce chwyciły mnie za kurtkę i powlokły po schodach do sklepu. Rzucili mnie na linoleum, oślepią i kaszlącą.

Ręce ciągle mnie dotykały; zdarli ze mnie kurtkę i zrobili z niej rodzaj ka a

□ na bezpieczeństwa z rękawami związanymi na plecach.

Wykręcili mi ręce do tyłu i przy okazji rozdarli bluzkę. Spazmatycznie łapałam powietrze i robiłam, co mogłam, żeby opanować strach. To minie, mówiłam sobie. Widziałam już ludzi potraktowanych takim sprayem. To minie. Nie panikuj.

Mężczyźni odsunęli się. Dali mi czas, żebym przyszła do siebie.

Zamrugałam powiekami w nadziei, że coś zobaczę. W mroku majaczyły trzy cienie. Przyjęłam, że wszyscy są ubrani w maski narciarskie i kombinezony.

Jeden z nich zaświecił mi latarką w oczy.

- I co, już nie jesteś taką dzielna?

Chciałam wstać, ale udało mi się tylko podnieść na czworaki. Z nosa mi ciekło, z ust kapłała ślina, a z oczu lały się strumienie łez. Nadal nie mogłam zaczerpnąć oddechu, ale panika już mnie opuszczała.

- I na co ci to? - spytał mnie Jersey City. - Chcieliśmy cię ostrzec.

Chcieliśmy ci wynagrodzić straty. Chcemy zrobić dobry uczynek, a ty nam uprzykrzasz życie.

- To mój zawód - wychrypiałam.

- Jasne. Wykonuj go gdzieś indziej.

W ciemnościach rozbłysła zapalka. Jersey City zapalił papierosa.

Głęboko zaciągnął się dymem i wypuścił go nosem. Ciągle trwałam na czworakach, a mężczyzna schylił się i przytknął papieros do grzbietu mojej dłoni. Zawylałam i wyszarpnęłam rękę.

- To na początek - powiadomił mnie Jersey City. - Zaraz cię przypalimy w znacznie delikatniejszych miejscach. A ty nikomu o tym nie powiesz. I nie będziesz już śledzić Mo. A jeśli to zrobisz... przyjdziemy i znowu się tobą zajmiemy. I może nawet cię zabijemy.

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi i na chodniku za sklepem rozległy się kroki. Wszyscy znieruchomieliśmy i zaczęliśmy nasłuchiwać. A potem drzwi sklepu otworzyły się szeroko i świdrujący głos spytał:

- Co się tam dzieje?

Pani Steeger. W każdej innej sytuacji wezwałaby policję. Ale dziś postanowiła sama prowadzić dochodzenie. Ma się to szczęście.

- Niech pani ucieka! - wrzasnęłam. - Niech pani zadzwoni na policję!

- Stephanie Plum! - powiedziała pani Steeger. - Mogłam się domyślić. Wychodź w tej chwili!

Na podwórku za sklepem Mo pojawił się promień światła.

- Kto tam? - zawołał nowy głos. - Pani Steeger? Czy to pani stoi na podwórku Mo?

Dorothy Rostowski.

Przy krawężniku zahamował samochód. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i wysiadł z nich mężczyzna.

- Cholera - syknął Jersey City. - Zmywamy się. Przykucnął przy mnie i pochylił się blisko mojej twarzy.

- Lepiej, żebyś zmańdrzała - powiedział. - Bo następnym razem nikt cię nie uratuje.

James Bond na pewno od razu wymyśliłby jakąś pogardliwą odpowiedź. Indiana Jones parsknąłby śmiechem i rzucił dowcipną ripostę. Jedyne, co przyszło mi do głowy, brzmiało:

- Ach, tak?

Usłyszałam tupot i przerażone okrzyki Dorothy i pani Steeger.

Dźwignęłam się do pozycji stojącej i oparłam o ladę. Ociekałam potem, dygotałam, a z nosa ciągle mi ciekło. Wytarłam go rękawem i zdałam sobie sprawę, że mam rozdartą bluzkę i rozpięte spodnie.

Wciągnęłam duży haust powietrza i zacisnęłam zęby.

- Cholera - mruknęłam.

Jeszcze jeden wdech. No, Stephanie, weź się w garść. Ubierz się i wyjdź sprawdzić, co się dzieje z Dorothy i panią Steeger.

Szarpnęłam drżącą ręką za zamek. Oczy nadal mi łzawiły, ślina napływała do ust i nie potrafiłam sobie poradzić z suwakiem.

Wybuchnęłam płaczem i jeszcze raz gwałtownie wytarłam nos rękawem.

Przytrzymałam koszulę jedną ręką i wyszłam chwiejnie na dwór.

Dorothy stała na podwórku z rękami mocno splecionymi na piersi w geście obrony. Pani Steeger siedziała na ziemi. Jakiś mężczyzna kuczał

przy niej i coś mówił. Pomógł jej wstać i odwrócił się w moją stronę akurat, kiedy pojawiłam się w drzwiach. Morelli. Kto by pomyślał.

Uniósł brwi na mój widok.

- Nie teraz - warknęłam.

Cofnęłam się i weszłam do łazienki. Włączyłam światło i zamknęłam drzwi na klucz. Przyjrzałam się sobie w brudnym lustrze nad umywalką. Niezbyt zachwycający widok. Wydmuchałam nos w połowę rolki papieru toaletowego. Opłukałam twarz i dłoń i zapięłam koszulę.

Brakowało dwóch guzików, ale nie obrażałam moralności.

Odetchnęłam parę razy, usiłując się opanować. Znowu wytarłam nos. Jeszcze raz na siebie spojrzałam. Nie tak źle, oprócz tego, że moje oczy były zbliżone kolorem do pomidorów, a oparzenie nabrało wyglądu pęcherza.

Kiedy wreszcie otworzyłam drzwi, w sklepie paliło się światło, a Morelli czekał za kontuarem. Usiadłam przed nim, oparłam się na łokciach i złożyłam ręce.

Morelli postawił przede mną lody z syropem, orzechami i czekoladą i nałożył na nie obfitą porcję bitej śmietany. Podał mi łyżkę.

- Pomyślałem, że to ci pomoże.

- Nie zaszkodzi - powiedziałam i zagryzłam wargę, żeby się nie rozpłakać. - Jak się ma pani Steeger?

- Nic jej nie jest. Odepchnęli ją i uderzyła się w tyłek.

- Kurczę, zawsze chciałam to zrobić. Przyjrzał mi się dokładnie.

- Fajne masz włosy - zauważył. - Eksperymentujesz?

Rzuciłam w niego łyżką bitej śmietany, ale nie trafiłam i biały kleks ześliznął się po ścianie.

Morelli nałożył sobie porcję lodów i usiadł obok mnie. Zaczęliśmy jeść w milczeniu, a kiedy skończyliśmy, nadal nie odzywaliśmy się do siebie.

- No - powiedział w końcu Morelli. - To porozmawiajmy.

Opowiedziałam mu o wiadomości na sekretarce, napadzie i próbie przekupstwa.

- Opisz ich.

- Zawsze mają na sobie maski narciarskie i kombinezony i ciągle pojawiają się, jak jest ciemno, więc nie mogę się im dobrze przyjrzeć.

Najgorsze jest to, że to chyba normalni ludzie. Tak, jakby tu mieszkali i chcieli bronić Mo, ale trochę przesadzili. Jak ci, co linczowali złodziei. -

Spuściłam wzrok na rękę. - Przypalali mnie papierosem.

Na policzku Morellego zadrgał mięsień.

- Coś jeszcze?

- Oprócz kombinezonów robili dobre wrażenie. Obrączki na palcach i ładne sportowe buty. Ten mały chudy to chyba ich szef.

- Jak bardzo jest mały?

- Jakieś metr siedemdziesiąt. Ma taki głos, jakby palił papierosy.

Nazwałam go Jersey City, bo mówi z akcentem z Jersey City. Dwaj pozostali są więksi i silniejsi.

Morelli położył dłoń na mojej ręce i posiedzieliśmy chwilę w milczeniu.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - spytałam.

- Przesłuchałem twoją sekretarkę.

- Znasz kod?

- No... tak.

- Często to robisz? Przesłuchujesz moje wiadomości?

- Nie martw się - pocieszył mnie Morelli. - Nie są ciekawe.

- Świnia.

- Tak, już mi to mówiłaś.

Zebrałam łyżeczką resztki czekolady z talerzyka.

- W jakiej sprawie chciałeś się ze mną spotkać?

- Mamy raport balistyczny w sprawie Leroy'a Watkinsa. Zdaje się, że zabito go tą samą bronią, co Camerona Browna i RONALDA ANDERSA.

Przestałam skrobać talerzyk i spojrzałam na niego.

- O kurczę.

Morelli pokiwał głową.

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem. Poprawiłam się na stołku.

- Wydaje mi się, czy jakoś tu ciepło?

- Ciepło. Mo pewnie włączył ogrzewanie podczas ostatniej wizyty.

- I nie pachnie zbyt pięknie.

- Nie chciałem o tym wspominać, bo myślałem, że może to ty.

Powąchałam się.

- Nie, to nie ja. - Powąchałam Morellego. - Ty też nie.

Morelli zeskoczył ze stołka i ruszył na obchód stołu. Wyszedł na korytarz i tu go zatrzymało.

- Tutaj czuć bardzo mocno. - Otworzył drzwi do piwnicy. - Oho.

Teraz i ja zeskoczyłam na podłogę.

- Co, co?

- Chyba znam ten smród.

- To paw?

- Tak - poświadczył Morelli. - Między innymi. Włączył światło w piwnicy.

Stałam za nim i nagle ucieszyłam się, że ciągle mam zatknięty nos.

- Ktoś powinien zejść na dół i sprawdzić, co to jest. Morelli miał już broń w pogotowiu.

- Zostań tutaj - rozkazał.

Co oczywiście miało taki skutek, że poszłam za nim.

Razem zeszliśmy po schodach i jednocześnie uznaliśmy, że piwnica nie przedstawia sobą niebezpieczeństwa. Nie wydać było żadnych bandytów.

- Nie ma podłogi, tylko ziemia - zauważyłam. Morelli schował broń.

- Tak jest w wielu starych piwnicach.

Na wieszakach wisiało parę zimowych płaszczy. Torba soli do posypywania śniegu, masywne łopaty o długich trzonkach oraz motyki stojące rzędkiem pod ścianą. W piecu centralnego ogrzewania szumiało.

Najwięcej miejsca zajmowały puste tekturowe pudełka. Zapach mokrej tektury mieszał się z jakąś inną wonią, znacznie bardziej przykrą.

Morelli odgarnął pudełka na bok. Klepisko pod nimi nosiło ślady niedawnego kopania. Morelli zaczął pracować bardziej metodycznie.

Odsuwał pudła czubkiem buta, aż odkrył cały spłachetek świeżo poruszonej ziemi, spod której wyglądał czarny plastikowy worek na śmieci.

- Ludzie czasami dziwaczej na starość - zauważyłam. - Nie chcą płacić za wywóz śmieci.

Morelli wyjął z kieszeni scyzoryk i odsłonił większy kawałek plastiku. Rozciął go i odetchnął głęboko.

- Co to? - spytałam. Jakbym nie wiedziała.

- Nie są to cukierki. - Odwrócił się i popchnął mnie w stronę schodów. - Już dość zobaczyłem. Zostawmy to ekspertom. Nie chcę ruszać niczego więcej.

Z samochodu zadzwonił na posterunek.

- Pewnie nie chcesz wrócić na noc do rodziców?

- Pewnie nie.

- Wolałbym cię nie zostawiać samej w mieszkaniu. Ja też.

- Nic mi nie będzie.

Za samochodem Morellego zatrzymał się policyjny radiowóz.

Wysiadł z niego Eddie Gazarra i podszedł do nas. Wysiedliśmy i razem spojrzeliśmy na sklep.

- Wyjmij żółtą taśmę - powiedział Morelli.

- Cholera - mruknął Gazarra. - Wcale mi się to nie podoba.

Nikt nie był zachwycony. Zakopywanie zwłok w piwnicy sklepu ze słodyczami nie świadczy o nim zbyt dobrze. Pojawili się policjanci z zestawem narzędzi i kamerą. Mieszkańcy dzielnicy zaczęli wychodzić na ganki i przypatrywać się nam z założonymi rękami. Powoli tłum gęstniał.

Za żółtą taśmą stanął jakiś reporter.

Dwie godziny później ciągle siedziałam w samochodzie Morellego, kiedy z piwnicy wyniesiono pierwszą torbę ze zwłokami. Reprezentacja mediów powiększyła się o operatora i pół tuzina dziennikarzy i fotografów. Z piwnicy wyniesiono trzy kolejne worki z ciałami.

Fotoreporterzy zaczęli się tłoczyć, żeby zrobić zdjęcia. Sąsiedzi porzucili zacisze salonów i wylegli na ganki.

Przycupnęłam przy Morellim.

- To wszystko?

- Wszystko. Cztery ciała.

- I?

- I nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

- I tkwiące w kościach kule kalibru czterdzieści pięć?

Morelli obrzucił mnie nieruchomym spojrzeniem. Wystarczająca odpowiedź.

- Czy coś wskazuje na związek Mo z tym wszystkim? Kolejne nieruchome spojrzenie.

Wzrok Morellego spoczął na czymś za moim lewym ramieniem.

Odwróciłam się i spostrzegłam Rangera, stojącego o dwa kroki od nas.

- Hej - powiedział. - Co się dzieje? Morelli popatrzył na sklep.

- Ktoś zakopał czterech gości w piwnicy Mo. Ostatni był pochowany płytko.

I pewnie nie tak dawno, pomyślałam. Może tej nocy, kiedy Mo ukradł samochód Rangera i czuć go było potem i ziemią, i czymś jeszcze gorszym.

- Muszę spadać - oznajmił Morelli. - Mam robotę.

Ja też musiałam się zbierać. Czułam się jak przekłuty balon.

Wygrzebałam z kieszeni kluczyki i chusteczkę. Wydmuchałam nos po raz ostatni i powlokłam się do samochodu.

- Jak się czujesz? - spytałam Rangera w przelocie.

- Dobrze.

- Chcesz jutro pobiegać?

Uniósł jedną brew, ale powstrzymał się od pytań.

- Do zobaczenia o szóstej.

- W porządku.

Byłam w połowie drogi do domu, kiedy we wstecznym lusterku zobaczyłam światła samochodu. Skręciłam w Hamilton i spojrzałam jeszcze raz. Reflektory należały do czarnej toyoty. Trzy anteny. Morelli jechał za mną, żeby dopilnować, że nic mi nie grozi.

Pomachałam mu, a on zatrąbił klaksonem. Czasami Morelli potrafi być znośny. Przejechałam przez St. James i skręciłam w Dunworth.

Wjechałam na parking i znalazłam miejsce na środku. Morelli zaparkował

za mną.

- Dzięki - powiedziałam. Zamknęłam samochód podtrzymując torbę z jedzeniem.

Morelli także wysiadł i spojrzał na torbę.

- Chciałbym wejść z tobą.

- Znam takich jak ty - oznajmiłam. - Tylko jedno ci w głowie.

- Rozgryzłaś mnie.

- Żebyś wiedział. I wybij to sobie z głowy. Nie dostaniesz resztek z obiadu. Morelli chwycił mnie za kołnierz kurtki i przyciągnął do siebie.

- Słonko, gdybym naprawdę chciał tych resztek, za cholere byś ich przede mną nie obroniła.

- To obrzydliwe.

Uśmiechnął się, a jego zęby zaśniły bielą w śniadej twarzy z jednodniowym zarostem.

- Odprowadzę cię do drzwi. Odwróciłam się na pięcie.

- Piękne dzięki, sama potrafię o siebie zadbać.

Powiedziałam to z wielką godnością. I uraza, ponieważ Morelli miał

rację co do tych resztek.

Obserwował mnie, kiedy wchodziłam do budynku. Szklane drzwi zasunęły się za mną. Jeszcze raz pomachałam mu ręką. Odwzajemnił mój gest i wsiadł do samochodu.

Weszłam do windy, w której spotkałam się z panią Bestler.

- Jedziemy do góry - powiedziała. - Drugie piętro, bielizna i damskie torebki. Czasami pani Bestler dla zabicia nudy bawi się w windziarkę.

- Jadę na pierwsze - poinformowałam ją.

- Ach - ucieszyła się. - Świetny wybór. Lepsze sukienki i markowe buty. Wysiadłam na swoim piętrze, poczłapałam korytarzem, otworzyłam swoje drzwi i niemal przewróciłam się o własne nogi. Byłam wykończona.

Obeszłam całe mieszkanie, sprawdzając okna, drzwi, szafy i wszystkie ciemne kąty.

Rozebrałam się, ciuchy rzuciłam na stertę pośrodku podłogi, przylepiłam plaster na oparzenie i weszłam pod prysznic. Zniknij, przekłete wspomnienie. Kiedy byłam już różowa i czysta, runęłam na łóżko i zaczęłam sobie wyobrażać, że właśnie wróciłam z Disney Worldu.

Stephanie Plum, mistrzyni uniku. Po co męczyć się świadomością, że o mało co nie poddano mnie torturom, skoro mogę odsuwać tę wizję w nieskończoność? Kiedyś, gdy wspomnienie się zużyje, otrzepię je i wreszcie się mu przyjrzę. Oto podstawowa zasada higieny psychicznej według Stephanie Plum - zawsze unikać nieprzyjemności. Poza tym jutro może mnie przejechać ciężarówka i będę zwolniona z rozpamiętywania wspomnień o napadzie.

O wpół do szóstej obudził mnie dzwonek telefonu.

- Hej - odezwał się Ranger. - Naprawdę chcesz biegać?

- Tak. Spotkamy się na dole o szóstej.

Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby paru nieudaczników znęcało się nade mną. Kondycja nie

pomoże mi specjalnie w przypadku pieprzu w aerozolu, ale za to będę miała lepsze samopoczucie. Silna duchem i ciałem, oto moje motto.

Wciągnęłam ciepłe majtki i spodnie, zasznurowałam sportowe buty.

Dałam Rexowi świeżej wody i nasypałam mu do miseczki chrupek i rodzyneków. Przez piętnaście minut rozgrzewałam się, po czym zeszałam na dół.

Ranger czekał na mnie podskakując w miejscu. Zerknął na moje włosy.

- Milcz - warknęłam. - Ani słowa. Ranger uniósł dłoń w obronnym geście.

- Nie mój interes.

Ale kąciki ust mu zadrgały. Wzięłam się pod boki.

- Śmiejesz się ze mnie!

- Wyglądasz jak Ronald McDonald.

- Nie jest aż tak źle!

- Mam się zająć twoim fryzjerem?

- Nie! To nie jego wina.

W milczeniu ruszyliśmy naszą zwykłą trasą. W drodze powrotnej dodaliśmy sobie jeszcze jedno okrążenie, nie zwalniając kroku. Dla Rangera to nic trudnego. Dla mnie tragedia. Kiedy zatrzymaliśmy się przy moich drzwiach, zgięłam się w pół i przez dłuższy czas rzeziłam i chrypiałam. Bardzo się cieszyłam, że wybrałam się na ten trening. Jeszcze bardziej, że mam go już za sobą.

Jakiś samochód wjechał z wizgiem opon na parking. Ranger wystąpił przede mnie i wyciągnął broń. Samochód zatrzymał się, a w jego oknie pojawiła się głowa Luli.

- Widziałam go! - wrzasnęła. - Widziałam go! Widziałam go!

- Kogo?

- Starego Penisowego Nosa! Widziałam go! Mogłam go złapać, ale zawsze mi powtarzasz, że nie mam prawa nic zrobić, że nie mam uprawnień. No to zadzwoniłam do ciebie, ale nie było cię w domu. Więc przyjechałam. Gdzie ty się pętasz o szóstej rano?

- Kto to jest Stary Penisowy Nos? - chciał wiedzieć Ranger.

- Mo - wyjaśniłam. - Lula uważa, że ma nos podobny do penisu.

Ranger uśmiechnął się enigmatycznie.

- Gdzie go widziałaś?

- Na Szóstej, dokładnie przed moim domem. Zwykle nie wstaję tak wcześnie, ale mam pewne problemy żołądkowe. To chyba to burrito, które jadłam na kolację. No więc siedziałam sobie w łazience i wyglądałam przez okno, i zobaczyłam Mo, który wszedł do budynku po drugiej stronie ulicy.

- Jesteś pewna, że to on?

- Miałam bardzo dobry widok. Na ganku paliło się światło. Pewnie ktoś tam ma znajomości w elektrowni.

Ranger otworzył bronco.

- Jedziemy - zarządził.

- Ja też! - wrzasnęła Lula. - Zaczekajcie na mnie!

Wszyscy wpakowaliśmy się do bronco Rangera i ruszyliśmy w stronę Szóstej.

- Założę się, że Stary Penisowy Nos chce kogoś kropnąć - oznajmiła Lula. - Założę się, że już kogoś namierzył.

Opowiedziałam jej o czterech trupach, jakie znaleźliśmy w piwnicy Mo.

- Człowiek, który ma nos jak penis, jest zdolny do wszystkiego -
zawyrokowała.

- Takie sprawy robią z normalnych ludzi seryjnych morderców.

Pomyślałam, że istnieje duża szansa, iż Mo jest zamieszany w zamordowanie tych ludzi z piwnicy. Nie wydawało mi się, żeby jego nos miał z tym coś wspólnego. Przypomniałam sobie Camerona Browna, Leroy'a Watkina i Ronalda Andersa. Wszyscy martwi. Wszyscy sprzedawali narkotyki. A potem zastanowiłam się, czy ci z piwnicy także nie byli handlarzami narkotyków.

- Może Mo jest obrońcą moralności - powiedziałam. Coraz częściej słyszy się o takich ludziach. A mnie wydawało się, iż Mo mógł nie być osamotniony w swoim pragnieniu naprawy świata. Pewnie miał całą grupę pomocników w maskach narciarskich i kombinezonach, straszących każdego, kto wydawał się im zagrożeniem dla społeczeństwa.

- Obrońca moralności - powtórzyła Lula.

- To ktoś, kto bierze prawo we własne ręce - wyjaśniłam.

- Ha. Zdaje się, że wiem, co to znaczy. Chcesz powiedzieć, że Mo jest jak Zorro i Robin Hood. Tylko Stary Penisowy Nos wycina ludziom Z na koszulach. Stary Penisowy Nos rozmazuje człowiekowi

mózg po pokoju i w ten sposób broni sprawiedliwości.

- Zamilkła na chwilę, pogrążona w myślach. - Może Zorro też rozwalił parę głów, kto wie. W filmach nie pokazują wszystkiego.

Najpierw niszczył facetowi koszulę, a potem odcinał mu jaja. A może wycinał komuś Z na brzuchu i wszystkie flaki wypadały mu na podłogę, a on tak umierał jeszcze przez parę godzin.

Wyciągnęłam pistolet. Spojrzałam na Rangera, ale przebywał we własnym świecie. Przejechał między skrzyżowaniami z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nacisnąć hamulec, zatrzymać się, popatrzeć w obie strony. Nacisnąć gaz.

- No, co sądzicie? - dopytywała się Lula z tyłu. - Czy Zorro robił

takie rzeczy? Wypruwał flaki z ludzi?

Otworzyłam usta, ale nie wydobyłam z nich głosu.

Ranger skręcił w Main, a potem w Szóstą. W okolicy stały wyłącznie drewniane domy kryte dachówką, z gankami i chodnikami prowadzącymi na podwórze. Były wąskie i utrzymane w ciemnej kolorystyce - ponura mozaika czarnych, brązowych i rudych budynków. Niegdyś przeznaczone dla cudzoziemskich robotników, teraz stanowiły schronienie dla kiepsko sytuowanych mniejszości. Większość domów została przekształcona w pensjonaty i kamienice czynszowe.

- Kto mieszka w domu naprzeciwko ciebie? - odezwał się Ranger.

- Tacy jedni - odparła Lula. - Przychodzą i odchodzą. Na parterze mieszka Vanessa Long i nigdy nie wiadomo, czy jej dzieci będą u niej nocować. Prawie zawsze jest córka Tootie i jej troje dzieci. Czasami bywa u niej Harold. Naprzeciwko mieszka stara pani Clayton. Na pierwszym piętrze są trzy pokoje. Nie jestem pewna, kto je zajmuje. Vanessa wynajmuje je na tydzień. Kiedyś w jednym mieszkał Eari Bean, ale ostatnio go nie widuję.

Ranger zatrzymał samochód dwa domy przed budynkiem.

- A drugie piętro?

- Tam nie ma nic, tylko strych. Mieszka na nim szalony Jim Katts.

Podejrzewam, że Mo przyszedł do kogoś z pierwszego piętra. Tu nie mieszkają narkomani ani nikt taki, ale kiedy się wynajmuje pokoje na tydzień, nigdy nie wiadomo, kto w nich zamieszka.

Pewnie będziecie chcieli pogadać z Vanessa. Odbiera czynsz. Wie o wszystkim, co się dzieje w tym domu. Mieszka po lewej stronie od drzwi wejściowych.

Ranger omiół ulicę uważnym spojrzeniem.

- Mo przyjechał samochodem?

- Tym, który ci ukradł? Nie. Specjalnie się przyjrzałam, ale go nie zauważyłam. Nie widziałam żadnych obcych samochodów. Wszystkie, które tu stoją, należą do miejscowych.

- Ty zostajesz - rzucił jej Ranger. Skinął ku mnie niemal niedostrzegalnym ruchem głowy. - Ty idziesz ze mną.

Miał na sobie czarny dres z kapturem. O ile zauważyłam, w czasie naszego biegania nie uronił ani kropli potu. Za to ja zaczęłam się pocić już po dwustu pięćdziesięciu metrach. Miałam plamy potu na ubraniu, włosy przylgnęły mi do twarzy w mokrych pierścionkach, a nogi były jak z gumy. Wytoczyłam się z samochodu i zaczęłam podskakiwać w miejscu, żeby się rozgrzać.

- Porozmawiamy z Vanessa - oznajmił Ranger. - I trochę się rozejrzemy. Masz coś ze sobą?

Pokręciłam głową.

- Nie masz broni?

- Nie mam broni. Wszystko mam w torebce, a torebkę zostawiłam w domu rodziców.

Ranger spochmurniał.

- Czy broń jest nabita?

- Nie pamiętam.

- Twoja babcia będzie się bawić w Dzikie Zachód. Powystrzela oczka ze wszystkich ziemniaków.

Podreptałam za nim, zanotowawszy w pamięci, że muszę jak najszybciej odzyskać broń.

Drzwi do budynku stały otworem. Światło na ganku nadal się paliło.

Wewnątrz znajdował się mały korytarz. Dwoje drzwi prowadziło do dwóch mieszkań. Ranger zapukał do tych po lewej.

Spojrzałam na zegarek. Za kwadrans ósma.

- Wcześniej - zauważyłam niepewnie.

- Jest niedziela - powiedział Ranger. - Pewnie szykuje się do kościoła. Kobiety muszą mieć sporo czasu na zrobienie fryzury.

Drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwalał im łańcuch. W szparze ukazał się dwucentymetrowy fragment twarzy.

- Tak?

- Vanessa? - upewnił się Ranger.

- To ja. O co chodzi? Jeśli szukacie pokoju, to mamy komplet.

Ranger pokazał jej odznakę.

- Agenci firmy poręczycielskiej. - Jego głos brzmiał łagodnie i grzecznie. Z szacunkiem. - Szukamy mężczyzny znanego jako Moses Bedemier. Widziano go, jak dziś rano wchodził do tego budynku.

- Nie znam nikogo o takim nazwisku.

- Biały - dodał Ranger wyjaśniająco. - Sześćdziesiąt parę lat.

Łysiejący. Miał na sobie szary płaszcz. Prawdopodobnie przyszedł tu, żeby kupić narkotyki.

Drzwi zatrzasnęły się; po chwili usłyszeliśmy szczęk zdejmowanego łańcucha.

- Nie widziałam tu żadnego cholernego ćpuna, a gdybym go zobaczyła, wykopałabym na zbity pysk. W tym domu są dzieci. Nie wpuszczam tu takich łachmytów. Nie pozwalam wnosić narkotyków do tego domu.

- Czy możemy przeszukać mieszkania na górze? - spytał Ranger.

- Czy możecie? Psiakrew, nalegam, żebyście to zrobili. - Vanessa zniknęła w salonie i w chwilę potem wróciła z kompletem kluczy.

Była równie potężna jak Lula; miała na sobie podomkę w czerwone i żółte kwiaty, a włosy nawinięte na wałki. Była matką i babką, ale nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat. Może na trzydzieści pięć.

Zabębniła do pierwszych drzwi niczym bogini zemsty.

ŁUP, ŁUP, ŁUP!

Drzwi otworzyły się i przez szparę wyjrzał chudy facecik.

- He?

- Masz pan tu kogoś u siebie? - spytała Vanessa. Jednocześnie wsadziła głowę do mieszkania i sama się rozejrzała. - Odchodzą tu jakieś ciemne interesy?

- Nie, proszę pani. Na pewno nie. - Facecik pokręcił głową z przekonaniem.

- Hmm - mruknęła Vanessa i przeszła do drzwi numer dwa.

Znowu rozbrzmiało ŁUP, ŁUP, ŁUP.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich tłusty gość w szortach i podkoszulku.

- Cholery na was nie ma! - ryknął. - Spać nie można, sukinsyny!!!

Rozpoznał Yanesę i cofnął się o krok.

- O, przepraszam panią. Nie poznałem.

- Szukam jednego białego łobuza - oznajmiła Vanessa. Założone ręce, szczeka wysunięta w wyrazie oburzonej do żywego sprawiedliwości.

- Jest tutaj?

- Nie ma nikogo poza mną.

Wszyscy spojrzeliśmy na drzwi numer trzy.

Rozdział 11

Ranger nakazał gestem Vanessie, żeby odsunęła się na bok, zapukał

do drzwi i zczekał na odpowiedź. Po chwili zapukał znowu.

- Tutaj mieszka jedna pani - szepnęła Vanessa. - Wprowadziła się w zeszłym tygodniu. Nazywa się Gail. - Stała obok Rangera. - Gail? Tu Vanessa z dołu, kochanie. Otwórz.

Usłyszeliśmy zgrzyt odsuwanej zasuwki i przez uchylone drzwi wyjrzała młoda kobieta. Była straszliwie chuda, miała zaspane oczy i otwartą ranę w kąciку ust.

- Miałaś dziś gości? - spytała Vanessa.

Kobieta zawahała się na ułamek chwili. Prawdopodobnie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jakże znowu kłopoty stanęły u jej drzwi?

Vanessa spojrzała za jej plecy.

- Nie ma u ciebie nikogo, prawda? Gail potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie. I nikogo nie zapraszałam. Sam przyszedł. Słowo. Jakiś biały szaleniec, który szukał mojego faceta.

Vanessa uniosła brew z dezaprobatą.

- Odniosłam wrażenie, że mieszkasz sama.

- Mój facet odszedł ode mnie. Wyszłam z odwyku, a on mnie rzucił.

Powiedział, że niepokoi się o to, co się dzieje. - Z palca wskazującego i kciuka zrobiła pistolet. - No i nie ma go. Zniknął. Puf.

Ranger stanął za plecami Vanessy.

- Nazwisko? - spytał.

Gail przeniosła wzrok z Vanessy na niego. Znowu niezdecydowanie.

- NO? - poparła go Vanessa, tak głośno, że Gail podskoczyła.

- Elliot Harp - powiedziała szybko. - Wszyscy mówią na niego Harpun. Ale ja już nie jestem jego kobietą. Przysięgam na to. - Polizała ranę w kąciku ust. - Coś jeszcze?

- Nie - powiedział Ranger. - Przepraszamy za najście o tak wczesnej porze. Skinęła głową i bardzo cicho zamknęła drzwi. Klik. Zniknęła.

Ranger podziękował Vanessie. Powiedział, że jest jej bardzo wdzięczny za pomoc. Polecam się na przyszłość - odrzekła Vanessa. A jeśli będzie potrzebował pokoju albo w ogóle czegokolwiek...

CZEGOKOLWIEK... niech o niej pamięta. Ranger zapewnił, że nie można o niej zapomnieć i z tymi słowami opuściliśmy dom.

- Rany - odezwałam się, kiedy znaleźliśmy się już na ulicy. - Jakiś ty czarujący.

- W dodatku w dresie - powiedział. - Powinnaś zobaczyć, co się dzieje, jak mam na sobie skórę.

- No i? - rzuciła się na nas Lula. - Gdzie jest Stary Penisowy Nos?

- Nie wiemy - powiadomiłam ją. - Szukał Elliota Harpa, ale nie było go w domu.

- Elliot Harp to przykra figura - powiedziała Lula. - Szuja. Pracuje dla niego przynajmniej dziesięcioro dzieciaków.

- Słuchaj, ta twoja odznaka... - zaczęłam.

Ranger zaczął wycofywać samochód. Zerknął na mnie z ukosa.

- Chcesz taką?

- Przydałaby się.

Spojrzał we wsteczne lusterko na Lulę.

- Wiesz, gdzie mieszka Elliot?

- Na Stark, o ile mi wiadomo. Ma tam kobietę. Ćpunkę i prostytutkę.

- Gail?

- Aha.

- Właśnie z nią rozmawialiśmy. Powiedziała, że Harp ją rzucił.

Podobno nie wie, dokąd poszedł.

- Możliwe - przyznała Lula. - To się często zdarza.

- Jeśli Mo naprawdę chce znaleźć Elliota, gdzie poszuka go w następnej kolejności?

Ranger skręcił w Gainsborough i ruszył w stronę Miasteczka.

- Na ulicy. Poszuka go na rogu. Elliot jest przestraszony, ale musi zarabiać.

- Teraz nie ma go na ulicy - wtrąciła Lula. - Może koło jedenastej.

Na rogu jest zawsze ruch po kościele. Po kościele każdy szuka sobie panienki i działki.

Wróciłam do siebie, żeby zjeść śniadanie i zmienić ubranie. Lula poszła do apteki po węgiel w tabletkach. A Ranger ukrył się w swojej grocie, żeby pożywić się serkiem tofu i korą. Mieliśmy się spotkać o jedenastej.

Kiedy weszłam do domu, telefon dzwonił, a na sekretarce migało światełko. Cztery wiadomości.

- Gdzie ty chodzisz tak wcześnie rano? - spytała matka, kiedy podniosłam słuchawkę. - Dzwoniłam przed godziną i też cię nie było.

- Wyszłam pobiegać.

- Czytałaś gazetę?

- Nie.

- Znaleźli cztery trupy w piwnicy Mo! Cztery trupy. Wyobrażasz sobie?

- Muszę lecieć - powiedziałam. - Muszę kupić tę gazetę. Zadzwoń później.

- Zostawiłaś u nas torebkę.

- Wiem. Nie pozwól babci bawić się bronią.

- Babcia poszła do kościoła. Powiedziała, że musi się rozerwać.

Mówi, że chce znaleźć sobie faceta.

Skończyłam rozmowę i przesłuchałam sekretarkę. Matka, Mary Lou, Connie, Sue Ann Grebek. Wszystkie mówiły o artykule w gazecie.

Zadzwołam do pani Karwatt z naprzeciwka i spytałam, czy ma dzisiejszą gazetę. Tak - powiedziała. Czy wiem, że w piwnicy Mo znaleziono cztery trupy?

Trzy minuty później siedziałam w kuchni z gazetą pani Karwatt, a telefon znowu zadzwonił. Tym

razem Lula.

- Czytałaś? - wrzasnęła. - W gazecie piszą o Starym Penisowym Nosie! O tym, jak go zgarnęli za broń i jak zniknął, i że teraz jest podejrzany. I podobno te cztery trupy z jego piwnicy mają coś wspólnego z narkotykami. Ha! No pewnie, że tak!

Przeczytałam artykuł, nastawiłam wodę na kawę, wzięłam prysznic i po trzech kolejnych rozmowach wyłączyłam telefon. Miasteczko nie było tak poruszone od czasu, kiedy znaleziono Tony'ego Pulę, zwisającego z belki pod sufitem, ze spuszczoneymi spodniami i ręką zaciśniętą wokół

gigantycznego, rekordowego wzvodu. Kurczę, może nawet Mo narobił

więcej hałasu niż Tony P.

A najśmieszniejsze, że nagle to ja okazałam się bohaterką. Nikt już nie wstawiał smętnych kawałków o tym, jak to Mo nie skrzywdziłby nawet muchy. Jego sklep z cukierkami okazał się prawdziwą czerwoną oberżą.

- Jest nieźle - zwierzyłam się Rexowi.

Zasznurowałam buty, okręciłam szyję szalem i włożyłam czarną skórzaną kurtkę. Wskoczyłam do buicka i pojechałam do domu rodziców.

Kiedy weszłam, babcia Mazurowa właśnie zdejmowała płaszcz.

- Słyszałaś o tych trupach? - spytała na mój widok.

- To ja i Morelli je znaleźliśmy. Babcia zrobiła wielkie oczy.

- Bez żartów! Naprawdę tam byłaś, kiedy je wykopano? Pokażą cię w telewizji? Wyciągnęłam z szafy torebkę i sprawdziłam jej zawartość.

- Chyba nie.

- Kurczę - babcia była zawiedziona. - Szkoda, że mnie tam nie było.

- Co tam w kościele? - spytałam.

- Nuda. Strata czasu. Tylko kilku chłopaków. Żaden szal. Dziś wieczorem pójdę na bingo. Słyszałam, że można tam spotkać paru przystojniaków.

Ranger już czekał, kiedy wjechałam na parking w Woodley. Miał na sobie wojskowe spodnie i lotniczą kurtkę khaki.

- I co? - spytałam tytułem powitania.

- Dostałem cynk w sprawie mojego zbiega. Earl Forster. Okradł

monopolowy i strzelił sprzedawcy w stopę. Uciekł po wpłaceniu trzystu tysięcy dolarów kaucji. Właśnie dostałem wiadomość, że odwiedził swoją dziewczynę w Nowym Brunzswiku. Mam tam swojego człowieka, ale muszę dokonać aresztowania osobiście. Możesz sama zająć się Harpem?

- Pewnie. Lula go zna. Wie, gdzie go szukać.

- Nie pokazuj mu się - poradził Ranger. - Niech cię doprowadzi do Mo. Jeśli Mo i Harp nie wyjdą razem, niech Mo zabije Harpa, zanim wejdiesz do akcji. Uważamy, że Mo morduje handlarzy narkotyków.

Wiemy, że Harp zabija każdego... nawet kobietę.

Ciepła myśl na ten dzień.

- Jeśli uznasz, że możesz go aresztować, ale potrzebujesz pomocy, zadzwoń na komórkę albo pager.

- Uważaj na siebie - powiedziałam do tylnego zderzaka jego samochodu, kiedy odjeżdżał. Nie ma sensu mówić czegoś takiego samemu Rangerowi.

Dziesięć minut później Lula wpadła galopem na parking.

- Gdzie Ranger?

- Coś mu wypadło. Zostałyśmy same.

Skoro miałam prowadzić poważną obserwację, potrzebowałam dwóch samochodów lub jednej osoby pieszo jako wsparcie.

Podejrzewałam, że będziemy raczej jeździć i wypatrywać osoby, która się nie pokaże. A ponieważ nie miałam bladego pojęcia, jak wygląda Harp, zdecydowałam się pojechać z Lula.

Dzień był znowu szary i ponury. Zaczął siąpić kapuśniaczek.

Temperatura oscylowała wokół zera, więc nic nie zamarzało. Lula wyprowadziła firebirda z parkingu i pojechałyśmy na Stark Street.

Wypatrywałyśmy Batmobila, Elliota Harpa i w ogóle złoczyńców.

Przeczesaliśmy Stark, zajrzałyśmy na skraj dzielnicy handlowej i wróciłyśmy tą samą drogą. Przemierzyłyśmy centrum miasta i wjechałyśmy w King. Potem skręciłyśmy w Ferris, koło sklepu Mo. Był

opasany policyjną taśmą. Przejechałyśmy tą samą trasą jeszcze dwa razy.

Padało. Ulice świeciły pustkami.

- Zaraz umrę z głodu - oznajmiła Lula. - Muszę zjeść hamburgera. Z

frytkami. W oddali, przez ścianę deszczu, lśnił czerwono-żółty neon restauracji. Czułam, że przyciąga nas niczym ogromny magnes.

- Potrójny hamburger! - ryknęła Lula w okienko do sprzedawcy. - Z

bekonem, serem i specjalnym sosem. I duże frytki, i dużo tego keczupu w torebkach. I duży koktajl czekoladowy. - Odwróciła się do mnie. - Masz na coś ochotę?

- To samo..

- Dwa razy to samo! - wrzasnęła Lula. - Tylko żeby było dużo keczupu. Zabrałyśmy torby z jedzeniem i zaparkowałyśmy na Stark Street, gdzie mogłyśmy spokojnie prowadzić obserwację. Problem polegał

na tym, że nie miałyśmy co obserwować.

- Myślisz o nim czasem? - spytała Lula.

- O kim?

- O Rangerze.

- O czym mam myśleć?

- Zakładam się, że nic o nim nie wiesz. Nikt nic o nim nie wie.

Zakładam się, że nie wiesz nawet, gdzie mieszka.

- Znam jego adres.

- Ha! Tej pustej działki?

W milczeniu pociągnęłam łyk koktajlu, a Lula skończyła frytki.

- Uważam, że powinniśmy go śledzić - oznajmiła. - Kiedyś powinniśmy go wziąć za tyłek.

- Hmm - odparłam. Nie czułam się specjalnie na siłach, żeby wziąć Rangera za tyłek.

- Mogłybyśmy zacząć od jutra. Biegasz z nim codziennie?

- Nie, jeśli mam coś do powiedzenia.

- Jeśli będziesz z nim biegać jutro, zadzwoń do mnie. Przyda mi się mała przebieżka.

Po godzinie siedzenia miałam dość.

- To na nic - powiedziałam. - Przejedźmy się na Montgomery, tak dla draki. Lula ruszyła przez Stark, po raz ostatni przeczesła zaułki i przejechała przez całe miasto. Objechałyśmy Montgomery w obie

strony i zaparkowałyśmy w pobliżu kafejki Sala.

- Pewnie mają tam pączki - zauważyła Lula.

- A co z twoim żołądkiem? Może najpierw sprawdzisz, jak sobie poradzi z hamburgerem i frytkami?

- Pewnie masz rację, ale chce mi się pączka.

Musiałam przyznać, że w ten deszczowy dzień pączki wydawały się trafionym pomysłem.

- Kłopoty z żołądkiem mają także dobrą stronę - oznajmiła Lula. -

Te pączki pewnie nie zostaną we mnie na tyle długo, żeby mi od nich urósł tyłek.

- Trzeba skorzystać z okazji. Lula już trzymała w ręce torebkę.

- Dokładnie to sobie pomyślałam.

Poczekaliśmy w samochodzie i patrzyłam przez okno, jak Lula kupuje tuzin ciastek. Wręczyła mi torbę i dwa kubki z kawą, po czym usadowiła się za kierownicą. Wzięłam sobie kremówkę i pożarłam ją w dwóch kęsach. Lula poszła za moim przykładem.

Wzięła drugie ciastko.

- Widziałas się z Jackie? - spytałam. - Ciągłe chodzi do kliniki?

- Aha. Problem polega na tym, że można kogoś zmusić, żeby się leczył, ale nie żeby traktował to poważnie. Jackie nie wierzy w siebie na tyle, żeby wierzyć, że się jej uda.

- Może to się zmieni.

- Na to liczę. Mam szczęście, ponieważ urodziłam się jako optymistka. Nawet kiedy sytuacja nie wygląda za dobrze, nie pozwalam sobie na depresję. Zaczynam się ciskać i wrzeszczeć, i wkrótce jestem tak nabuzowana, że zapominam o strachu. Jackie nie miała tyle szczęścia.

Jest pesymistką. Wszystko tłumi w sobie.

- Nie zawsze - zauważyłam. - Nie była taka introwertyczna, jak przyszło do zrobienia sita z Camerona Browna.

Lula zajrzała do pudełka, rozważając kandydaturę pączka numer trzy.

- No. Tym razem się zabawiła. Wiem, że nie należy tak traktować zmarłych, ale muszę przyznać, że nawet mi się podobało, jak stary Cameron podskakiwał na ziemi. Jackie musi się nauczyć brać życie w swoje ręce. Obie nieźle oberwałyśmy. Tak to bywa, jak się nie ma taty, a mama ćpa. W domu zawsze jest pełno wujków, którzy dają sobie w żyłę. A jak się naćpają, to cię tłuką.

Problem w tym, że Jackie ciągle pozwala się tak traktować. Nie wie, że może się nie zgadzać. Staram się przemówić jej do rozsądku. Mówię, żeby brała przykład ze mnie. Mnie już nikt nigdy tak nie potraktuje. Mam szacunek dla siebie. Chcę coś zrobić z moim życiem. Właściwie kiedyś mogłabym pójść do college'u.

- Pewnie, że tak. Mnóstwo ludzi wraca do szkoły.

- No właśnie.

Wypiłam kawę i spojrzałam w zadeszczone okno. W strugach deszczu sunęły niewyraźne sylwetki samochodów. Zamazane kształty i plamy czerwonych tylnych świateł.

Z podziemnego garażu naprzeciwko wyjechał samochód. Był to brązowy sedan z czymś podłużnym i czarnym na dachu. Uchyliłam okna, żeby się lepiej przyjrzeć. Dywan, pomyślałam. Zrolowany i zapakowany w czarny worek.

Kierowca wystawił rękę przez okno i sprawdził, czy bagaż jest dobrze przymocowany. Drzwi otworzyły się i kierowca wysiadł.

Nagle poderwało mnie z miejsca.

- Spójrz na ten samochód z dywanem na dachu! - wrzasnęłam i potrząsnęłam Lulę za rękaw.

- Ten przy garażu? - Włączyła wycieraczki i pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć. - Niech mnie! To on! Stary Penisowy Nos!

Wyskoczyła z samochodu i pogalopowała na drugą stronę ulicy. W

jednej ręce trzymała na wpół zjedzonego pączka, deszcz siekł w nią ze wszystkich stron, a ona krzyczała:

- Stać! Stać, w imieniu prawa!

Mo otworzył usta. Jego mina wyrażała na poły niedowierzanie, na poły zgrozę. Zamknął usta, wskoczył do samochodu i ruszył z piskiem hamulców.

- Wracaj! - ryknęłam przez deszcz do Luli. - On ucieka! Lula zahamowała i zawróciła.

- Widziałaś? W ogóle nie zwrócił na mnie uwagi! Mogłam go zastrzelić. Mogłam zrobić z drania sitko!

Trudno to zrobić pączkiem, pomyślałam, ale rozsądnie nie odezwałam się ani słowem.

Lula wcisnęła gaz do dechy i ruszyła za Mo... przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

- Widzę go! - krzyknęła i grzmotnęła pięścią w kierownicę. - A to na dachu to nie jest dywan. To coś miękkiego, owiniętego torbami na śmieci.

Chyba nie muszę ci dalej tłumaczyć!

Podzielałam jej podejrzenia, a myśl, iż Elliot Harp udaje się właśnie na ostatnią przejażdżkę, wyzwoliła we mnie intensywną potrzebę jazdy w przeciwnym kierunku. Nie życzyłam sobie znaleźć kolejnego trupa. Moje zdrowie psychiczne stanęło pod znakiem zapytania. W kwestii stłumienia wspomnień o incydencie w sklepie udało mi się osiągnąć zadowalające wyniki. Ze wspomnieniami o zamordowanych nie szło mi tak dobrze.

Mo skręcił w Slater, a Lula powtórzyła ten sam manewr najeżdżając na chodnik. Chwyciłam się deski rozdzielczej.

- Nie tak szybko! Pozabijasz nas!

- Nie ma strachu. Wiem, co robię. Mam fantastyczny refleks. Jak kot.

Mo zbliżał się do Alei Wellsa, a ja dobrze wiedziałam, dokąd zmierza. Na autostradę. Nie ma sprawy. Nie może nam uciec ze względu na bezpieczeństwo tego, co ma na dachu. Choć teraz może już nie zależało mu na nim aż tak bardzo.

Lula nie odstępowała Mo nawet wtedy, kiedy wjechał pomiędzy samochody na autostradzie. Bez trudu znalazłyśmy się tuż za nim.

Ciemnozielona plastikowa płachta furkotała wściekle na wietrze.

Mo przytwierdził bagaż do dachu przewlekając przez okna sznurek do bielizny. Zmieniał pasy, a długi miękki przedmiot na dachu przesuwał się na boki pod więzami.

- Jak nie będzie uważał, to za chwilę zgubi tego palanta! -

powiedziała Lula. Grzmotnęła w klakson. - Ty, dziękuję! Zatrzymaj się!

Dodała gazu i lekko puknęła w tylny zderzak Mo.

Chwyciłam się kurczowo deski rozdzielczej i zaczęłam się cicho modlić. Święta Mario, Matko Boża... błagam, nie daj mi umrzeć z takimi włosami.

Lula jeszcze raz trzasnęła w zderzak Mo. Od impetu uderzenia poleciałam głową naprzód, a samochód Mo zachybotał się niebezpiecznie.

Sznurek puścił i jedna torba przeleciała z trzepotem nad naszym samochodem.

Lula znowu dodała gazu, ale zanim zdołała osiągnąć kontakt, drugi sznurek pękł, następny worek na śmieci odleciał w siną dal, a ciało zsunęło się z dachu i z głośnym plaśnięciem wylądowało na masce firebirda Luli.

- Yyyyyy!!! - zawyłyśmy unisono.

Zwłoki obróciły się na masce i przylgnęły do przedniej szyby jak rozgnieciony robak. Patrzyła na nas twarz z rozwartymi ustami i ślepyimi oczami.

- Mam trupa na szybie! - ryknęła Lula. - Nie mogę tak jechać! Nie mogę włączyć wycieraczek! Jak mam jechać, skoro martwy facet leży mi na wycieraczkach?

Samochód jechał slalomem między pasami, ciało przesuwano się po szybie, aż wreszcie zsunęło się z maski i wylądowało na drodze, twarzą do dołu. Lula wgniotła hamulec i zatrzymała się zygzakiem na poboczu.

Przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu, przyciskając ręce do piersi, niezdolne do wykrztuszenia jednego słowa. Potem odwróciłyśmy się i wyjrzałyśmy przez tylne okno.

- Kurde - powiedziała Lula. Uznałam, że to trafne podsumowanie.

Spojrzałyśmy na siebie i skrzywiłyśmy się jednocześnie. Lula cofnęła ostrożnie firebirda. Zatrzymała go o parę kroków od ciała.

Wysiadłyśmy i bardzo niechętnie podeszłyśmy bliżej.

- Przynajmniej jest ubrany - zauważyła Lula.

- To Harp?

- Tak sądzę. Ciężko powiedzieć, bo zamiast nosa ma wielką dziurę.

Kapuśniaczek przeszedł w gęsty deszcz. Odgarnęłam z oczu mokre włosy i spojrzałam na Lulę.

- Musimy zawiadomić policję.

- Aha. Dobry pomysł. Ty zawiadom policję, a ja nakryję zwłoki.

Mam w bagażniku koc.

Wróciłam biegiem do samochodu i odszukałam torebkę.

Pogrzebałam w niej, wyjęłam telefon komórkowy, otworzyłam go i wcisnęłam klawisz. Na ekraniku wyświetliła się wiadomość o wylądowanej baterii i wszystko diabli wzięli.

- Zdechł - zawiadomiłam Lulę. - Pewnie był włączony przez całą noc. Musimy kogoś zatrzymać.

Dziesięć samochodów minęło nas w pełnym pędzie, obryzgując wodą.

- Druga możliwość? - spytała Lula.

- Dojedziemy do najbliższego zjazdu z autostrady i zadzwonimy na policję.

- Zostawimy go samego?

- Jedna z nas powinna zostać.

- To będziesz ty - powiedziała Lula.

Przez jezdnię przewalił się z rykiem TIR, omal nie rozjeżdżając nas na marmoladę.

- Zapomnij - mruknęłam. Lula spojrzała zezem na Harpa.

- Mogłybyśmy go zabrać. Wsadzić do bagażnika. I odwieźć do domu pogrzebowego czy gdzieś. No wiesz, podrzucić go.

- To by było ingerowanie w miejsce zbrodni.

- Ingerowanie, nie wiesz czasem. Ten skurwysyn spadł mi z nieba na przednią szybę! Poza tym TIRy go rozniosą, jeśli go zostawimy.

Miała rację. Elliot Harp spadł na nas w trakcie zmiany miejsca pobytu. I nie wyglądałby dobrze ze śladami opon na piersi.

- Dobrze - powiedziałam. - Zabierzemy go. Spojrzałyśmy na Elliota.

Przełknęłyśmy ślinę.

- No, to włóż go do bagażnika - ponagliła mnie Lula.

- Ja?

- A kto, ja? Nie dotknę tego trupa. Jeszcze mam uraz po Leroy'u Watkinsie.

- On jest za duży. Nie podniosę go sama.

- Przez to wszystko dostanę biegunki - zagroziła Lula. - Proponuję, żebyśmy udały, że nic się nie stało. Zabierajmy się stąd.

- Nie będzie tak źle - powiedziałam z wysiłkiem. - Co z tym kocem?

Możemy zawinąć go w koc. Podniesiemy go i nie będziemy musiały go dotykać.

- No, chyba że tak - przyznała Lula. - Możemy spróbować.

Rozłożyłam koc obok Elliota Harpa, wzięłam głęboki oddech, złapałam go za pasek i przetoczyłam na koc. Odskokczyłam, zacisnęłam powieki i wypuściłam powietrze z płuc. Bez względu na to, ile jeszcze zobaczę zwłok, nigdy nie przyzwyczaję się do tego widoku.

- Zdecydowanie dostanę biegunki - ogłosiła Lula. - Czuję, że nadchodzi.

- Zapomnij o biegunce, pomóż mi!

Lula chwyciła koc od strony głowy, a ja ujęłam go od strony nóg.

Harp już zeszywniał i nie chciał się zgiąć, więc włożyliśmy go do bagażnika głową naprzód, pozostawiając nogi za zewnątrz. Starannie opuściliśmy wieko bagażnika i obwiązałyśmy je sznurkiem, który Lula znalazła w bagażniku.

- Zaraz - odezwała się Lula. Wyjęła z kieszeni płaszcza apaszkę w czerwone kwiatki i zawiązała ją na stopie Harpa niczym flagę. - Nie chcę dostać mandatu Podobno drogówka jest cięta na wszystko, co wystaje z bagażnika.

Zwłaszcza na martwych facetów.

Włączyłyśmy się do ruchu i przejechałyśmy jakieś pół kilometra, wypatrując miejsca do zawrócenia. Zaczęłam się martwić. Nie byłam pewna, co zrobią policjanci, kiedy wjedziemy na posterunek w martwym handlarzem narkotyków wystającym z bagażnika. Mogliby nie zrozumieć naszych motywów.

Lula zjechała z autostrady i zatrzymała się na światłach.

- Dokąd jedziemy?

- Do Miasteczka. Muszę pogadać z Eddiem Gazarrą.

Gazarra jest przede wszystkim moim przyjacielem, dopiero potem policjantem. Mogę liczyć na to, że zdradzi mi najlepszą metodę transportu zwłok.

Za nami stanął jakiś samochód, czekający na zmianę świateł.

Niemal natychmiast kierowca wrzucił tylny bieg i odjechał pełnym gazem. Obie oderwałyśmy wzrok od wstecznego lusterka i spojrzałyśmy na siebie.

- Chyba powinniśmy owinać mu stopy - powiedziała Lula.

Światło zmieniło się i ruszyłyśmy na południe. Wybrałyśmy drogę okrężną przez Masters Street, niechętnie myśląc o pokazywaniu się w centrum z Elliotem Harpem wystającym z bagażnika. Zanim dotarłyśmy do Hamilton Avenue, niebo zrobiło się całkiem ciemne i zapaliły się latarnie.

Eddie Gazarrą mieszka w bliźniaku na obrzeżach Miasteczka. Jego dom został zbudowany w latach sześćdziesiątych. Czerwona cegielka i białe aluminiowe szalowanie. Ogrodzone podwórko, na którego tyłach mieszka królik Robal, zesłany do drewnianej chatki po tym, jak przegryził

kabel od telewizora.

Zatrzymałyśmy się przed domem i w milczeniu wbiłyśmy spojrzenia w mroczne okna.

- Chyba wyjechali - powiedziała Lula.

Zgodziłam się z nią, ale i tak podeszłam do drzwi. Zadzwoiłam i odczekałam parę sekund. Znowu zadzwoniłam. Weszłam w azalie, przycisnęłam nos do okna salonu i zajrzałam. Pusto.

Sąsiad Eddiego, Gus Balog, wyrzwał przez drzwi.

- Co się tam dzieje? Czy to Stephanie Plum?

- Tak, szukam Eddiego.

- Nie ma ich. Zabrali dzieciaki do tej nowej smażalni. To twój samochód... ten czerwony?

- Koleżanki.

- Co to tak wystaje z bagażnika? Wygląda jak nogi.

- To manekin. Taki z wystawy.

- Nie wygląda jak manekin. Wygląda jak nogi martwego faceta.

Słyszałem, że szukasz Mo. To nie są nogi Mo, prawda?

Wycofałam się z azalii i podałam tyły.

- Nie. To nie nogi Mo.

Wskoczyłam do samochodu i zatrzasnęłam drzwi.

- Zmywamy się - rzuciłam. Lula parę razy okrążyła dzielnicę.

- No i?

- Myślę, myślę.

Problem polegał na tym, że przychodziła mi do głowy tylko jedna osoba, zdolna wyciągnąć mnie z tego bagna. Joe Morelli. Miałam duże opory przed pokazaniem się mu w tak nieświeżym stanie. I przed zaciągnięciem u niego długu wdzięczności. Poza tym, trudno mi było uwierzyć, że okaże się lojalny wobec mnie, a nie wydziału policji miasta Trenton.

- Jest mi zimno, mokro i w każdej chwili mogę dostać biegunki jak jasna cholera - powiedziała Lula złowieszczo. - Lepiej się decyduj, bo zaraz będzie dramat.

Morelli wyprowadził się niedawno ze swojego mieszkania i zamieszkał w domku na Slater Street. Nie znałam szczegółów, ale coś takiego nie pasowało mi do niego. W poprzednim mieszkaniu miał dwa meble na krzyż. Wygodnie i funkcjonalnie. Minimalizm. Cały dom dla kogoś takiego jak Morelli wydawał się zbyt dużą rozrzutnością. Kto mu sprząta? A zasłony? Kto mu wybrał zasłony?

- Jedź na Chambers, a potem skręć w lewo na Slater -

zdecydowałam.

Slater leży o jakieś pół kilometra za granicami Miasteczka.

Etnicznie zróżnicowane towarzystwo, skromne domki i ludzie ledwie wiążący koniec z końcem.

Nie pamiętałam numeru, ale znałam sam dom. Jakiś miesiąc temu nie mogłam już wytrzymać z ciekawości i przyjechałam tu, żeby się zorientować w sytuacji. Brązowy dom kryty dachówką, w centrum dzielnicy. Piętrowy, mały cementowy ganek.

Przejechałyśmy dwie przecznice i wreszcie zobaczyłam stojący przy krawężniku samochód Morellego. Żołądek ścisnął mi się nerwowo, a ja zrobiłam pospieszny przegląd możliwości.

- Czemu tak jęczysz? - spytała Lula.

- Robię przegląd możliwości.

- I?

- I nic mi nie przychodzi do głowy.

Lula zatrzymała się za samochodem Morellego.

- Wygląda jak samochód gliny. Śmierdzi jak samochód gliny.

- Joe Morelli.

- To jego dom?

- Tak. Wyłącz silnik. Za chwilę wracam.

Na dole paliło się światło. Prawdopodobnie w kuchni. Zapukałam do drzwi i stałam, zastanawiając się, jak zostaną przyjęta. Modliłam się, żeby Morelli był sam. Jeśli zobaczę u niego kobietę, ze wstydu będę się musiała przeprowadzić na Florydę.

Usłyszałam kroki i drzwi otworzyły się. Morelli miał na sobie dżinsy, czarny podkoszulek, rozpiętą flanelową koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci i grube wełniane skarpetki. Uniósł brwi. Obejrzał

sobie moje mokre włosy i ubłocone levisy. Potem zerknął na czerwonego firebirda, którego Lula zaparkowała pod latarnią. Pokręcił głową.

- Powiedz, że to nie nogi wystają z tego bagażnika.

- Hm, no bo właśnie...

- Jezus Maria, to już czwarty! Cztery trupy. Osiem, jeśli dodać te z piwnicy.

- To nie moja wina! Myślisz, że lubię znajdować martwych facetów?

Ja też nie jestem zadowolona.

- Kto to jest?

- Wydaje się nam, że Elliot Harp. Ma wielką dziurę w samym środku twarzy, więc trudno powiedzieć.

Streściłam mu historię pościgu za Mo oraz znalezienia Elliota Harpa, który grzotnął w samochód Luli.

- I? - chciał wiedzieć Morelli.

- I przywiozłyśmy go tutaj. Pomyślałam, że zechcesz się mu przyjrzeć jako pierwszy. - I tak sformułowałam raport, żeby nie wyszła na porywaczkę zwłok. A skoro cię w to wciągnęłam, może nie padnę ofiarą ordynarnych policyjnych dowcipasów na temat urodzaju na nieboszczyków.

Zerknęłam do środka domu i zobaczyłam drewnianą podłogę w małym hallu i staroświecką balustradę prowadzących na pięterko schodów.

Morelli skinął uspokajająco do Luli, wprowadził mnie do domu i zamknął drzwi.

- Trzeba było zostawić te zwłoki na poboczu. Trzeba było kogoś zatrzymać. Trzeba było znaleźć telefon i zadzwonić na policję.

- Halo! - przerwałam mu z rozdrażnieniem. - Słuchasz mnie? Przed chwilą ci wszystko wyjaśniłam. Nikt się nie zatrzymał i uznałam, że ciało nie może zostać na poboczu.

Morelli uchylił drzwi i spojrzał na firebirda. Zamknął drzwi i znowu pokręcił głową. Spojrzał na własne buty i z wysiłkiem ukrył uśmiech.

- To nie jest śmieszne - wysyczałam.

- Kto wpadł na pomysł, żeby go oflagować?

- Lula. Nie chciała dostać mandatu. Teraz śmiał się już otwarcie.

- Nie można jej nie lubić.

- Co ja mam z nim zrobić?

- Zadzwonię do biura koronera i ktoś będzie na ciebie czekać na posterunku. Skoro przewiozłaś Harpa taki świat drogi, te parę kilometrów nie robi ci różnicy.

- Chyba nie złamałam prawa, co? Morelli poszedł w głąb domu.

- Nie chcesz znać odpowiedzi, wierz mi.

Poszłam za nim do kuchni i po drodze zajrzałam do salonu i jadalni.

Małe, ale miały wysoki sufit i wyrafinowane plafony. Wszędzie stały pudła czekające na rozpakowanie. Pod ścianą salonu leżał zrolowany dywan.

Morelli wygrzebał spod stołu buty i usiadł, żeby je włożyć.

- Ładna kuchnia - odezwałam się życzliwie. - Dom rodziców jest prawie taki sam.

A papier do wykładania półek, pomyślałam. Kto mu wyklada półki?

Morelli rozejrzał się, jakby po raz pierwszy zobaczył swoją kuchnię.

- Trzeba tu trochę pozmieniać.

- Dlaczego kupiłeś dom?

- Nie kupiłem go. Odziedziczyłem. Ciotka Rose mi go zapisała. Ona i wujek Sallie kupili go, kiedy się pobrali. Sallie zmarł dziesięć lat temu, a ciotka już tu została. Umarła w październiku. Miała osiemdziesiąt trzy lata. Nie mieli dzieci, a ja byłem ich ulubionym siostrzeńcem, więc odziedziczyłem dom. Moja siostra Mary dostała meble.

Wstał i zdjął kurtkę z oparcia krzesła.

- Mógłbyś go sprzedać. Włożył kurtkę.

- Też tak sądziłem, ale uznałem, że najpierw spróbuję pomieszkać.

Zobaczę, jak to jest.

Na zewnątrz ryknął dramatycznie klakson.

- To Lula - powiedziałam. - Ma biegunkę.

Rozdział 12

Lula wjechała na posterunek od zaplecza, żebyśmy mogli wyładować Elliota w możliwie najbardziej dyskretny sposób.

Zatrzymałyśmy się przed rampą. Morelli zaparkował za nami. Rampa jest monitorowana, więc wiedziałam, że lada chwila obiegają nas ciekawscy.

Stanęłyśmy przed firebirdem. Jakoś nie spieszyło nam się do ponownego kontaktu z Elliotem. Byłam przemoczona na wylot i z dala od ogrzewanego wnętrza samochodu czułam, że krew ścina mi się lodem.

- Śmieszne jest to życie - zauważyła Lula. - Wszystko zaczęło się od tego, że zjadłam nieświeże burrito. Tak, jakby Bóg specjalnie zesłał na mnie biegunkę.

Splotłam mocno ramiona na piersi i zacisnęłam zęby, żeby nimi nie szczekać.

- Niezbadane są wyroki boże.

- Tak właśnie sobie pomyślałam. Teraz wiemy, że Jackie miała rację. Stary Penisowy Nos naprawdę był na Montgomery Street. A nawet zrobiliśmy dobry uczynek dla Elliota. Nie żeby na to zasługiwał, ale gdyby nie my, już by spływał do morza.

Tylne drzwi otworzyły się i stanęli w nich dwaj mundurowi. Nie znałam ich nazwisk, ale widywałam ich od czasu do czasu. Morelli powiedział, że musi przez chwilę zająć rampę. Poprosił, żeby przez parę minut kierowali ruch w inną stronę.

Furgonetka koronera zatrzymała się obok firebirda.

Ciemnoniebieski ford z białym dachem w kratkę, który skojarzył mi się z kolbą kukurydzy.

Wywiadowca zamienił parę słów z Morellim i zabrał się do pracy.

Z posterunku wyszedł Arnie Rupp, komendant wydziału zabójstw.

Stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się wszystkiemu. Obok niego pojawił się mężczyzna w dżinsach, czapce drożyny policyjnej i czerwono-czarnej wełnianej kurtce. Rupp spytał, czy wypełnił raporty z Runion.

Mężczyzna powiedział, że jeszcze nie. Zrobi to jutro z samego rana.

Spojrzałam na niego i w głowie włączył mi się alarm.

Mężczyzna spojrzał na mnie. Bez emocji. Typowy gliniarz.

Nieugięty.

Morelli wszedł w moje pole widzenia.

- Teraz pojedziecie do domu. Obie wyglądacie jak zmokłe kury, a to tutaj jeszcze potrwa.

- Będę bardzo wdzięczna - oznajmiła Lula z wielką godnością. -

Mam pewną żołądkową niedyspozycję.

Morelli uniósł mi brodę palcem i przyjrzał się mojej twarzy.

- Wszystko dobrze?

- Jasne. Ś-ś-świetnie.

- Nie wyglądasz świetnie. Wyglądasz, jakbyś się topiła.

- Kto stoi koło Arniego Ruppa? Ten w dzinsach, czapce i kurtce.

- Mickey Maglio. Wydział rabunków. Wywiadowca.

- A pamiętasz, jak ci opowiadałam o tych facetach w maskach narciarskich? Ten główny, co przypalił mi rękę i chciał dać łapówkę, miał

głos palacza. Akcent z Jersey City. Wiem, że nie masz ochoty tego słuchać, ale przysięgam, Maglio mówi całkiem jak on. I jest tego samego wzrostu i budowy ciała.

- Nie widziałaś twarzy tamtego?

- Nie.

- Maglio to dobry policjant. Ma trójkę dzieci, a czwarte w drodze.

- No, nie wiem. Może się myłę. Zi-zi-ziiimno mi. Może mi się coś pomyliło.

Morelli objął mnie ramieniem i poprowadził w stronę czekającego policyjnego samochodu.

- Sprawdzę to. A na razie zachowajmy to między nami.

Lula wysiadła pierwsza, z racji naglącej potrzeby. Resztę drogi przejechałam w milczeniu, trzęsąc się z zimna, niezdolna do uporządkowania myśli. W każdej chwili mogłam wybuchnąć płaczem i zrobić z siebie idiotkę wobec policjanta, który mnie odwoził.

Podziękowałam mu i wysiadłam z trudem. Pobiegłam do budynku i wdrapałam się po schodach na swoje piętro. Korytarz był pusty, ale zza drzwi sąsiadów dochodziły wonie potraw. Smażona ryba u pani Karwatt.

Gulasz u pana Walesky'ego.

Powoli przestałam dzwonić zębami, ale ręce nadal mi się trzęsły i dwa razy nie trafiłam kluczem do zamka. W końcu otworzyłam drzwi, włączyłam światło, zabarykadowałam się i szybko sprawdziłam, czy w mieszkaniu nie ma złoczyńców.

Rex wycofał się tyłem z puszki po zupie i zlustrował mnie baczny spojrzeniem. Wydawał się nieco zaskoczony moim wyglądem, więc wyjaśniłam mu, co się stało. Kiedy doszłam do tego, jak transportowałyśmy Elliota w samochodzie Luli, wybuchnęłam śmiechem.

Dobry Boże, co mi przyszło do głowy! Jak mogłam zrobić coś tak idiotycznego? Śmiałam się i śmiałam, aż wreszcie spostrzegłam, że to już nie śmiech. Po policzkach toczyły mi się łzy, a ja zanosilałam się płaczem.

Po chwili z nosa zaczęło mi cieknąć, a łkania stały się bezgłośnie.

- Cholera - powiedziała do Rexa. - Bardzo męczące.

Wydychałam nos, powlokłam się do łazienki, rozebrałam i tak długo stałam pod prysznicem, aż skóra mi się zaróżowiła, a umysł

opróżnił z myśli. Przebrałam się w dres i grube skarpetki, wysuszyłam włosy, które stanęły mi niczym pomarańczowa szczotka. Wyglądałam, jakbym się kąpała z tosterem, ale przestało mnie to obchodzić. Padłam na łóżko i w ułamku sekundy zasnęłam.

Obudziłam się bardzo powoli. Oczy miałam zapuchnięte od płaczu, umysł oszołomiony i otępiały. Na zegarku było wpół do dziesiątej. Ktoś pukał do drzwi. Poczłapałam do drzwi i otworzyłam je bez żadnych ceremonii.

W korytarzu stał Morelli z pizzą i sześcioma butelkami piwa.

- Zawsze powinnaś spojrzeć przez wizjer, zanim otworzysz - pouczył mnie.

- Spojrzałam.

- Znowu kłamiesz.

Miał rację. Nie patrzyłam. I rzeczywiście powinnam uważać. Mój wzrok natrafił na pudełko z pizzą i już przy nim pozostał.

- Umiesz przyciągać uwagę. Morelli wyszczerzył zęby.

- Głodna?

- Wchodzisz czy nie?

Morelli postawił pizzę i piwo na stole w salonie i zdjął kurtkę.

- Chciałbym podsumować wypadki tego dnia.

Przyniosłam talerze i rolkę papierowych ręczników i usiadłam obok niego na kanapie. Pożarłam kawałek pizzy i opowiedziałam Morellemu o wszystkim. Kiedy skończyłam, otworzył drugie piwo.

- Coś ci przychodzi do głowy?

- Tylko to, że Gail prawdopodobnie skłamała, żeby nie mieć przykrości ze strony Vanessy. Elliot był już całkiem sztywny, kiedy go znalazłyśmy, więc musiał nie żyć od pewnego czasu. Podejrzewam, że albo Gail powiedziała Mo, gdzie znajdzie Elliota, albo Elliot był w jej pokoju, kiedy Mo się pojawił.

Morelli pokiwał głową.

- Dobrze gadasz. Sprawdziliśmy tablice rejestracyjne tego brązowego samochodu. Należał do Elliota Harpa.

- Znalazłeś jakieś powiązania Mo z Montgomery Street?

- Jeszcze nie, ale mamy swoich ludzi w dzielnicy. Z tego garażu korzystały tłumy. Można wykupić kartę magnetyczną na miesiąc. Nie trzeba się legitymować. Parkują tam parafianie Kościoła Wolności. I miejscowi kupcy.

Pochłonęłam jeszcze jeden kawałek pizzy. Miałam ochotę poruszyć temat Mickey-

a Maglio, ale nie czułam się specjalnie uprawniona do rzucania oskarżeń. Już o tym wspomniałam. Morelli jest zbyt dobrym policjantem, żeby zapomnieć o takiej sprawie.

- I co teraz? - spytałam. - Chcesz pooglądać telewizję? Morelli spojrział na zegarek.

- Będę się zbierać. Muszę jechać do domu. - Wstał i przeciągnął się, aż stawy mu trzasnęły. - To był długi dzień.

Odprowadziłam go do drzwi.

- Dzięki, że pomogłeś mi się pozbyć Elliota.

- Coś ty. - Morelli szturchnął mnie lekko. - A po co ma się przyjaciół? Wytrzeszczyłam na niego oczy. Przyjaciele? Ja i on?

- No dobra, co się dzieje?

- Nic się nie dzieje.

I miał rację, niestety. Ani flirtowania, ani pieszczotek. Sprośne uwagi ograniczone do minimum. Patrzyłam za nim podejrzliwie. To może znaczyć tylko jedno. Morelli ma dziewczynę. Morelli jest w kimś zakochany, a ja mogę spadać.

Wszedł do windy, więc wróciłam do siebie.

I dobrze, powiedziałam sobie. Ale wcale nie było dobrze. Miałam wrażenie, że ktoś wyprawia przyjęcie, a ja nie zostałam zaproszona.

Trochę mnie to zastanowiło. Skupiłam się i spróbowałam wykryć przyczynę tego dziwnego uczucia. Pierwszą i oczywistą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, była zazdrość. Nie spodobała mi się ta oczywistość, więc zaczęłam szukać czegoś innego. Wreszcie dałam za wygraną.

Musiałam przyznać, że sprawy pomiędzy Morellem a mną nie są zakończone. Parę miesięcy temu przeżyliśmy pewien incydent w buicku i od tego czasu, aczkolwiek przyznaję to bardzo niechętnie, myślałam o Morellim w namiętny sposób.

A on przeprowadził się do własnego domu, co wydawało się tak nietypowe dla niego, wiecznego kawalera. Ale przypuśćmy, że zamierza dzielić ten dom z kimś? Mój Boże, a jeśli Morelli chce się ożenić?

To mi się zupełnie nie podobało. Moje fantazje bardzo by na tym ucierpiały, nie wspominając już o naciskach, jakie by na mnie zaczęto wywierać. Matka mówiłaby do mnie: widzisz! Nawet Joe Morelli się ożenił!

Rzuciłam się na kanapę i włączyłam telewizor, ale nie było nic ciekawego. Posprzątałam butelki i resztki pizzy. Włączyłam telefon i sekretarkę. Znowu włączyłam telewizor.

Po trzecim piwie poczułam przyływ animuszu. Do cholery z Morellem, pomyślałam. Co za bezczelność, żeby wiązać się z inną kobietą!

Im bardziej o tym rozmyślałam, tym bardziej czułam się rozdrażniona. I w ogóle, co to za kobieta?

Zadzwoiłam do Sue Ann Grebek i dyskretnie wypytałam ją o kontakty cholernego Morellego, ale Sue Ann nie wiedziała. Zadzwoiłam do Mary Lou i kuzynki Jeanine, ale one też nie wiedziały.

To załatwia sprawę, powiedziałam sobie. Sama się dowiem. W

końcu, w pewnym sensie jestem detektywem. Przeprowadzę śledztwo.

Problem polegał jedynie na tym, że ostatnie wydarzenia nieco nadwątlily moje nerwy. Nie bałam się ciemności, ale też nie przepadałam za nią. No dobrze, bałam się ciemności. Więc znowu zadzwoniłam do Mary Lou i spytałam, czy chce ze mną śledzić Morellego.

- Jasne - ucieszyła się. - Kiedy ostatni raz śledziłyśmy Morellego, miałyśmy po dwanaście lat. Już leczę.

Włożyłam sportowe buty i bluzę z kapturem na dres, który miałam na sobie, a włosy wcisnęłam pod czarną włóczkową czapkę. Truchtem przebiegłam korytarz i schody i wpadłam w holu na Dillona Ruddicka.

Dillon to gospodarz domu i strasznie miły gość.

- Dam ci pięć dolarów, jeśli odprowadzisz mnie do samochodu -

powiedziałam.

- Zrobię to za darmo. I tak wynoszę śmieci. Kolejny plus parkowania przy śmietniku. Dillon zatrzymał się przy moim buicku.

- Ależ cudenko!

Nie mogłam się z nim nie zgodzić.

Mary Lou czekała na mnie przed swoim domem. Była ubrana w obcisłe czarne dżinsy, czarną skórzaną motocyklową kurtkę, wysokie czarne botki i wielkie złote kolczyki. Strój wieczorowy eleganckiej miejscowej podglądaczki.

- Jeśli o tym komuś powiesz, wyprę się wszystkiego. I wynajmę Manny'ego Russo, żeby przestrzelił ci kolano - zapowiedziała.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy Morelli ma jakąś kobietę.

- Po co?

Obrzuciłam ją przeciągłym spojrzeniem.

- Aha - powiedziała. - Już wiem.

Samochód Morellego stał przed domem. Okna salonu były mroczne, ale w kuchni paliło się światło, tak jak poprzednio.

Jakaś postać poruszała się na schodach. W pokoju na górze zapaliło się światło. Postać zeszła do kuchni.

Mary Lou zachichotała. Potem ja też zachichotałam. I obie trzepnęłyśmy się, żeby się uciszyć.

- Jestem matką dzieciom - szepnęła Mary Lou. - Nie powinnam się tak wygłupiać. Jestem na to za stara.

- Kobieta nigdy nie jest za stara, żeby zrobić z siebie idiotkę. To taki sam przywilej jak równość płci.

- Myślisz, że przyłapiemy go w kuchni ze spuszczoneymi gaciami?

- Chciałabyś.

Znowu sobie pochichotałyśmy.

Wjechałam na drogę dla śmieciarzy. Powoli wyhamowałam, zgasiłam światła i zatrzymałam samochód koło podwórka Morellego.

Zobaczyłam go na tle tylnego okna. Przynajmniej jest w domu. Nie poszedł prosto ode mnie do jakiejś szalonej blondyny.

- No dobrze - powiedziałam do Mary Lou. - Przyjrzyjmy się temu z bliska. Podkradłyśmy się do podwórka i stanęłyśmy przed ogrodzeniem, ukryte w mroku.

Po chwili Morelli znowu pojawił się na tle okna. Tym razem trzymał

słuchawkę i mówił coś z uśmiechem.

- Patrz no! - syknęła Mary Lon. - Uśmiecha się. Na pewno mówi do niej! Wśliznęliśmy się na teren podwórka i na paluszkach podeszliśmy do domu. Przyłgnęłam do ściany i wstrzymałam oddech. Przysunęłam się bliżej okna. Słyszałam jego głos, ale nie rozróżniałam słów. Ple, ple, ple, ple.

O dwa domy dalej otworzyły się jakieś drzwi i wypadł z nich wielki czarny pies. Zatrzymał się i stanął z czujnie nastawionymi uszami.

- WUF!

- Oż ty w życiu - szepnęła Mary Lou. - O Jezuniu. O matko. Mary Lou nie przepada za zwierzętami.

- WUF!

Nagle zabawa przestała mi się wydawać taka świetna. Nie podobała mi się perspektywa rozszarpania na strzępy przez psa z piekła rodem.

Albo gorzej. Nie chciałam, żeby Morelli mnie przyłapał na gorącym uczynku. Obie w popłochu wycofałyśmy się z podwórka i zatrzymałyśmy się tuż przy chylącym się ku upadkowi płocie. Pies powoli podszedł do skraju swojego podwórka. Nie zatrzymał się. Jego podwórko nie miało ogrodzenia. Teraz pies znajdował się na drodze i patrzył wprost na nas.

Grzeczny piesek, pomyślałam. Pewnie chce się pobawić. Ale na wszelki wypadek... można by się schronić w samochodzie. Zrobiłam parę kroków, a pies nagle poderwał się do pędu.

- RANY!

Ruszyliśmy pełnym gazem przed siebie. Znajdowałyśmy się o jakieś pięć metrów od samochodu, kiedy nagle poczułam na plecach psie łapy, straciłam równowagę i upadłam. Gruchnęłam na ręce, a potem na kolana.

Wreszcie padłam z rozpędem na ubitą piaszczystą drogę, a powietrze uszło ze mnie ze świstem.

W każdej chwili oczekiwałam śmierci, ale pies po prostu stał nade mną ze zwisającym językiem. Machał ogonem.

- Dobry piesek - odezwałam się słabym głosem. Polizał mnie po twarzy.

Obróciłam się na plecy i oszacowałam straty. Rozdarte spodnie, podrapane dłonie i kolana. Ogromny ubytek szacunku dla samej siebie.

Wstałam, przepędziłam psa w cholerę i pokulałam w stronę samochodu, gdzie czekała Mary Lou.

- Zostawiłaś mnie - powiedziałam oskarżycielsko.

- Bardzo dobrze sobie radziłaś. Nie śmiałam przeszkadzać.

Piętnaście minut później byłam już we własnym mieszkaniu, ubrana w nocną koszulę. Smarowałam

kolana jodyną. I czułam się o wiele lepiej. Nie ma to jak infantylny wyglup, żeby zobaczyć sprawę z właściwej strony.

Zadzwonił telefon, a ja zamarłam z watką w dłoni. Tylko nie Morelli, pomyślałam błagalnie. Nie chcę teraz usłyszeć, że widział moje popisy z psem.

Odezwałam się, bardzo niechętnie. Po drugiej stronie panowała cisza.

- Halo? - powtórzyłam.

- Mam nadzieję, że nasza ostatnia rozmowa coś dla ciebie znaczyła -

powiedział zachrypnięty mężczyzna. - Bo jeśli się dowiem, że otworzyłaś buzię, przyjdę po ciebie. I tym razem nie będzie tak miło.

- Maglio?

Połączenie zostało przerwane.

Sprawdziłam wszystkie zamki, włożyłam baterię z telefonu komórkowego do akumulatora i umieściłam nabity pistolet przy łóżku, obok pieprzu w aerozolu. Myśl, iż Maglio jest zamieszany w tę sprawę, budziła we mnie zimny dreszcz. Niedobrze jest mieć wroga w policjancie.

Policjanci to bardzo niebezpieczni ludzie.

Telefon zadzwonił jeszcze raz. Zaczekałam, aż włączy się sekretarka.

Dzwonił Ranger. Tylko potwierdzam, powiedział. Trening jutro o siódmej. Zgodnie z obietnicą zadzwoniłam do Luli i powiadomiłam ją o akcji.

O siódmej byłam na dole, w marnej formie. Nie spałam dobrze i czułam się jak wypluta.

- Jak poszło wczoraj? - spytał Ranger.

Przedstawiłam mu pełną wersję, z wyjątkiem mojego wyglupu na podwórku Morellego.

Usta Rangera zadrgały w kącikach.

- Zmyślasz, tak?

- Nie. To właśnie się wydarzyło. Pytałeś, jak poszło. Właśnie ci mówię.

- Dobrze, podsumujmy. Elliot Harp spadł z dachu samochodu Mo, odbił się od firebirda i spadł na pobocze autostrady. Podniosłyście go, wsadziłyście do bagażnika i zawiozłyście na posterunek.

- Mniej więcej.

Ranger parsknął śmiechem.

- To się na pewno spodobało chłopcom.

Na parkingu zatrzymała się taksówka, z której wysiadła Lula. Miała na sobie różowy dres z polaru i różowe futrzane nauszniaki. Wyglądała jak potwornych rozmiarów królik z reklamy baterii.

- Lula chce z nami biegać - wyjaśniłam. - Chce poprawić sobie kondycję. Ranger zmierzył ją krytycznym spojrzeniem.

- Jak nie będziesz trzymać tempa, zostawimy cię.

- To się zobaczy - mruknęła.

Ruszyliśmy w niezłym tempie. Podejrzewałam, że Ranger sprawdza Lulę. Oddychała ciężko, ale nie zostawała w tyle. Dotrzymała nam kroku aż do bieżni, a potem usiadła na widowni.

- W kółko biegać nie będę - oznajmiła. Usiadłam obok niej.

- Ani ja.

Ranger przebiegł obok nas, nie poświęcając nam uwagi. Może nawet nie widział, czy biegniemy za nim.

- No, to dlaczego naprawdę tu jesteś? - spytałam. Lula nie spuszczała wzroku z Rangera.

- Jestem tu, ponieważ to prawdziwy sukinsyn.

- Co?

- No, wiesz... sukinsyn. Król. Towar.

- Znamy kogoś jeszcze, kto jest sukinsynem?

- John Travolta. To też sukinsyn.

Trochę poprzyglądałyśmy się Rangerowi i powoli zrozumiałam, o co chodzi z tym sukinsynem.

- Tak się zastanawiam - odezwała się Lula. - A może superbohaterzy istnieją naprawdę?

- Na przykład Batman?

- Aha. O to chodzi. To też sukinsyn.

- Chcesz powiedzieć, że Ranger jest superbohaterem?

- Tylko pomyśl. Nie wiemy, gdzie mieszka. Nie wiemy o nim niczego.

- Superbohaterzy to fikcja.

- Ach, tak? A Bóg?

- Hmmmm.

Ranger wykonał jeszcze parę okrążeń i zbiegł z bieżni.

Obie zerwałyśmy się z ławek i podążyłyśmy jego śladem. Kilometr dalej, pod moim domem, zbiliśmy się w zdyszana grupkę.

- Zakładam się, że mógłbyś tak biegać przez cały dzień - powiedziała Lula do Rangera. - Na pewno masz mięśnie jak stal.

- Człowiek z żelaza - potwierdził. Lula rzuciła mi znaczące spojrzenie.

- Było bardzo miło - powiedziałam do nich - ale ja wracam do łóżka.

- Byłabym wdzięczna za podwiezienie - Lula zwróciła się do Rangera. - Policja ciągle ma mój samochód. Może mógłbyś mnie podrzucić? Oczywiście nie chcę się narzucać. Nie chciałabym, żebyś przeze mnie jechał do domu dłuższą drogą. - Krótka pauza. - A gdzie właściwie mieszkasz?

Ranger otworzył bronco i skinął na Lulę.

- Wsiadaj.

Ricardo Carlos Manosa. Mistrz dwusylabowych komunikatów.

Superbohater. Wzięłam Lulę pod rękę, zanim zdążyła zapakować się do samochodu.

- Co masz dziś w planach?

- To, co zawsze.

- Jeśli będziesz miała czas, sprawdź dla mnie parę fast foodów. Nie mówię, że masz poświęcić na to cały dzień, ale jeśli wyjdiesz na przerwę, wypatruj Stuarta Baggetta. Na pewno pracuje gdzieś w okolicy. Uważam, że pójdzie tam, gdzie będzie czuć się jak u siebie.

W godzinę później byłam już w drodze. Sprawdzałam swoją część restauracji. Podejrzewałam, że Lula nie będzie się oddalać od biura, więc wzięłam na siebie Hamilton Township. Byłam już na autostradzie, kiedy zadzwonił telefon.

- Mam go! - wrzasnęła Lula. - Wyszłam na wczesny obiad i odwiedziłam parę knajp, ponieważ każdy w biurze chciał co innego i znalazłam go! Pan Słodki Dziubuś sprzedaje kurze udka!

- Gdzie?

- Na Hamilton, w Smakowitym Kubełku.

- Jeszcze tam jesteś?

- Pewnie! - potwierdziła Lula. - I nie pokazałam się skubańcowi.

Siedzę w budce telefonicznej.

- Nie odchódź!

Popełniam mnóstwo błędów. Bardzo się staram, żeby nie powtarzać tego samego błędu częściej niż trzy lub cztery razy. Tym razem Stuart Baggett jest ugotowany jak kurza potrawka!

Wdepnęłam gaz do dechy i pomknęłam z rykiem przez Hamilton Avenue. Pieniądze, które miałam dostać za Baggetta, znajdowały się na bardzo odległym miejscu mojej listy czynników motywujących. Przez niego czułam się i wyglądałam jak idiotka. Nie pragnęłam zemsty. Zemsta nie jest uczuciem konstruktywnym. Chciałam tylko odnieść sukces i odzyskać przynajmniej część dobrego samopoczucia. Oczywiście, kiedy już odzyskam dobre samopoczucie, z przyjemnością zgarnę nagrodę.

Smakowity Kubełek znajdował się o parę przecznic od biura Vinniego. To nowa placówka w sieci minibarów. Wiele razy przejeżdżałam obok niej i gapiłam się na wielki neon w kształcie kurczaka, ale nigdy nie wstąpiłam.

Widziałam blask neonu już o przecznicę wcześniej. Parterowy budynek pomalowany na żółto na zewnątrz i wewnątrz. W nocy światła z wielkiej witryny widać już z daleka, podobnie jak dwumetrowego plastikowego kurczaka, nabitego na obracający się słup na parkingu.

Zaparkowałam na tyłach i obładowałam się sprzętem. Kajdanki do jednej kieszeni, pieprz w aerozolu do drugiej. Szoker przypięty do paska dresów. Smith&Wesson, zapomniany w pośpiechu, leżał na stoliku przy łóżku.

Lula czekała przed wejściem.

- Tam jest - wysapała. - To ten, co podaje dzieciom papierowe kapelusiki. Owszem, to był Stuart Baggett, a jakże... przebrany za wielkiego, grubego kurczaka.

Właśnie popisywał się kurczaczym tańcem przed jakąś rodziną -

machał rękami i kręcił tłustym kuprem. Wydawał z siebie również gdakanie, a każdemu dziecku dał po żółto-czerwonym tekturowym kapelusiku.

- Musisz przyznać, że słodki z niego dziubus - zauważyła Lula, wpatrzona w Stuarta, który drobił na wielkich żółtych kurzych łapach. -

Szkoda, że musimy wziąć go za kuper.

Łatwo jej powiedzieć. To nie ona ma pomarańczowe włosy.

Pchnęłam drzwi wejściowe i wkroczyłam do sali. Byłam o jakieś trzy metry od Stuarta, kiedy ten odwrócił się w moją stronę. Nasze oczy się spotkały.

- Cześć, Stuart - powiedziałam.

Obok niego stała młoda kobieta w żółto-czerwonym uniformie.

Trzymała stosik kapelusików. Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie i pogroziła palcem.

- On nie nazywa się Stuart - powiedziała. - Dziś to Pan Kurczak.

- Ach, tak? - Lula włączyła się do rozróby. - Bierzymy Pana Kurczaka za ten słodki kurzy kuper i odstawiamy go do pudła. I jak wam się to podoba?

- To wariatki - powiedział Stuart do kobiety. - Prześladowają mnie.

Nie chcą mi dać spokoju. Przez nie wylali mnie z poprzedniej pracy.

- A to ohydne kłamstwo - warknęła Lula. - Gdybym chciała kogoś prześladować, na pewno nie byłby to taki źle opłacany niewydarzony kurak.

- Bardzo przepraszam - wtrąciłam i odsunęłam Lulę od Stuarta.

Zwróciłam się do kobiety z kapelusikami i uśmiechnęłam się moim najbardziej profesjonalnym uśmiechem. - Pan Baggett pogwałcił warunki umowy o wpłaceniu kaucji i musi stawić się w sądzie.

- Harry! - wrzasnęła kobieta. - Dzwon na policję. Mamy kłopoty!

- Szlag by trafił - mruknęła Lula. - Nie znoszę, jak ludzie dzwonią na policję.

- Wszystko pani popsuje - powiedział do mnie Stuart. - Dlaczego mnie nie zostawicie? Kto będzie Panem Kurczakiem, kiedy mnie zamkniecie?

Wyjęłam kajdanki.

- Nie denerwuj mnie, Stuart.

- Nie możecie zakuć Pana Kurczaka! - krzyknął Stuart. - Co pomyślą te dzieci?

- Nie liczyłabym na to, że w ogóle się zainteresują - rozczarowała go Lula. - Nie jesteś Świętym Mikołajem. Prawda wygląda tak, że jesteś małym faceciem w brzydkim kostiumie.

- To nic wielkiego - powiedziałam najspokojniej, jak mogłam. -

Zakuję cię i wyprowadzę, a jeśli zrobimy to szybko i cicho, nikt nie zwróci na nas uwagi.

Sięgnęłam po jego rękę, a on trzepnął mnie wielkim żółtym skrzydłem.

- Dajcie mi spokój! - zawołał i wytrącił mi z dłoni kajdanki, które przeleciały wielkim łukiem przez całą salę. - Nie dam się zamknąć! -

Chwycił z kontuaru plastikowe butelki z keczupem i musztardą. - Nie zbliżać się!

Miałam przy sobie spray z pieprzem i szokera, ale nie mogłam ich przecież użyć przeciwko kurczakowi uzbrojonemu w keczup.

- Nie będę tu stać przez cały dzień - powiedziała do niego Lula. -

Chcę kupić kurczaka i wracać do roboty, a ty zajmujesz mi czas. Odstaw te głupie butelki.

- Nie lekceważ tych głupich butelek - zakrzyknął Stuart dramatycznie. - Mogę wam nimi zrobić krzywdę. - Uniósł czerwoną butelkę. - Widzicie to? To nie jest jakiś zwykły keczup. To ekstra ostry keczup!

- Oż ty w życiu - mruknęła Lula. - On się czegoś nawąchał.

Zrobiła krok w jego stronę i w tej samej chwili Stuart strzyknął musztardą prosto w jej pierś.

Lula zatrzymała się jak wryta.

- Co ty...

PLASK! Na musztardę poleciała plama keczupu.

- Widziałaś? - spytała Lula cienkim głosem Myszki Miki. - Oblał mnie keczupem! Będę musiała odnieść tę kurtkę do pralni!

- To twoja wina, grubasie - oznajmił Stuart. - To wszystko przez ciebie.

- Dość - powiedziała Lula bardzo dziwnym głosem. - Precz mi z drogi. Zabiję go.

Ruszyła z rękami wyciągniętymi ku kurzej szyi Stuarta, pośliznęła się na musztardzie, która skapnęła z butelki i gruchnęła na tyłek.

Stuart poderwał się do ucieczki slalomem pomiędzy stolikami i klientami. Wystartowałam za nim, skoczyłam, schwyciłam go i zbiłam z nóg. Wylądowaliśmy na podłozie w zamieci wirujących kurzych piór.

Stuart raził mnie strzałami z butelek, a ja klęłam i usiłowałam go złapać.

Tarzaliśmy się po ziemi mniej więcej przez wieczność, aż wreszcie udało mi się chwycić go za coś, co nie było kostiumem kurczaka.

Leżeliśmy pierś w pierś, ja na Panu Kurczaku, trzymając go mocno za nos, kiedy poczułam, że ktoś podnosi mnie z ziemi.

Ręce należały do Carla Costanzy. Obok niego stał policjant, którego widywałam, ale nie znałam nawet z imienia. Obaj byli uśmiechnięci od ucha do ucha.

- Słyszałem o twoim kuzynie Vinnie i o tym, co zrobił z tamtą kaczką - powiedział Carl. - A jednak dziwię się, że przyłapałem cię na kurczaku. Zawsze sądziłem, że bardziej wrodziłaś się w Mazurów.

Otarłam breję z twarzy. Cała byłam umazana musztardą, we włosach miałam keczup.

- Ha ha. Ten facet jest ścigany.

- Masz dokumenty?

Pogrzebałam w torbie i wyjęłam umowę o wpłaceniu kaucji oraz podpisaną przez Vinniego umowę na schwytanie Stuarta.

- Bardzo dobrze - oznajmił Carl. - Gratulacje, złapałaś kurczaka.

Drugi policjant ze wszystkich sił starał się nie roześmiać.

- Jakież kłopoty? - warknęłam tknięta nieprzyjemnym podejrzeniem, że być może śmieje się ze mnie.

Uniósł ręce do góry.

- Skąd, wcale. Dobra robota. Nie każdy potrafiłby złapać takiego kurczaka. Przewróciłam oczami i spojrzałam na Costanzę, ale on też nie potrafił ukryć rozbawienia.

- Dobrze, że zdążyliśmy przed ligą obrony praw zwierząt - zauważył.

- Oni by ci pokazali.

Podniosłam kajdanki, leżące po drugiej stronie sali i zatrzasnęłam je na przegubach Baggetta. Lula oczywiście zniknęła. Przestałam już żywić nadzieję, że kiedykolwiek zgodzi się przebywać w jednym pomieszczeniu z policjantami.

- Pomóc ci? - chciał wiedzieć Costanza. Pokręciłam głową.

- Dam sobie radę. Dzięki.

Pół godziny później opuściłam posterunek z pokwitowaniem. Z ulgą zniknęłam z miejsca, w którym pastwiono się nade mną uwagami, iż roztaczam zapachy jak pieczeń. Nie wspominając już o skandalicznych komentarzach, jakie sprowokowało pojawienie się w towarzystwie kurczaka.

Policjanci mają chore poczucie humoru.

Kiedy wróciłam do domu, Rex szperał po zakamarkach klatki, więc dałam mu winogrono i opowiedziałam o Stuarcie Baggetcie. O tym, że był

przebrany za kurczaka i jak dzielnie go schwytałam i oddałam w ręce sprawiedliwości. Rex wysłuchał mnie jedząc winogrono i zdaje się, że się uśmiechnął, kiedy doszłam do tego, jak rzuciłam się na Pana Kurczaka, ale z chomikami nigdy nie wiadomo.

Bardzo kocham Rexa, który ma mnóstwo zalet - na przykład niewielkie wymagania i takie same kupki - ale prawda wygląda tak, że czasem udaję, iż mam dużego wilczura. Oczywiście nigdy nie przyznałabym tego na głos, żeby nie ranić Rexa. Jest bardzo wrażliwy. Ale i tak chwilami bardzo mi brak dużego psa o brązowych oczach.

Padłam na kanapę i zasnęłam, przyglądając się, jak Rex biega w kołowrotku. Obudził mnie dzwonek telefonu.

- Dostałem wiadomość o moim samochodzie - powiedział Ranger. -

Chcesz się przyłączyć?

- Pewnie.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Spałaś?

- Skąd. Nigdy w życiu. Tylko wyszłam, żeby poszukać Mo. - No dobrze, kłamałam. Lepiej skłamać, niż zrobić z siebie offermę. Albo gorzej, niż przyznać się do prawdy, ponieważ prawda wyglądała tak, że powoli stawałam się niestabilna emocjonalnie. Nie potrafiłam zasnąć w ciemności. A kiedy zasypiałam, tylko drzemałam i miałam koszmary.

Więc nabrałam zwyczaju sypiania w dzień, jeśli tylko miałam ku temu okazję.

Przyczyny, z jakich chciałam znaleźć Mo, przez ostatnie dni uległy zmianie. Teraz musiałam go namierzyć, żeby ustały morderstwa. Czułam, że nie zniósę widoku jeszcze jednego rozerwanego na kawałki ciała.

Zwlokłam się z kanapy i poszłam pod prysznic. Podczas kąpieli zauważyłam, że na piętach mam pęcherze jak kurcze jaja. Chwała Ci, Panie. Wreszcie mam prawdziwą wymówkę, żeby zaprzestać tych cholernych treningów.

Osiem minut później szłam już korytarzem, zamknawszy mieszkanie na klucz. Kiedy tylko wsiadłam do bronco, wiedziałam, że sprawa jest poważna, ponieważ Ranger miał na sobie wojskowe spodnie i złote kolczyki. A także pistolet z gazem łzawiącym i dymne granaty.

- Co jest grane? - spytałam.

- Zadzwonił do mnie Moses Bedemier. Przeprosił, że pożyczył mój samochód. Powiedział, że

zostawił go w garażu, a jego sąsiadka, pani Steeger, ma klucze.

Na wzmiankę o pani Steeger wzdrygnęłam się mimowolnie.

- Co się dzieje? - zaciekawiał się Ranger.

- Pani Steeger to Antychryst.

- Niech to. Strzelbę na Antychrysty zostawiłem w domu.

- Ale wszystko inne masz ze sobą.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz potrzebować gazu łzawiącego.

- Jeśli zagazujemy panią Steeger, już nigdy nie wybiorą mnie na Miss Popularności.

Ranger skręcił z King w zaułek i zatrzymał się przed garażem Mo.

Wysiadł i spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte. Zajrzał przez okno.

- No i? - spytałam.

- Jest.

Zasłonka na tylnych drzwiach odsunęła się. Pani Steeger spiorunowała nas wściekłym wzrokiem.

- To ona? - spytał Ranger.

- Aha.

- Jedno z nas powinno z nią pogadać.

- To będziesz ty.

- Dobrze, bohaterze. Nie sądzę, żeby Mo tu był, ale na wszelki wypadek osłaniaj tyły. Ja zamienię słówko z panią Steeger.

Po dziesięciu minutach zaczęłam dla rozgrzewki przestępować z nogi na nogę. Poważnie martwiłam się o Rangera. Nie słyszałam strzałów, co było dobrym znakiem. Nie rozległy się wrzaski, brzęk tłuczonego szkła ani policyjne syreny.

Wreszcie pojawił się w drzwiach, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Podszedł do mnie.

- Naprawdę tak strasznie kłamałaś?

- Tylko w sprawach życia i śmierci.

- Jestem z ciebie dumny.

- Ma klucz?

- Aha. Wkłada płaszcz. Podeszła do tego bardzo poważnie.

Powiedziała, że przynajmniej tyle może zrobić dla Mo.

- Co proszę?

- Czytałaś dzisiejszą gazetę? Pokręciłam głową.

- Okazało się, że te morderstwa miały piorunujący wpływ na świat zbrodni. Spadła sprzedaż narkotyków. Przedstawiciele handlu farmaceutykami masowo wykupują bilety do miejscowości po drugiej stronie kraju.

- Chcesz powiedzieć, że Mo jest bohaterem?

- Ujmijmy to w ten sposób: nikt nie czuje do niego nienawiści.

Pani Steeger zmaterializowała się na ganku. Miała na sobie płaszcz i kapelusz. Podeszła do nas zamaszycie.

- Hmmm - odezwała się do mnie. - Ciągłe wężymy, co?

Powieka zaczęła mi drgać w mimowolnym tiku. Przycisnęłam ją palcem i zagryzłam wargę.

Ranger wyszczerzył zęby. Superbohater nie boi się Antychrysta.

Superbohater uważa, że tik w oku jest śmieszny.

Pani Steeger otworzyła drzwi i cofnęła się z rękami założonymi na piersi.

- Zamknę za panem - powiedziała.

Pewnie podejrzewała, że buchniemy z garażu przynajmniej parę puszek z używanym olejem.

Ranger podał mi kluczyki do bronco.

- Pojadę BMW, a ty trzymaj się za mną.

Normalny człowiek odprowadziłby swoje samochody do domu.

Ponieważ Ranger nie był normalny, nie miałam pojęcia, dokąd zmierzamy.

Przejechałam w ślad za nim przez centrum miasta. Ruch był spory, a ludzie tłoczyli się na chodnikach. Ranger skręcił w Cameron i zatrzymał

się na małym strzeżonym parkingu. Znajdowaliśmy się o dwie przecznice od Stark, w dzielnicy siedzib urzędów. Zdecydowanie nie było to osiedle mieszkalne.

Ranger wysiadł z samochodu i zamienił słówko ze stróżem, który skinął głową i uśmiechnął się przyjacielsko. Znali się.

Zaparkowałam za BMW i podeszłam do Rangera.

- Zostawiamy tu samochody?

- Benny się tym zajmie, a ja sprawdzę pocztę. Rozejrzałam się.

- Mieszkasz tutaj?

- Mam biuro - wyjaśnił Ranger i wskazał na trzypiętrowy ceglany budynek obok parkingu.

- Masz biuro?

- Nic nadzwyczajnego. Tylko po to, żebym mógł prowadzić interesy.

Weszłam z nim przez podwójne szklane drzwi do westybulu. Po lewej stronie znajdowały się dwie windy. Na ścianie obok wisiała lista lokatorów. Przejrzałam ją i nie znalazłam nazwiska Rangera.

- Nie ma cię na liście - wytknęłam.

Ranger minął windy i skierował się ku schodom.

- To niepotrzebne. Podreptałam za nim.

- O jakich interesach mówiłeś?

- Przeważnie związanych z bezpieczeństwem. Ochrona osobista, usuwanie śmieci, porady. I ściganie zbiegów, naturalnie.

Obeszliśmy parter i zaczęliśmy się wspinać na pierwsze piętro.

- Co to jest usuwanie śmieci?

- Czasami właściciel domu chce go oczyścić. Ja organizuję zespół, który się tym zajmuje.

- Na przykład wyrzucaniem handlarzy narkotyków przed okno?

Ranger minął pierwsze piętro i szedł dalej. Pokręcił głową.

- Tylko na niższych piętrach. Na wyższych to bez sensu, robi się za dużo brudu na chodniku.

Otworzył drzwi prowadzące na drugie piętro i zaprowadził mnie do lokalu numer 311. Przeciągnął magnetyczną kartą przez szczelinę, otworzył drzwi i włączył światło. Biuro składało się z jednego pokoju o dwóch oknach i małej toalety. Beżowy dywan, kremowe ściany, żaluzje.

Meble ograniczone do wielkiego biurka z wiśniowego drewna i czarnego skórzanego dyrektorskiego fotela, a także dwóch krzeseł dla klientów.

Brak stojaka z bronią pod ścianą. Ani śladu granatów. Laptop na biurku.

Modem podłączony do linii telefonicznej. A także kilkuliniowy telefon i automatyczna sekretarka. Wszystko posprzątane. Odkurzone. Nie widać pustych puszek ani pudełek po pizzy. Dzięki Bogu, nie widać też ani jednego trupa.

Ranger podniósł korespondencję, wrzuconą przez otwór w drzwiach. Podzielił ją na dwie kupki -

śmieci i resztę. Śmieci wyrzucił do kosza. Reszta została odłożona na później. Podejrzewam, że nie było tam żadnych pilnych wiadomości.

Czerwone światelko automatycznej sekretarki migotało jak wściekłe. Ranger otworzył ją i wyjął taśmę. Włożył ją do kieszeni koszuli, a na jej miejscu umieścił czystą, którą wziął z szuflady biurka.

Podejrzewam, że i na kasecie nie było żadnych pilnych wiadomości.

Zerknęłam do umywalni. Bardzo czysta. Mydło. Papierowe ręczniki.

Pudełko chusteczek higienicznych. Nic osobistego.

- Spędzasz tu dużo czasu? - spytałam.

- Tyle, ile muszę.

Czekałam na rozwinięcie tematu, ale się nie doczekałam. Byłam ciekawa, czy teraz, kiedy Ranger odzyskał swoje BMW, dalej jest zainteresowany odnalezieniem Mo.

- Czujesz potrzebę zemsty? - zagadnęłam go. - Chcesz bronić sprawiedliwości?

- Znowu masz go dla siebie, jeśli o to ci chodzi. Zgasił światło i otworzył drzwi.

- Czy pani Steeger powiedziała coś istotnego?

- Mo przyszedł koło dziewiątej. Powiedział, że pożyczył od kogoś samochód i że zostawił go w garażu do czasu, kiedy właściciel zjawi się, żeby go odebrać. Dał jej klucz.

- To wszystko?

- Wszystko.

- Może powinnam z nią porozmawiać.

Wiedziałam, że to nic pewnego, ale Mo mógł się pojawić, żeby odebrać klucz. Albo przynajmniej sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nie paliłam się specjalnie do spotkania z panią Steeger, ale mogłam ją skłonić do zaaranżowania spotkania albo chociaż rozmowy telefonicznej pomiędzy mną a Mo, a to było warte moich cierpień.

Ranger sprawdził, czy drzwi są zamknięte.

- Wyjaśnisz jej, że kryminalna kariera Mo stoi pod znakiem zapytania, a ona powinna dać ci jego numer? Dzięki czemu zapewnisz mu bezpieczną podróż do państwowego uzdrowiska?

- Pomyślałam, że to może się udać.

- Jak najbardziej. Ze mną nie chciała o tym rozmawiać, ale może tobie się uda. Biegamy jutro?

- Chciałabym, ale porobiły mi się pęcherze. Ranger wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca.

Rozdział 13

Doszłam do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli będę wyglądać profesjonalnie, więc ubrałam się w szyty na miarę czarny kostium, białą jedwabną bluzkę, jedwabną apaszkę w tygrysi wzorek, beżowe pończochy i szpilki. Może nie jestem najlepsza z matematyki, ale ubrać się umiem.

Upowiedziałam telefonicznie panią Steeger, że do niej wpadnę. Przez parę minut pracowałam nad nastawieniem. Jestem dorosła. Jestem profesjonalistką. I cholernie mi do twarzy w tym czarnym kostiumie. Nie mogę się tak ciągle bać pani Steeger. Kiedy skończyły mi się argumenty, nabiłam trzydziestkę ósemkę i schowałam ją do torebki. Nie ma to jak dobre kopyto, najlepszy przyjaciel dziewczyny.

Zaparkowałam na Ferris Street, wysiadłam i popłynęłam ku drzwiom pani Steeger. Zapukałam władczo i cofnęłam się o krok.

Pani Steeger otworzyła i obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Masz broń? Nie wpuszczę cię, jeśli masz broń.

- Nie mam - oznajmiłam. Kłamstwo numer jeden. Doszłam do wniosku, że mogę kłamać, ponieważ pani Steeger tego oczekuje. Pewnie byłaby rozczarowana, gdybym powiedziała prawdę. A ja nigdy w życiu nie chciałam jej rozczarować.

Zaprowadziła mnie do salonu, usiadła w klubowym fotelu i wskazała mi miejsce po drugiej stronie stolika.

Pokój był obłędnie czysty; dotarło do mnie, że pani Steeger ciągle jest pełna energii, a nie mając nic do roboty, w kółko sprząta i froteruje.

W oknach wisały białe firaneczki i sute kwieciste zasłony. Masywne meble. Dywany w praktycznych ciemnych kolorach. Mahoniowe stoliki, bujany fotel z ciemnego wiśniowego drewna. Dwie białe patery w kształcie łabędzi, ustawione obok siebie na stoliku. Patery na orzechy bez orzechów. Odniosłam wrażenie, że pani Steeger nie potrzebuje towarzystwa.

Siedziała przez chwilę nieruchomo; prawdopodobnie zastanawiała się, czy naprawdę musi mi zaproponować coś do picia. Wybawiłam ją z kłopotu, bezzwłocznie rozpoczynając występ. Podkreśliłam, że Mo znajduje się w niebezpieczeństwie. Zakłócił spokój handlarzy narkotyków i nie wszyscy są z tego powodu zadowoleni. Niezadowoleni są krewni zmarłych. Niezadowoleni są szefowie narkotykowych mafii.

Niezadowoleni są narkomani.

- A Mo nie jest profesjonalistą - dodałam z żalem. - Nie jest zawodowym zabójcą.

A kiedy to mówiłam, słyszałam cichy głosik: osiem trupów! Ile jeszcze trzeba, żeby stać się

profesjonalistą?

Wstałam i podałam jej wizytówkę, zanim zdołała zadać mi pytanie o stolice stanów albo o wypracowanie na temat Johna Quincy Adamsa.

Pani Steeger wzięła wizytówkę w dwa palce. Jakby bała się zarazić trądem.

- Czego właściwie się po mnie spodziewasz?

- Chciałabym porozmawiać z Mo. Może mogę coś zrobić. Pomóc mu, zanim coś mu się stanie.

- Chcesz, żeby do ciebie zadzwonił.

- Tak.

- Jeśli się do mnie odezwie, przekażę mu twoją prośbę.

Wyciągnęłam do niej rękę.

- Dziękuję. Koniec wizyty.

Żadna z nas nie wspomniała o incydencie w sklepie. Ten temat wykraczał poza strefę bezpieczeństwa. Pani Steeger nie odkryła, że kłamałam w sprawie broni i nie zagroziła, że wyśle mnie do dyrektora, więc uznałam, że sesja zakończyła się oszałamiającym sukcesem.

Doszłam do wniosku, że nie zaszkodzi jeszcze raz odwiedzić sąsiadów. Na szczęście teraz, kiedy w piwnicy Mo znaleziono zwłoki, atmosfera nieco zelżała.

Wydawało mi się, że najlepiej zacząć od Dorothy Rostowski.

Zapukałam i czekałam. Dzieci krzyczały w głębi domu.

Dorothy otworzyła drzwi trzymając w ręce łyżkę.

- Robię kolację - powiedziała. - Chcesz wejść?

- Dzięki, ale nie mam czasu. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że ciągle szukam Mo Bedemiera.

Poczułam, że atmosfera wyraźnie się zmienia. Mąż Dorothy stanął u jej boku.

- W naszej dzielnicy jest wiele osób, które nie chciałyby, żebyś znalazła Mo - powiedział.

Żołądek ścisnął mi się nieprzyjemnie. Przez jedną mrozącą w żyłach krew chwilę byłam pewna, że Rostowski wyjmie pistolet albo nóż, albo zapali papierosa i zacznie mi grozić. Przypomniał mi się telefon, który zwabił mnie do sklepu Mo. Czy rozpoznałabym głos Dorothy? Czy rozpoznałabym głos Joyce, siostrzenicy pani Molinowsky, albo Loretty Beeber, albo mojej kuzynki Marjorie? I kim byli ci faceci, którzy mnie przypalali i pewnie mogli mnie zabić? Ojcami rodzin? Moimi sąsiadami?

Kolegami ze szkoły? Może jednym z nich był mąż Dorothy?

- Chcielibyśmy, żeby się to już skończyło, żeby Mo mógł wrócić i otworzyć sklep - powiedziała Dorothy. - Dzieci tęsknią za nim. Chyba nie udało mi się ukryć zdumienia.

- Mo jest podejrzany o zamordowanie ośmiu mężczyzn!

- Handlarzy narkotyków - powiedziała Dorothy.

- To jeszcze nie znaczy, że jest w porządku.

- Jest bardziej niż w porządku. Powinien dostać medal.

- Nie wolno zabijać ludzi.

Dorothy wbiła spojrzenie w podłogę; studiowała plamę tuż przed swoją stopą.

- Teoretycznie wiem, że to prawda, ale mam już dość narkotyków i zbrodni. Jeśli Mo chce wziąć sprawy we własne ręce, nie zamierzam wchodzić mu w drogę.

- Pewnie nie zawiadomisz mnie, jeśli Mo się znów pojawi?

- Chyba nie - mruknęła Dorothy. Unikała mojego wzroku. Poszłam do pani Bartle z naprzeciwka.

Czekała na mnie w drzwiach, z rękami splecionymi na piersi.

Niezbyt dobry znak, pomyślałam i omal nie zawróciłam.

- Chodzi o Mo? - spytała. - Bo chcę ci od razu powiedzieć, że gdyby kandydował na prezydenta, poszłabym oddać na niego głos. Pora, żeby ktoś zajął się problemem narkotyków w tym kraju.

- Jest podejrzany o zamordowanie ośmiu mężczyzn!

- Szkoda, że tylko tyłu. Trzeba się pozbyć wszystkich śmieci.

Po drodze do domu wstąpiłam do biura, żeby zobaczyć się z Connie i Lula. Connie siedziała za biurkiem, Lula leżała na kanapie bez życia.

- Miała trudny ranek - wyjaśniłam Connie. - Biegała z Rangerem i ze mną. I kurczak oblał ją keczupem.

- Tak, słyszałam.

Lula otworzyła jedno oko.

- Hmmmmmm.

Otworzyła drugie i przyjrzała się mojemu kostiumowi.

- Po co się tak ubrałaś?

- Musiałam. To kamuflaż.

- Jak ci idzie szukanie Mo? - spytała Connie.

- Idzie. Ranger odzyskał samochód.

Ta wiadomość podniosła Lulę z kanapy.

- Co proszę?

Opowiedziałam im o dwóch wizytach u pani Steeger. A potem o biurze Rangera.

- Sama widzisz - powiedziała Lula tryumfalnie. - Całkiem jak Bruce Wayne. Bruce Wayne miał własny gabinet.

Connie rzuciła Luli jedno ze swoich spojrzeń typu: „o czym do cholery się tu mówi”, więc Lula wyjaśniła jej swoją teorię o Rangerze jako superbohaterze.

- Po pierwsze - oznajmiła Connie - Bruce Wayne to Barman, a Batman nie jest superbohaterem. Batman to neurotyk w gumowym kombinezonie. Żeby zostać superbohaterem, trzeba pochodzić z innej planety.

- Batman ma własny komiks - zaprotestowała Lula. Logika tego argumentu nie powaliła Connie na kolana.

- Kaczor Donald też ma własny komiks. Czy przez to jest superbohaterem?

- Jak wygląda to biuro? - zmieniła temat Lula. - Ma sekretarkę?

- Nie, to jednoosobowy gabinet z biurkiem i paroma krzesłami.

- Powinnyśmy tam pojechać i trochę powęszyć. Może coś znajdziemy.

Osoba węsząca na prywatnym terenie Rangera musiałaby mieć skłonności samobójcze.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziałam. - Po pierwsze by nas pozabijał, a poza tym tak się nie robi. Ranger nie jest wrogiem.

- Tak naprawdę nie uważasz, że Ranger jest superbohaterem -

oznajmiła Connie.

- Uważasz, że to fajny towar.

- No pewnie - przyznała się Lula bez oporów. - Ale to nie znaczy, że czegoś nie ukrywa. Ten człowiek ma tajemnice, mówię wam.

Connie pochyliła się ku niej i zniżyła głos.

- To może oznaczać wiele rzeczy. Na przykład może być ścigany za morderstwo w dwunastu stanach i przybrał nową osobowość. Albo lepiej... może być gejem.

- Nie chcę o tym słyszeć - zachnęła się Lula. - Wszystkie fajne towary to geje, a śmierdzący, obłachani faceci są hetero. Jeśli się dowiem, że Ranger jest gejem, zamknę się w chłodni w supermarkecie.

Obie pokiwałyśmy głową ze współczuciem. Niegdyś cierpiałam, bo Joyce Barnhardt odbijała mi chłopaków. Teraz odbija mi ich jej brat Kevin.

Ranger ciekawił także mnie, ale nie aż tak, jak Lulę. Miałam przed sobą inny cel. Musiałam znaleźć Mo, odebrać mój samochód, rozgryźć, dlaczego Joe Morelli nagle przestał się mną interesować. Byłam pewna, że nie przez brak chromosomów Y.

Powędrowałam do domu rodziców, zwlokłam ojca z fotela i pojechałam z nim do warsztatu.

Ojciec nie odzywał się przez całą drogę, ale jego myśli aż wibrowały w całym samochodzie.

- Wiem - powiedziałam wreszcie wrogo. - Nie byłoby tyle kłopotów, gdybym kupiła buicka.

Nissan czekał na mnie na parkingu. Oboje przyjrzelśmy się mu podejrzliwie.

- Mam zaczekać? - spytał ojciec.

- Niekoniecznie.

Ojciec odjechał. Już to przerabialiśmy.

Ernie, kierownik warsztatu, czekał w małym kantorku przy magazynie. Na mój widok wyszedł zza kontuaru, zdjął z haczyka w ścianie kluczyki i wręczył mi je razem z rachunkiem.

- Czarus mowił pani o gaźniku?

- Tak.

Ernie uśmiechnął się do mnie.

- Nasi klienci muszą być zadowoleni. Nie chciałbym, żeby pani odjechała, nie usłyszawszy wyjaśnienia.

Byłam strasznie zadowolona. Byłam tak zadowolona, że omal nie popełniłam samobójstwa. Gdybym miała jeszcze raz porozmawiać z Czarusiem, pewnie poderznęłabym sobie gardło.

- Spieszę się - mruknęłam i podałam Erniemu kartę kredytową.

Kolejne kłamstwo. Nie miałam absolutnie nic do roboty.

Gdybym była takim wspaniałym wywiadowcą, postawiłabym furgonetkę przed sklepem Mo i poobserwowałabym panią Steeger. Nie jestem wspaniałym wywiadowcą, bardzo mi przykro. Nie mam furgonetki. Nie stać mnie na nią. A ponieważ wszyscy w Miasteczku są wścibscy, furgonetka i tak by pewnie nie zdała egzaminu.

Dla draki pojechałam do Morellego. Tak sobie, żeby przetestować samochód. Wóz Morellego stał przy krawężniku, a w oknach paliło się światło. Zatrzymałam się, wyłączyłam silnik. Przyjrzałam się sobie we wstecznym lusterku. Kiedy się ma pomarańczowe włosy, lepiej pokazywać się wyłącznie w nocy.

- A co tam - powiedziałam sobie.

Zapukałam do drzwi, a moje serce zaczęło wyprawiać dziwne trzepoty. Morelli otworzył drzwi, spojrzał na mnie i skrzywił się okropnie.

- Jeśli masz w samochodzie jakiegoś trupa, nie chcę o tym słyszeć.

- To wizyta towarzyska.

- Jeszcze gorzej.

Trzepoty od razu mi minęły.

- Co to ma znaczyć?

- Nic. Zapomnij. Strasznie zmarzłaś. Gdzie masz płaszcz? Weszłam do środka.

- Nie mam płaszcza. Kiedy wyszłam z domu po południu, było o wiele cieplej.

Poszłam za nim do kuchni. Podał mi szklankę z bursztynowym płynem.

- Masz. Najszybszy sposób na rozgrzewkę. Powąchałam zawartość szklanki.

- Co to?

- Bimber. Wujek Lou pędził w piwnicy. Spróbowałam i język mi zdrętwiał.

- No, nie wiem... Morelli uniósł brew.

- Tchórzysz?

- Nie widziałam, żebyś ty to pił.

Morelli odebrał mi szklankę i wypił jednym haustem. Ponownie ją napełnił i podał mi.

- Twoja kolej.

- Nasze kawalerskie - powiedziałam i golnęłam sobie.

- No i? - spytał Morelli. - Co sądzisz?

Przez dłuższy czas tylko kaszlałam i ziajałam z wywieszonym językiem. W gardle mnie paliło, bimber przeżerał żołądek na wylot i docierał do każdego kawałeczka ciała. Skóra pod włosami zaczęła mi się pocić.

- Nieźle - wykrztusiłam wreszcie.

- Chcesz jeszcze? Uniosłam rękę.

- Może później.

- Dlaczego się tak ubrałaś?

Opowiedziałam mu o samochodzie Rangera i mojej drugiej wyprawie do pani Steeger. A także o rozmowie z Dorothy Rostowski i panią Bartle.

- Ludzie mają źle w głowie - powiedział Morelli. - Wszyscy to wariaci.

- Więc dlaczego nie chcesz, żebym przychodziła z wizytą towarzyską?

- Nieważne.

- Chodzi o włosy, tak?

- Nie, to nie włosy.

- Ożeniłeś się w tajemnicy?

- Nie zrobiłem nic w tajemnicy.

- No to co jest? Co to jest?

- Ty. Jesteś chodzącą katastrofą. Trzeba być totalnym masochistą, żeby się tobą interesować.

- Aha. Może się jednak napiję.

Morelli nalał dwie szklanki i osuszyliśmy je jednym haustem. Tym razem było łatwiej. Mniej ognia. Więcej blasku.

- Nie jestem chodzącą katastrofą - oświadczyłam. - Nie pojmuję, dlaczego tak uważasz.

- Za każdym razem, jak się z tobą zaprzyjaźniam, kończy się tak, że stoję goły na środku ulicy.

Przewróciłam oczami.

- To się wydarzyło raptem raz... i nie byłeś goły. Miałeś skarpetki i koszulę.

- To była przenośnia. Skoro chcesz konkretów, co powiesz na to, jak zamknęłaś mnie w chłodni z trzema trupami? A wtedy, kiedy przejechałaś po mnie buickiem?

- Pewnie, teraz znowu wyciągasz buicka! Pokręcił głową z niesmakiem.

- Jesteś niemożliwa. Nie zasługujesz na taki wysiłek. Chwyciłam go za podkoszulek i przyciągnęłam do siebie.

- Nawet w najdzikszych snach nie spodziewasz się, jaka potrafię być niemożliwa. Staliśmy pierś w pierś, patrząc sobie w oczy.

- Wypiję za to - mruknął Morelli.

Trzecia szklaneczka przeszła gładko jak po maśle. Oddałam Morellemu pustą szklanekę i oblizałam wargi.

Przyjrzał się moim ustom, oczy mu pociemniały, a oddech zwolnił.

Mam cię! pomyślałam. Ciągłe jest tak samo. Stara sztuczka działa.

- Niech cię diabli - odezwał się Morelli. - Zrobiłaś to umyślnie.

Uśmiechnęłam się. On też się uśmiechnął.

Miał bardzo zadowoloną minę. Jak kot, który zeżarł kanarka. Jak...

kiedyś. Potem przysunął się, wziął moją twarz w obie dłonie i pocałował

mnie.

Pocałunki stały się coraz gorętsze i mnie zrobiło się goręcej, a Morellemu chyba też. I wkrótce było nam tak gorąco, że musieliśmy się trochę rozebrać.

Byliśmy na wpół nadzy, kiedy Morelli zaproponował, żebyśmy poszli na górę.

- Mmmm - powiedziałam z przymkniętymi powiekami. - Za kogo ty mnie uważasz?

Morelli wyjaśnił to półgłosem i zdjął mi stanik. Przykrył dłońmi moje nagie piersi, przesunął palcami po sutkach.

- Tak dobrze? - spytał, koncentrując się na jednej piersi.

Zacisnęłam usta, żeby nie wbić mu zębów w ramię. Wypróbował

inną wariację manewru.

- A tak?

O tak. Tak też.

Pocałował mnie znowu i nagle znaleźliśmy się na podłodze i szarpaliśmy się z suwakami i rajstopami.

Zatoczył palcami kółeczko na moich jedwabnych koronkowych majtkach, dokładnie nad punktem zero. Mózg mi się wyłączył, a całe ciało powiedziało: TAK!

Morelli pochylił się i powtórzył zabieg, tym razem językiem, i znowu znalazł właściwe miejsce bez pomocy w postaci mapy skarbów albo szczegółowych instrukcji.

Oto prawdziwy superbohater.

Już miałam zacząć śpiewać alleluja, kiedy za oknem coś ze szczękiem zleciało na ziemię. Morelli podniósł głowę. Rozległy się jakieś szelesty; Morelli był już na nogach i wciągał spodnie. Otworzył drzwi, trzymając w ręku broń.

Stałam tuż za nim, z koszulą zapiętą na jeden guzik. Moje rajstopy wisiały na krześle, ale broń miałam w pogotowiu.

- Co to? - spytałam. Pokręcił głową.

- Nic nie widzę.

- Koty?

- Może. Śmietnik jest przewrócony. Może to pies sąsiadów.

Przytrzymałam się ściany.

- Oho.

- Co: oho?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale podłoga się rusza. Albo mamy trzęsienie ziemi, albo się upiłam.

- Trzema kolejkami?

- Nie mam mocnej głowy. I nie jadłam kolacji.

Wydawało mi się, że mój głos rozlega się w metalowej beczce, bardzo daleko stąd.

- O rety - powiedział Morelli. - Jak bardzo jesteś pijana?

Zamrugałam i spojrzałam na niego. Miał dwa nosy. Bardzo nie lubię takich sytuacji.

- Masz dwa nosy.

- To nie jest dobry znak.

- Chyba wrócę już do domu - oświadczyłam i zwymiotowałam.

Obudziłam się z potworną migreną. Język przywarł mi na stałe do podniebienia. Miałam na sobie flanelową koszulę, ale nie pamiętałam, kiedy ją włożyłam. Tym razem byłam pewna, że jestem sama, choć od chwili wypicia trzeciej kolejki moje wspomnienia straciły klarowność.

Pamiętałam tylko, że czar Morellego jeszcze raz zdołał mnie zwieść.

I byłam pewna, że Morelli też wpadł.

Okazał się bardzo rozsądny i dopilnował, żebym wytrzeźwiała.

Przebiegliśmy parę kilometrów na zimnym powietrzu. Wlał we mnie litr kawy, nakarmił jajecznicą i tostami, a potem odwiózł do domu. Postawił

mnie przed drzwiami i chyba pożegnaliśmy się, zanim ubrałam się w koszulę.

Poczołgałam się do kuchni, nastawiłam kawę i popiłam nią aspirynę. Wzięłam prysznic, wypiłam szklankę pomarańczowego soku, trzy razy umyłam zęby. Zerknęłam na swoje odbicie i jęknęłam. Czarne sińce pod przekrwionymi oczami, zielonkawa cera. Niezbyt czarowny obrazek.

- Stephanie - powiedziałam do siebie. - Nie umiesz pić.

Migrena zniknęła późnym rankiem. W południe poczułam się niemal jak ludzka istota. Powędrowałam do kuchni i właśnie stałam przed lodówką, kontemplując powstawanie nowego wszechświata w szufladzie z serami, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

Pierwszą myślą było, że to Morelli. Drugą, że zdecydowanie nie mam ochoty z nim rozmawiać. Niech pogada z sekretarką.

- Wiem, że tam jesteś - powiedział Morelli. - Mogłabyś odebrać.

Wiesz, że wcześniej czy później musimy pogadać. Lepiej później.

- Mam wiadomości o prawniku Mo. Złapałam słuchawkę w ułamku sekundy.

- No?

- To ci się spodoba - oznajmił Morelli z satysfakcją.

Zamknęłam oczy. Miałam bardzo złe przeczucia co do tożsamości tego prawnika.

- Nie mów.

Poczułam, że Morelli uśmiecha się po drugiej stronie.

- Dickie Orr.

Dickie Orr. Mój były mąż. Głupi łachmyta. To prawdziwy cios dla mojego umysłu w dniu, w którym i tak nie szło mu najlepiej.

Dickie ukończył studia prawnicze w Newark. Pracował dla firmy Kriener i Kriener w budynku Shumana, a braki talentu rekompensował

twórczym podejściem do obdzierania klientów ze skóry. Zyskał sobie sławę młodego rekina. Podejrzewam, że raczej ze względu na gigantyczne honoraria, niż na rzeczywiste osiągnięcia. Ludzie chcą wierzyć, że dostają to, za co płacą.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Jakieś dziesięć minut temu.

- Czy Mo zgłosił się na policję?

- Zastanawia się nad tym. Chyba zamierza z nami pertraktować.

- Jest podejrzany o zamordowanie ośmiu facetów. Jakich pertraktacji się spodziewa? Życzy sobie homara co piątek w celi śmierci?

Wygrzebałam z kredensu pudełko płatków Misia Eryka i wypchałam sobie usta.

- Co jesz? - chciał wiedzieć Morelli.

- Płatki z lukrem.

- To dla dzieci!

- Czego chce Mo?

- Nie wiem. Pójdę porozmawiać z Dickiem. Może chciałabyś się przyłączyć? Zjadłam następną garść płatków.

- Chcesz coś w zamian?

- Zawsze chcę coś w zamian. Spotkamy się za pół godziny w kawiarni w budynku Shumana.

Zastanowiłam się nad stanem moich włosów.

- Mogę się spóźnić.

- Zaczekam.

Do budynku Shumana miałam dziesięć minut drogi przy sprzyjających światłach. Fryzura i makijaż zajmą mi przynajmniej dwadzieścia minut. Jeśli włożę czapkę, mogę sobie darować fryzurę, a to mi ograniczy czas o połowę.

Wyszłam nawet wcześniej, niż zamierzałam. Brązowy eyeliner, brązowy cień, naturalny błyszczek i kilogram czarnej mascary.

Zasadniczym elementem makijażu dla skacowanej kobiety jest zielony korektor na sińce pod oczami oraz gruba warstwa podkładu. Włożyłam czapkę Rangersów, ale wianuszek pomarańczowych kędziorków i tak otaczał mi twarz niczym aureola. Ania z Zielonego Wzgórza, szlag by to trafił. Zatrzymałam się na światłach przy Hamilton i Dwunastej i zauważyłam, że silnik jakoś dziwnie pracuje. Dwie przecznice dalej strzelił i zgasł. W ten sposób zajechałam do centrum miasta. Piii, piii, piii, ŁOMOT! Pii, pii, pii, ŁOMOT!

Obok mnie zatrzymał się autokar z licealistami. Jeden smarkacz wystawił głowę przez okno.

- E, proszę pani! - zawołał. - Gdzie się kupuje takie prukawki?

Pokazałam mu włoski gest dobrej woli i nasunęłam czapkę głęboko na oczy. Znalazłam wolne miejsce na parkingu przed budynkiem Shumana, przycisnęłam gaz do dechy, wcisnęłam sprzęgło i wjechałam na parking chyba samą siłą woli. Nissan wskoczył na krawężnik i uderzył

tyłem w parkometr. Zgrzytnęłam zębami. Stephanie Plum, niebezpieczna kobieta. Wsiadłam i oceeniłam szkody, Parkometr miał się dobrze.

Nissan miał wielkie wgniecenie w tylnym zderzaku. Świetnie. Teraz tył

pasuje do przodu. Mój samochodzik wyglądał, jakby ktoś go ścisnął

szczypcami.

Pogalopowałam do kawiarni, znalazłam Morellego i ruszyłam na niego. Musiałam mieć w oczach szaleństwo, bo wzdrygnął się i wykonał

gest charakterystyczny dla wszystkich zaniepokojonych policjantów -

sprawił, czy ma przy sobie broń.

Rzuciłam torbę na podłogę, a siebie na krzesło.

- Przysięgam na Boga, że nie chciałem cię upić - powiedział Morelli pośpiesznie. Zacisnęłam powieki.

- Yyych.

- No dobrze, chciałem. Ale nie chciałem cię upić aż tak.

- E tam. Uśmiechnął się.

- Masz inne problemy?

- Mój samochód jest nawiedzony przez złego ducha.

- Powinnaś zgłosić się do mojego mechanika.

- Masz dobrego?

- Najlepszego. Bucky Seidler. Pamiętasz go z liceum?

- Zawiesili go, bo wpuścił szczury do przebieralni dziewczyn.

- Aha. To on.

- Uspokoił się trochę?

- Skąd. Ale jest fantastycznym mechanikiem.

- Zastanowię się.

Morelli poszperał między grubym stosikiem wizytówek, które trzymał w portfelu.

- Jest - oznajmił i podał mi jedną z nich. - Pan Remoncik. Możesz ją zatrzymać.

- Bucky Seidler, właściciel.

- Aha. I nieustający szaleniec.

Zamówiłam colę i frytki. Morelli wziął colę i cheeseburgera. Kiedy kelnerka odeszła, oparłam łokcie na stole.

- Jak sądzisz, czy Mo ma jakiś argument przetargowy?

- Podobno twierdzi, że nikogo nie zabił.

- Współuczestnictwo w zbrodni to w Jersey to samo, co pociągnięcie za spust.

- Jeśli Mo będzie współpracować i da nam jakąś ważną informację...

- Morelli uniósł obie ręce.

Kelnerka postawiła przed nami talerze i wróciła z colą. Morelli podkradł mi jedną frytkę.

- Coś ty widziała w tym Dickiem Orrze?

Sama wielokrotnie zadawałam sobie to pytanie i nigdy nie znalazłam satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Miał fajny samochód - powiedziałam. Usta Morellego drgnęły w kącikach.

- To prawdziwa podstawa dobrego związku. Polałam frytki keczupem i zabrałam się do nich.

- Myślałeś kiedyś, żeby się ożenić?

- Pewnie.

- I?

- Z moich obserwacji wynika, że policjanci to fatalni mężowie.

Wobec tego muszę poślubić babę, której nie będę lubić, żebym nie czuł się jak bydlę, kiedy jej zmarnuję życie.

- Mówisz o kimś takim, jak ja?

Tym razem Morelli uśmiechnął się szeroko.

- Przyznaję to z przykrością, ale jakoś cię polubiłem. Jesteś poza konkurencją.

- Oż ty w życiu - mruknęłam. - A to ulga.

- Opowiedz mi o Dickiem. Wypiłam pół kubka coli.

- To jest twoja cena? Skinął głową.

- Widziałem go w sądzie. Nie znam go osobiście.

- A co o nim sądzisz?

- Ma dobrą fryzurę. Kiepskie krawaty. Wielkie ego. Mały fiutek.

- Mylisz się co do fiuta.

To wywołało kolejny uśmiech.

- Oszukuje na wszystkim, od urzędu podatkowego po klientów i swoje dziewczyny - powiedziałam.

- Coś jeszcze?

- Pewnie nie płaci za parkingi. Kiedyś pozwalał sobie na kokainę dla rozrywki. Nie wiem, może nadal to robi. Uwiódł żonę Mallory'ego.

Mallory jest mundurowym, znanym z ponadprzeciętnej ilości przypadkowych wypadków przy aresztowaniach. Niechętni do współpracy aresztowani mają zwyczaj spadania z wysokich schodów podczas służby Mallory'ego.

- Jesteś pewna co do żony Mallory'ego?
- Słyszałam od Mary Lou, która słyszała to w salonie piękności.
- Więc to prawda.
- Podejrzewam, że właśnie o takie sprawy ci chodziło?
- Nada się.

Skończył cheeseburgera, wypił colę i rzucił dziesiątaka na stół.

- Zamów sobie szarlotkę. Wróć, kiedy skończę z Dickiem.

Poderwało mnie z miejsca.

- Mówiłeś, że mnie ze sobą zabierzesz!
- Skłamałem.
- Świnia!

Rozdział 14

Uraza, jaką zaprezentowałam, była w dużej mierze udawana. Tak naprawdę nie spodziewałam się, że Morelli pozwoli mi uczestniczyć w spotkaniu z Dickiem. Dickie nigdy w życiu nie puściłby pary z gęby, gdyby mnie zobaczył.

Zamówiłam sobie kokosanki i kawę bez kofeiny. Sala opustoszała, ponieważ zaczęły się godziny pracy. Przez dwadzieścia minut zajmowałam się ciastkami i kawą, a potem zapłaciłam. Morelli się nie pokazywał, a ja nie potrafiłam sobie wyobrazić długiej rozmowy z Dickiem, więc zaczęłam podejrzewać, że Morelli wystawił mnie do wiatru.

Nie pierwszy raz. Włożyłam kurtkę, wzięłam torbę i byłam już gotowa do wyjścia, kiedy wyłonił się zza rogu.

- Chciałam rozprostować nogi - wyjaśniłam.
- Musiałem zaczekać, aż Dickie skończy rozmowę.

Na ulicach szalał zimny wiatr. Oboje schowaliśmy głowy w kołnierzach.

- Coś nowego?
- Niewiele. Nie ma adresu ani telefonu Mo. Twierdzi, że to Mo do niego dzwoni.
- Dowiedziałaś się, czy Mo ma jakiś argument przetargowy?

- To informacja. Uniosłam brwi.
- Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Morelli znowu robił mnie w balona.
- Wielkie dzięki.
- Tylko tyle mogę zrobić.
- Nie stać cię na zbyt wiele, co?
- Zależy. - Uśmiechnął się. - Wczoraj tak nie sądziłaś.
- Byłam pijana.

Morelli chwycił mnie za kołnierz kurtki i przyciągnął do siebie.

- Pragnęłaś mnie.
- To był moment upadku.

Musnął moje wargi ustami.

- A co teraz? Czy teraz też przeżywasz moment upadku?
- Tak nisko już nigdy nie upadnę - oznajmiłam z wielką godnością.

Morelli pocałował mnie całkiem serio i puścił mój kołnierz.

- Muszę wracać do roboty - powiedział. Wsiadł do samochodu i odjechał, nie obejrzawszy się za mną.

Dopiero po chwili poczułam, że gapię się na odjeżdżający samochód z otwartymi ustami. Zamknęłam je z trzaskiem, wyszarpnęłam telefon i zadzwoniłam do Connie. Opowiedziałam jej o Mo i Dickiem i poprosiłam o rozmowę z Lula.

- Cześć, siostró - zgłosiła się Lula.
- No cześć. Jak leci?
- Powoli. Minęło już pół dnia, a tu ciągle ani jednego trupa.
- Mam dla ciebie zajęcie.
- O kurczę. Zaczyna się.
- Bez obaw. To łatwizna. Spotkajmy się przy wejściu do budynku Shumana.
- Teraz?

- Teraz.

Po dwudziestu minutach stałyśmy obie w windzie.

- Co się dzieje? - chciała wiedzieć Lula. - Co tu robimy? Wcisnęłam guzik oznaczony dwójką.

- Mo wynajął sobie adwokata. Nazywa się Dickie Orr i jedziemy, żeby z nim porozmawiać.

- Dobrze, ale co ja tu robię? Czy ten gość jest niebezpieczny?

- Nie. Dickie Orr nie jest niebezpieczny. To ja jestem niebezpieczna.

Dickie Orr to mój były mąż, a ty masz mnie pilnować, żebym go nie udusiła.

Lula gwizdnęła.

- Ale zabawa.

Biura Kriener i Kriener znajdują się na końcu korytarza. Na drzwiach widnieją cztery nazwiska wypisane złotymi literami. Harvey Kriener, Harvey Kriener Junior, Steven Owen, Richard Orr.

- Dlaczego się rozstałaś z tym całym Orrem?

- Bo to palant.

- To wystarczy. Już go nienawidzę.

Kiedy wyszłam za Dickiego, pracował w biurze okręgowego obrońcy. Jego kariera trwała tylko nieco dłużej niż kariera ze mną.

Podejrzewam, że w obu przypadkach nie mógł wycisnąć odpowiedniej ilości pieniędzy. A kiedy znalazłam go z Joyce Barnhardt na stole w jadalni, narobiłam tyle hałasu, że mógł się pożegnać ze wszystkimi ambicjami politycznymi. Nasz rozwód był dokładnie taki, jaki powinien być rozwód... wściekły, głośny i pełen oskarżeń. Nasze małżeństwo trwało niespełna rok, ale legenda o rozwodzie będzie żyć w Miasteczku wiecznie.

Potem, kiedy nikt się już nie krępował moją obecnością, dowiedziałam się, że niewierność Dickiego rozciągała się daleko poza Joyce Barnhardt.

W czasie trwania naszego krótkiego związku udało mu się przelecieć połowę moich koleżanek z klasy.

Za drzwiami ze złotymi napisami znajdował się mały korytarzyk z dwiema kanapami i stolikiem, a także nowoczesne biurko recepcjonistki, wszystko w pastelowych kolorach. Powiew Kalifornii w Trenton. Kobieta za biurkiem prezentowała sobą najwyższą klasę. Bardzo szczupła.

Pastelowa sukienka. Ann Taylor od stóp do głów.

- Tak? - przemówiła słodko. - W czym mogę pomóc?

- Chciałabym pomówić z Richardem Orrem. - To na wypadek, gdyby kancelaria była zbyt wytworna dla gościa o imieniu Dickie. - Proszę mu powiedzieć, że przysłała Stephanie.

Kobieta przekazała wiadomość i skierowała mnie do gabinetu.

Drzwi były otwarte, a Dickie stał za biurkiem.

Patrzył na nas z łagodnym zdziwieniem... co rozpoznałam jako minę numer siedem. Dickie miał zwyczaj ćwiczenia min przed lustrem. A to? - pytał mnie. - Czy wyglądam szczerze? Czy wyglądam, jakbym był

przeżarty? Czy wyglądam, jakbym był zaskoczony?

Gabinet był duży i miał podwójne okno. Agent nieruchomości nazwałby go „budzącym szacunek”. Co oznaczało, że Dickie zaczął

zadawać się z wyższymi sferami. Na podłodze leżał czerwony orientalny dywan. Biurko było antykiem z litego mahoni. Dwa krzesła dla klientów miały wiśniową skórzaną tapicerkę i mosiężne gałki. Super męskie.

Brakowało tylko wiernego psa i trofeów myśliwskich. Wyjątkowo odpowiedni gabinet dla faceta z wielkim głupim fiutem.

- To Lula - oznajmiłam w ramach powitania i podeszłam bliżej. -

Pracujemy razem.

Dickie skłonił głowę.

- Witam cię.

- Ha - sapnęła Lula.

- Mam parę pytań odnośnie Mo - oznajmiłam. - Na przykład, kiedy zamierza zgłosić się na policję?

- To jeszcze nie zostało określone.

- Kiedy zostanie, proszę o informację. Teraz pracuję dla Vinniego, a Mo pogwałcił warunki umowy o wpłaceniu kaucji.

- Oczywiście - zapewnił mnie Dickie. Co było równoznaczne z „po moim trupie”. Usiadłam na krześle i rozparłam się w nim wygodnie.

- Rozumiem, że Mo prowadzi rozmowy z policją. Chcę wiedzieć, co ma jako argument przetargowy.

- To informacja zastrzeżona.

Kątem oka zauważyłam, że Lula przekształca się w Kobietę Nosorożca.

- Nie znoszę tajemnic - oznajmiła.

Dickie obejrzał ją sobie, a potem spojrział na mnie.

- Żartujesz, co? Uśmiechnęłam się.

- A co do Mo...

- Nie zamierzam z tobą rozmawiać o Mo. Będziesz musiała mi wybaczyć. Za pięć minut mam spotkanie i muszę się przygotować.

- Może bym go postrzeliła? - zaproponowała Lula. - Zakładam się, że jak mu odstrzelę stopę, od razu zaczniesz rozmawiać.

- Nie tutaj - powiedziałam. - Za dużo ludzi. Lula naburmuszyła się jak dziecko.

- To pewnie nie będę mu mogła powybić zębów?

- Może później.

Lula położyła rękę na biurku Dickiego.

- Znam parę rzeczy, które mogę zrobić mężczyźnie. Pewnie byś się porzygał, gdybym ci o nich opowiedziała.

Dickie cofnął się ze wstrętem.

- To ma być żart, tak? Wynajęłaś ją z jakiejś mordowni?

- Z mordowni? - powtórzyła Lula i zrobiła wielkie oczy. -

Wypraszam sobie, ty kozi bobku. Jestem w trakcie kursu na łowcę nagród. Nie bywam w mordowniach. I nikt ze mnie nie żartuje. To z ciebie będzie można się pośmiać. Znasz takie powiedzenie: idź się pieprzyć? Chętnie stworzę ci taką możliwość.

Wstałam z uśmiechem, ponieważ Dickie poblądł pod opalenizną spod kwarcówki.

- Teraz już sobie pójdziemy - oznajmiłam. - To chyba nie jest najlepsze miejsce na omawianie interesów. Może spotkamy się w innych okolicznościach i wtedy podzielisz się z nami informacjami.

Dickie miał bardzo dziwną minę. Nie widziałam, żeby kiedykolwiek ćwiczył ją przed lustrem.

- Grozisz mi?

- A skąd - powiedziała Lula ze słodyczą. - Czy my wyglądamy na kobiety zdolne zagrozić mężczyźnie? Nie wydaje mi się. Nie sędzę, żebym była kobietą, która by groziła takiemu parszywemu zgniłkowi.

Nie wiem, czego się właściwie spodziewałam po tym spotkaniu, ale teraz poczułam, że opłacało się wysilić.

- Zdaje się, że dobrze nam poszło - oznajmiłam, kiedy znalazłyśmy się w windzie.

- Mnie też się tak zdaje. Jeszcze jakieś rozrywki?

- Nie.

- Fajnie. Popołudnie mam zajęte. Wyjęłam kluczyki.

- Dobrej zabawy. I dzięki za wsparcie.

- To na razie.

Przejechałam jedną przecnicę i stanęłam na światłach. Nissan strzelił i zgasł. Tylko spokojnie, powiedziałam sobie. Podwyższone ciśnienie krwi prowadzi do wylewu. Ciotka Eleanor miała wylew i to nic przyjemnego. Do wszystkich mówiła Tootsie i malowała sobie włosy szminką.

Ponownie uruchomiłam silnik i dodałam gazu. Kiedy światła zmieniły się, ruszyłam przed siebie przy akompaniamencie kolejnego wystrzału. ŁOMOT! Wyjęłam wizytówkę, którą dał mi Morelli i odczytałam adres. Pan Remoncik miał swoją siedzibę na Osiemnastej, tuż za fabryką guzików.

- Daję ci ostatnią szansę - powiedziałam do nissana. - Albo weźmiesz się w garść, albo zabiorę cię do Bucky'ego Seidlera.

Za chwilę nissan znowu zgasł. Potraktowałam to jako znak, zawróciłam i pojechałam na Osiemnastą. Morelli okłamuje mnie regularnie, ale nigdy w sprawie mechaniki. Mechanikę traktuje poważnie.

A więc, niech Bucky spróbuje szczęścia. Jeśli mu się nie uda, zepchnę nissana z mostu.

Osiemnasta to przemysłowa dzielnica Trenton, która czasy świetności od dawna ma za sobą. Warsztat Bucky'ego mieści się w betonowym budynku, osadzonym niczym wyspa pośrodku morza samochodów. Nowych, starych, rozbitych, zardzewiałych i takich, które służą już tylko jako dawcy organów. Drzwi garażu były otwarte. Pod samochodem na kanale stał facet w dżinsach i ocieplanym podkoszulku.

Przyjrzał się mi, kiedy z rżeniem doczołgałam się do najbliższego wolnego miejsca. Wylał ręce szmatą i podszedł do mnie. Miał włosy obcięte na jeża i brzusek świadczący o zamiłowaniu do piwka. Nie widziałam go od dawna, ale od razu wiedziałam, że to Bucky. Robił

wrażenie człowieka, który podłożył szczura niejednej kobiecie.

Zajrzał do samochodu przez okno.

- Stephanie Plum - powiedział z uśmiechem. - Nie widzieliśmy się od liceum.

- Dziwię się, że mnie rozpoznałeś.

- Te pomarańczowe włosy zmyliły mnie na chwilę, ale potem przypomniałem sobie ciebie z fotografii w gazecie, pamiętasz, jak spaliłaś dom pogrzebowy.

- Nie spaliłam domu pogrzebowego. To pomyłka drukarska.

- Szkoda. Fajnie by było. Zdaje się, że masz kłopoty.

- Samochód mi gaśnie. Joe Morelli poradził mi, żebym do ciebie przyszła. Powiedział, że jesteś dobry.

- Tobie też wystawił dobrą opinię. Przeczytałem ją na ścianie kibla w sklepie Mario dziesięć lat temu i do dziś pamiętam każde słowo.

- W torbie mam rewolwer.

- Głównie interesuje mnie MasterCard. Westchnęłam.

- To też mam.

- No - powiedział Bucky rzeško. - To bierzmy się do roboty.

Streściłam mu rzewną historię choroby nissana.

Bucky kazał mi włączyć silnik, a sam zajrzał pod maskę.

- W porządku - oznajmił. - Byłem, widziałem.

- Potrafisz to naprawić?

- Pewnie.

- Kiedy? Za ile?

- Zależy od części. Ten tekst już znałam.

Bucky pokazał mi rządę gruchotów pod siatką.

- Możesz sobie wynająć jakiegoś. Mam klasycznego buicka, śliczności. Z pięćdziesiątego trzeciego.

- NIE!

Kiedy wróciłam do domu, Rex biegał sobie w kołowrotku. Po drodze wstąpiłam do sklepu i kupiłam

zdrową żywność dla nas obojga.

Owoce, niskotłuszczowy twarożek, ziemniaki i te małe marcheweczki, co to są od razu umyte i obrane. Przywitałam się z Rexem i dałam mu winogrono. Światelko na sekretarce mrugało, więc wcisnęłam guzik i odsłuchałam ją rozpakowując zakupy.

Zadzwoił Ranger, żeby powiedzieć, że słyszał o Mo i jego prawniku i że to nie zmienia sytuacji. Proste, powiedział. Masz znaleźć gościa i tylko tyle się liczy.

Druga wiadomość była od Bucky'ego Seidlera.

- Zdobyłem tę część, o którą chodziło - powiedział do sekretarki. -

Zamontuję ją jutro z samego rana. Możesz się zgłosić po dziesiątej.

Zagryzłam wargę. Dobry Boże, nie pozwól, żeby to był kolejny gaźnik.

Ostatnia wiadomość rozpoczęła się od hałasu. Gwar ludzkich głosów i takie szczęknięcie, jakie słyszy się w salonie gier automatycznych.

Potem rozległ się męski głos.

- Obserwuję cię, Stephanie - powiedział. - Widziałem, jak się dziś spotkałaś z tym chłoptasiem z policji. Widziałem was wczoraj. Patrzyłem, jak figlujecie w kuchni. Dobrze się przekonać, że zajęłaś się czymś poza prześladowaniem dobrych obywateli. Lepiej skup się na Morellim, a może dożyjesz starości.

Stałam wpatrzona w sekretarkę, niezdolna odetchnąć. Wokół serca coś mi się ścisnęło, a w uszach słyszałam głośnie dzwonięcie. Oparłam się o lodówkę i zamknęłam oczy. Wyobraź sobie, że jesteś nad morzem, pomyślałam. Usłysz szum fal. Oddychaj z falami. Kiedy zdołałam opanować bicie serca, przewinęłam taśmę i wyłuskałam ją z sekretarki.

Było parę minut po piątej. Zadzwoiłam do Morellego, żeby upewnić się, że jest w domu.

- No? - odezwał się.

- Będiesz w domu przez chwilę?

- Aha. Właśnie wszedłem.

- To nie wychodź. Musisz coś usłyszeć. Zaraz tam będę.

Wrzuciłam taśmę do torby, złapałam kurtkę i zamknęłam drzwi.

Zbiegłam na parter i przy drzwiach mnie zastopowało. A jeśli oni tam są?

Jeśli na mnie czekają? Zrobiłam parę kroków i odetchnęłam głęboko. To niedobrze. Mogę się bać,

ale nie mogę pozwolić, żeby mnie zaszczuli.

Cofnęłam się od szklanych drzwi i zajrzałam do torby. Miałam trzydziestkę ósemkę, nabitą. W telefonie znajdowała się naładowana bateria. W szokerze też. Przełożyłam pieprz w aerozolu do kieszeni kurtki.

Źle. Wyjęłam go.

Przez parę chwil chodziłam po holu ze sprayem w pogotowiu, żeby opanować strach. Kiedy poczułam się nieco lepiej, wyszłam na parking.

Szłam równym krokiem, nie rozglądając się na boki. Ale nasłuchiwałam.

Byłam gotowa do działania, jeśli sytuacja mnie do tego zmusi.

Z warsztatu wypożyczyłam zieloną mazdę. Była zardzewiała i powgniatana, śmierdziała papierosami, ale przynajmniej niczego nie ukrywała. Zajrzałam do środka, otworzyłam drzwi i usiadłam za kierownicą. Natychmiast ruszyłam.

O ile zauważyłam, nikt mnie nie śledził, a kiedy wyjechałam na St.

James, w lusterku wstecznym zobaczyłam zbyt wiele samochodów, żeby się zorientować, który z nich należy do wroga. Na siedzeniu obok położyłam torbę, a spray z pieprzem miałam na podołku. Dla podniesienia się na duchu przez całą drogę śpiewałam „Kto się boi złego wilka”. Zaparkowałam przed domem Morellego i wyjrzałam. Żadnych samochodów. Żadnych pieszych. Zamknęłam mazdę, pomaszerowałam do drzwi i zapukałam. Zdaje się, że ciągle byłam nieco zdenerwowana, bo zamiast „puk, puk, puk” wyszło mi ŁUP, ŁUP, ŁUP.

- Treningi dają efekty - zauważył Morelli stając w drzwiach.

Odepchnęłam go sobie z drogi.

- Zamykasz drzwi na klucz?

- Czasem.

- A teraz?

Morelli sięgnął za siebie i zasunął zamek.

- Aha.

Weszłam do salonu i zaciągnęłam zasłony w oknach.

- Zasłoń okna w jadalni i kuchni.

- Co się dzieje?

- Zrób mi tę przyjemność.

Poszłam za nim do kuchni i przypilnowałam, żeby zamknął żaluzje.

Kiedy skończył, wyjęłam kasetę.

- Masz magnetofon?

Na kuchennym stole stała aktówka. Morelli otworzył ją i wyjął z niej dyktafon. Włożył kasetę i włączył odsłuchiwanie.

Pierwszy wypowiedział się Ranger.

- Kiepska rada - zauważył Morelli.

- Nie o to mi chodzi.

Rozległ się hałas, a po nim głos mężczyzny. Morelli wysłuchał

wiadomości z kamienną twarzą. Typowy glina, pomyślałam. Cofnął

nagranie i puścił je jeszcze raz. Potem wyłączył dyktafon.

- To nie jest Mickey Maglio.

- Nie.

Gliniarz nie popełniłby takiego błędu i nie nagrałby mi swojego głosu.

- Wiesz, czy cię śledzili? Pokręciłam głową.

- A wczoraj?

- Nie.

- Jest taki sklep z płytami naprzeciw budynku Shumana. Mają tam maszyny do gier. Facet prawdopodobnie dzwonił stamtąd. Wyślę tam kogoś.

- Zdaje się, że wczoraj to nie był pies sąsiadów.

- Ten ktoś pewnie wlaźł na kubek ze śmieciami, żeby lepiej widzieć.

- Jakoś ci to nie przeszkadza.

W suszarce przy zlewie stały talerze. Jeden duży, miseczka na płatki, parę szklanek. Morelli chwycił duży talerz i grzmotnął nim o ścianę. Talerz rozprysnął się na milion kawałeczków.

- Dobra, dobra - powiedziałam pospiesznie. - Źle cię oceniłam.

- Zostaniesz na kolacji?

- Chyba nie powinnam.

Morelli zaczął gdakać, co miało oznaczać, że jestem tchórzem.

- Bardzo dojrzałe - mruknęłam. - Bardzo pociągające. Morelli wyszczerzył zęby.

W drzwiach zatrzymałam się z ręką na klamce.

- Pewnie mi nie zdradzisz, co ci powiedział Dickie?

- Nie ma o czym gadać. A pewnie.

- Nie odprowadzaj mnie do domu. Nie potrzebuję ochroniarza.

- Kto powiedział, że chcę cię odprowadzić?

- Trzymasz kluczyki i znam tę minę. Wyglądasz jak moja matka.

Uśmiech stał się szerszy.

- Na pewno nie chcesz?

- Tak, na pewno.

Jedyną rzeczą gorszą od faktu, iż ze strachu dostaję małego rozumu, byłoby to, że Morelli by się o tym dowiedział. Otworzył drzwi.

Spojrzał na mazdę.

- Wygląda jak te trupy, które wynajmuje Bucky.

- Bucky pamiętał mnie z liceum. Powiedział, że wystawiłeś mi bardzo pochlebny opinię na ścianie męskiego wychodka.

- To się zdarzyło w czasach mojej szalonej młodości. Teraz jestem wzorem dyskrecji.

Nadal było wcześnie i jakoś nie paliłam się, żeby wracać do domu i zjeść samotny posiłek. Jedyną alternatywą był Smakowity Kubełek albo wyżebranie kolacji od rodziców. Miałam obawy, że w Smakowitym Kubełku jeszcze mnie nie zapomnieli, więc zdecydowałam się na wieczór z rodziną.

Otworzyła mi zarumieniona matka.

- Czyj to samochód? - spytała.

- Wypożyczony z warsztatu. Mój znowu się zepsuł.

- Ha! - zakrzyknął ojciec z jadalni.

- Właśnie siadamy - powiedziała matka. - Jagnięcina, kartofle i szparagi.

- Czy to Stephanie? - wrzasnęła babcia Mazurowa. - Masz broń?

Chcę ją pokazać.

- Mam broń, ale ci jej nie dam.

Obok babci Mazurowej siedział obcy mężczyzna.

- Ten tutaj to Fred - oznajmiła babcia. - Mój chłopak. Fred skinął mi głową.

- Szanowanko.

Miał jakieś trzysta lat. Grawitacja ściągnęła mu skórę z czubka głowy na ramiona, a on zebrał ją i wsadził za kołnierz.

Usiadłam naprzeciw babci i zauważyłam, że Fred położył koło widelczyka do ciasta sztuczną szczękę.

- To moje zęby - wyjaśnił. - Dostałem za darmo z ubezpieczalni, ale nie pasują. Nie mogę w nich jeść.

- Musieliśmy przepuścić jego mięso przez mikser - dodała babcia. -

To ta szara pačka.

- I co - zwrócił się do niego ojciec. - Jest pan samowystarczalny?

- Radzę sobie. Jestem inwalidą wojennym. - Popukał się w prawe oko. - Szklane - powiadomił ojca.
- Druga wojna światowa.

- Był pan w Europie? - chciał wiedzieć ojciec.

- Nie. Wykłułem sobie oko w Kilmer. Czyściłem bagnet i nagle pyk, nie mam oka.

- Ale radzi sobie jak szatan - powiedziała babcia z dumą. -

Widziałam, jak obstawiał dziesięć kuponów bingo i nic mu się nie pomyliło. Poza tym jest artystą
plastykiem. Tka kilimy. Powinniście je zobaczyć. Na jednym utkał tygrysa.

- Spodziewam się, że ma pan własny dom? - przeszedł do rzeczy ojciec. Fred przeżuł bezzębnymi
dźwiałami łyżkę szarej packi.

- Nie. Mieszkam w domu starców. Ale chętnie bym zamieszkał w takim domu jak ten. Chciałbym się
ożenić z kimś takim jak ta śliczna mała i zamieszkać razem z nią. Jestem cichutki jak myszka. W ogóle

nie będzie mnie słyszeć.

- Po moim trupie - powiedział ojciec przez zaciśnięte zęby. -

Zabieraj pan zęby i jazda mi stąd. Znalazł się, pasożyt.

Fred poważnie się zaniepokoił.

- Nie mogę wyjść. Jeszcze nie dostałem deseru. Mała obiecała, że dacie mi deser. Poza tym nie mam czym pojechać do domu starców.

- Wezwać taksówkę - rozkazał ojciec. - Stephanie, wezwij mu taksówkę. Ellen, zapakuj deser.

Po dziesięciu minutach po Fredzie nie pozostało nawet wspomnienie. Babcia Mazurowa poczęstowała się ciasteczkami i naląła sobie kawy.

- Tam, skąd pochodzi, jest ich jeszcze dużo - oznajmiła. - Prawdę mówiąc i tak był dla mnie za stary. A od tego szklanego oka dostawałam gęziej skórki... Wiecie, cały czas w nie pukał. Zęby mógł wyjąć, to w porządku, ale nie chciałam oglądać jego oka na stole.

Rangersi grali właśnie mecz, więc zostałam. Oglądanie rozgrywek sportowych łączy się z jedzeniem niezdrowych przekąsek, ponieważ pod tym względem ojciec jest jeszcze gorszy niż ja. Przed końcem meczu mieliśmy już za sobą słoje koktajlowych paróweczek, torbę chipsów i puszkę orzeszków, a zabieraliśmy się do kilogramowej torby m&m's.

Żegnając się rozważałam pogrązenie się w bulimii.

Dobłą stroną obżarstwa jest fakt, iż zagrożenie ze strony zamaskowanych mężczyzn błędnie w porównaniu z wizją wpływu, jaka torba chipsów będzie miała na wygląd moich ud. Dotarłam do domu, zanim przypominałam sobie, że się boję.

W mieszkaniu poczułam się względnie bezpieczna. Tylko jedna wiadomość i ani jednej parówki, która by mnie kusiła.

Wiadomość była od Rangera.

- Oddzwon.

Zadzwoniłam na jego numer domowy i usłyszałam tylko dwa słowa.

- Zostawcie mnie.

- Czy to wiadomość? - spytałam. - Rozmawiam z nagraniem?

- To bardzo dziwne, mała, ale przysięgłbym, że twoja przyjaciółka Lula próbuje mnie śledzić.

- Uważa, że jesteś superbohaterem.

- Wiele osób tak sądzi.

- Pamiętasz, jak podałeś numer tej pustej działki jako swój adres?

Lula uważa, że to dość dziwne. Chce się dowiedzieć, gdzie mieszkasz. No właśnie, gdzie mieszkasz?

Zamarłam w oczekiwaniu na odpowiedź, ale usłyszałam jedynie trzask odkładanej słuchawki.

Obudziłam się z kacem moralnym po wczorajszej spożywczej orgii, więc w ramach pokuty posprzątałam klatkę chomika, poprzeszawiałam słoiki w lodówce i wyszorowałam toaletę. Rozejrzałam się jeszcze za czymś do prasowania, ale nie znalazłam niczego. Kiedy muszę uprasować jakieś ubranie, odkładam je do kosza na rzeczy do prasowania. Po roku wyrzucam je, jeśli jeszcze leży. To dobry system, ponieważ stopniowo doprowadzę do tego, że będę posiadać wyłącznie ubrania nie wymagające prasowania.

Bucky powiedział, że mój samochód będzie gotowy na dziesiątą.

Oczywiście wierzyłam mu, ale w wyniku przeżyć z mechanikami zaczęłam traktować ich wypowiedzi ze sceptycyzmem, jaki do tej pory rezerwowałam wyłącznie dla wiadomości o tym, że Elvis żyje.

Zaparkowałam zieloną mazdę pod siatką i ujrzałam mój samochód, czekający przed jednym z kanałów. Był świeżo umyty i, niech mnie diabli, aż migotał w słońcu. Wyglądałby jak nowy, gdyby nie wielkie wgniecenie w masce i dziura w tylnym zderzaku.

Bucky wyłonił się z drugiego kanału. Zmierzyłam nissana podejrzliwym spojrzeniem.

- Gotowy?

- Trzeba było wymienić taki dinks w zaworze wydechowym.

Dwieście trzydzieści.

- Dinks?

- To termin techniczny - wyjaśnił Bucky.

- Dwieście trzydzieści za jednego dinksa to trochę drogo.

- Pan Remoncik nie jest tani.

Pojechałam do domu w ogóle nie czując, że jadę. Nic nie gasło. Nic nie strzelało. I ni cholery nie wierzyłam, żeby taki stan potrwał dłużej.

Miesiąc miodowy, pomyślałam ponuro.

Wróciłam i zajęłam tradycyjne miejsce obok śmietnika. Wsiadłam ostrożnie i rozejrzałam się za ewentualnymi napastnikami. Nie znalazłszy żadnych, truchtem przebyłam parking i wpadłam do holu.

Pan Wexler czekał na minibus dla emerytów.

- Słyszałaś o Mo Bedemierze? - spytał. - To bohater! Powiadam ci, ten człowiek to skarb. Pora, żeby ktoś zajął się problemem narkotyków.

- Jest podejrzany o zamordowanie masy ludzi!

- No. Stara się, nie można powiedzieć.

Drzwi windy otworzyły się, więc wsiadłam, ale nie chciało mi się wracać do domu. Miałam ochotę kogoś natłuc.

Wysiadłam i zaczepiłam pana Wexlera.

- Zabijanie to grzech.

- Zabijamy kury - odparł. - Zabijamy krowy. Zabijamy drzewa. No to co się stanie, jak zabijemy paru handlarzy narkotyków?

Trudno polemizować z taką logiką, ponieważ drzewa, kury i krowy lubię o wiele bardziej niż handlarzy narkotyków.

Wsiadłam z powrotem do windy i pojechałam na swoje piętro.

Przez parę minut stałam przed drzwiami mieszkania, usiłując się przekonać do spędzenia miłego beczynnego popołudnia, ale nie kupiłam swoich argumentów. Wróciłam na parking, zapakowałam się do samochodu i ruszyłam. Skoro jestem już w tak niebezpiecznym nastroju, pojedę do Dickiego, tego koziego bobka. Chciałam się dowiedzieć, co powiedział Morellemu.

Zaparkowałam przed biurem Dickiego, wgalopowałam do środka i poraziłam recepcjonistkę śmiercionośnym uśmiechem łowcy nagród.

- Muszę zamienić z Dickim parę słów - oznajmiłam. I zanim zdążyła coś odpowiedzieć, odwróciłam się na pięcie i wtargnęłam do gabinetu.

Rozdział 15

Dickie nie ucieszył się na mój widok. Prawdę mówiąc, w ogóle na mnie nie spojrzął. Siedział za biurkiem, trzymał się za głowę, a jego włosy robiły wrażenie, jakby strzelił w nie piorun. Od razu poczułam, że sytuacja jest poważna, ponieważ włosy Dickiego zawsze wyglądały idealnie. Budził się rano z gotową fryzurą. Ale to, że miał zły dzień, wcale mnie nie zniechęciło. Na mój widok aż podskoczył.

- To ty! Zwariowałaś? Odbiło ci? Tego już za wiele, słowo daję. To zaszło za daleko.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co. Chodzi mi o groźby. Chodzi mi o próbę zastraszenia adwokata.

- Znowu dosypujesz do kawy ten dziwny biały proszek?

- Dobrze, trochę szalałem, kiedy byliśmy małżeństwem. Zgoda, nasz rozwód nie był miły. Jasne, wiem, że żywisz wobec mnie wrogie uczucia. -

Nieświadomie przejechał palcami po włosach, które jeszcze bardziej się nastroszyły. - Ale to nie powód, żeby zachowywać się jak Terminator.

Jezus Maria, musisz się leczyć. Myślałaś o psychiatrze?

- Mam wrażenie, że próbujesz mi coś powiedzieć.

- Mówię o tym osiłku, którego wysłałaś, żeby zaatakował mnie dziś na parkingu!

- Lula cię zaatakowała?

- Nie Lula. Inny osiłek.

- Nie mam drugiego.

- Wielki chłop. W masce narciarskiej i kombinezonie.

- Sekunda. Już mi coś świta. To nie mój osiłek. I jest ich więcej.

Cała paczka, i mnie także grozili. Co ci powiedział?

- Że Mo nie potrzebuje prawnika i że mnie zwalnia. Odparłem, że Mo musi mi to powiedzieć osobiście. A ten przystawił mi pistolet do brzucha i powiedział, że jak na prawnika nie jestem zbyt inteligentny i że nie umiem czytać między wierszami. Więc powiedziałem, że z każdą sekundą robię się coraz mądrzejszy. Zabrał pistolet i poszedł.

- Odjechał? Zapisaleś numery rejestracyjne?

Dickie poczerwieniał.

- Nie przyszło mi do głowy.

- Mo ma własny fan klub - oznajmiłam. - Zatroskani obywatele.

- Bardzo dziwne.

- O co tu chodzi? Jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

- Marnujesz czas. Nie będę z tobą rozmawiać.

- Wiem o tobie masę rzeczy. Chyba nie chciałbyś, żeby się rozeszły.

Wiem o kokainie.

- To już przeszłość.

- Wiem o żonie Mallory'ego. Dickie poderwał się jak oparzony.

- To ty powiedziałaś Morellemu!

- Ten Mallory to podlec. Aż strach pomyśleć, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że ktoś mu zabawiał żonę. Mógłby podłożyć ci w samochodzie narkotyki, Dickie. A potem by cię aresztował i tylko pomyśl, co by się działo... rewizja osobista, no i bicie, bo oczywiście będziesz stawiać opór.

Oczy Dickiego zmieniły się w malutkie, twarde kamyczki. Nie wątpię, że taką samą transformację przeszły jego jądra.

- Skąd mam wiedzieć, że nie pójdziesz do Mallory'ego nawet, jeśli ci powiem?

- I stracić nad tobą przewagę? Jeszcze cię będę szantażować.

- Psiakrew - mruknął Dickie. Odsunął fotel, wstał, okrążył parę razy pokój, po czym wrócił na miejsce. - To kwestia tajemnicy zawodowej.

- Tak, jakby cię to obchodziło. - Spojrzałam na zegarek. - Nie mam czasu. Obowiązki mnie wołają. Muszę się skontaktować z Mallorym, zanim skończy służbę.

- Suka.

- Fiut. Zmrużył oczy.

- Dziwka.

- Palant.

- Gruba krowa.

- Słuchaj - zniecierpliwiłam się. - Nie muszę tego znosić. Wzięliśmy rozwód.

- Musisz obiecać, że zamkniesz buzię, jeśli opowiem ci o Mo.

- Będę milczeć jak grób.

Oparł się na łokciach, splótł palce i pochylił się w moją stronę.

Gdyby biurko było mniejsze, dotykałybyśmy się nosami. Na szczęścia miało rozmiar boiska, więc między nami zostało odrobinę wolnego miejsca.

- Po pierwsze, Mo nikogo nie zabił. Wplątał się w interesy z pewnymi ciemnymi typami...

- Ciemnymi typami? Mogłabym prosić o szczegóły?
- Nie wiem nic więcej. Pełnię funkcję pośrednika. Muszę jedynie ustalić linię porozumienia.
- I to te ciemne typy zabijały?
- Mo miał już dość gangów i narkotyków w pobliżu sklepu i uważał, że policja nic nie robi. Doszedł do wniosku, że to prawo wiąże ręce gliniarzom. Wiedział, kto specjalizuje się w sprzedawaniu narkotyków dzieciom. Więc uknuł własną intrygę. Zazwyczaj szedł do handlarza i proponował mu współpracę.
- Handlarz miał sprzedawać narkotyki w sklepie Mo?
- Tak. Mo umawiał się z nim na spotkanie, przeważnie w sklepie lub garażu, czasami gdzieś indziej, jeśli facet był podejrzliwy. Potem informował o tym spotkaniu swojego przyjaciela. Sam zniknął, a przyjaciel zajmował się handlarzem. Początkowo Mo nie spodziewał się, że przyjaciel rozwiąże problem raz na zawsze. Sądził, że postraszy handlarza albo porachuje mu kości i na tym koniec. Kiedy się zorientował, było już za późno.
- Dlaczego nie stawił się w sądzie?
- Przestraszył się. Ta broń, z którą przyłapał go Gaspick, posłużyła do morderstwa. Zabito z niej handlarza, który w chwili aresztowania Mo spływał już do morza. Podejrzewam, że Mo był wtedy całkowicie przekonany do całej imprezy. Poczł się mścicielem. Twierdzi, że nigdy nie dotknął tej broni. I faktycznie, nie była nabita. Mo pewnie czuł się jak John Wayne albo ktoś w tym rodzaju. Nie zapominaj, że mówimy o nieśmiałym, zakompleksionym facecie, który całe życie spędził za ladą sklepu z cukierkami. Poczłam bolesne ukłucie gdzieś w okolicach serca.

Morelli nie powiedział mi o tym wszystkim. Nie powiedział mi o związku broni z dryfującymi zwłokami. Teraz już rozumiałam, dlaczego od samego początku interesował się Mo. I dlaczego Mo nie zjawił się na rozprawie.

- A dlaczego Mo nagle zdecydował się oddać w ręce policji?
- Podejrzewam, że oprzytomniał. Zdał sobie sprawę, że coraz bardziej się pograża i zaczął się bać.
- Więc o co chodzi? Sprzeda tego swojego przyjaciela za zmniejszony wymiar kary?
- Pewnie tak, ale do tego jeszcze nie doszliśmy. Jak powiedziałem, mam jedynie ustalić pewną linię porozumienia. Poinformowałem Mo o przysługujących mu prawach i konsekwencjach współuczestnictwa.
- Więc może te narciarskie maski nie bronią już Mo. Może uczucia już się im zmieniły i teraz chcą znaleźć Mo, zanim ja to zrobię... To bardzo szlachetnie, że nadal jesteś jego adwokatem, chociaż ktoś próbuje cię zastraszyć.
- Chrzanię szlachetność - oznajmił Dickie. - Wypisuję się z tego interesu.

Rzuciłam mu na biurko wizytówkę.

- Zadzwoń do mnie, jeśli ktoś się do ciebie odezwie.

W windzie złapałam się na szerokim uśmiechu. Fakt, iż Dickie był

nękany i zastraszony, sprawił mi dużą przyjemność. Postanowiłam uczcić to wizytą u pana Alexandra. Skoro potrafił przemalować mi włosy na pomarańczowo, z pewnością będzie umiał przywrócić im pierwotny kolor.

- To niemożliwe - oznajmił pan Alexander. - Wszystkie godziny zajęte. Niczego tak nie pragnę, jak ci pomóc, skarbie. Naprawdę tego pragnę, ale spójrz tylko na mój terminarz. Ani jednej wolnej chwili.

Ujęłam w dwa palce jedno wściekle pomarańczowe pasemko.

- Nie mogę z tym żyć. Czy jest tu ktokolwiek, kto mi pomoże?

- Może jutro.

- W tej torebce mam broń. A także pieprz w sprayu i taki elektryczny wynalazek, który zrobi z pana nocną lampkę. Jestem niebezpieczna, a te pomarańczowe włosy doprowadzają mnie do szału.

Lepiej niech mi pan nie mówi, że nikt mi dzisiaj nie pomoże.

Recepcjonistka pospiesznie przekartkowała plan dnia.

- Jedna klientka odwołała wizytę o drugiej u Cleo. Miało być tylko strzyżenie, ale może uda się jej jakoś zdążyć.

- Cleo jest rewelacyjna - zapewnił mnie pan Alexander. - Jeśli ktoś ma ci pomóc, to tylko Cleo.

Trzy godziny później byłam znów w domu i ciągle miałam pomarańczowe włosy. Cleo dała z siebie wszystko, ale kolor oparł się zmianom. Stał się o odcień ciemniejszy, ale zasadniczo ciągle był to pomarańcz.

Dobra. No to mam pomarańczowe włosy. Wielkie mi co. Mogło być gorzej. Mogłam złapać wirusa Ebola. Mogłam mieć krwawą gorączkę.

Pomarańczowe włosy nie będą trwać wiecznie. Odrosną. Nie zniszczyłam sobie życia.

Hol był pusty. Drzwi windy otworzyły się, weszłam do środka, pogrążona w rozmyślaniach na temat Mo. Skoro mowa o kimś, kto zniszczył sobie życie... Jeśli można wierzyć Dickiemu, ten człowiek przez dziesiątki lat sprzedawał dzieciom cukierki, aż wreszcie poddał się frustracji i dokonał kilku złych wyborów. Teraz zaś błąka się w labiryncie potwornych zbrodni i niemożności wyboru.

Zastanowiłam się nad własnym życiem i wyborami, jakich dokonałam. Do niedawna były one względnie bezpieczne i przewidywalne. College, małżeństwo, rozwód, praca. I raptem, nie z mojej

winy, nagle mnie wyrzucono. A zaraz potem stałam się łowcą nagród i zabiłam człowieka. W samoobronie, ale i tak nie mogłam przez to spać. Teraz wiedziałam już o sobie - a także o ludzkiej naturze w ogólności - rzeczy, jakich miłe dziewczyny nie powinny wiedzieć.

Wlokłam się korytarzem i szukałam kluczy. Otworzyłam drzwi do mieszkania i weszłam z ulgą, że jestem już w domu. Ale zanim zdołałam się odwrócić i zamknąć drzwi, nagle znalazłam się na podłodze, gwałtownie popchnięta od tyłu.

Było ich dwóch. Obaj w maskach i kombinezonach. Obaj wyżsi od Maglio. Jeden z nich mierzył do mnie z pistoletu. Drugi trzymał torbę, w jakich nosi się drugie śniadanie. Takich samych toreb używają urzędnicy.

Mieści się w nich akurat kanapka, jabłko i napój.

- Tylko piśnij, a strzelę - syknął facet z pistoletem i zamknął drzwi. -

Nie mam ochoty, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

- To na nic - poinformowałam go. - Mo prowadzi rozmowy z policją.

Opowie im o was. Rzuca nazwiskami.

- Mo powinien sprzedawać cukierki i nie mieszać się do niczego.

Zajmiemy się nim. Robimy to dla dobra społeczeństwa... i Ameryki. Nie damy się powstrzymać dlatego, że jeden staruszek wymiękł.

- Zabijacie ludzi dla dobra Ameryki?

- Eliminujemy brudy z marginesu. Rety. Eliminatorzy brudu.

Facet z torbą poderwał mnie na nogi i popchnął w stronę salonu.

Zastanowiłam się, czy nie zacząć krzyczeć albo po prostu wiać, ale nie byłam pewna, jak zareagują ci szaleńcy. Ten z bronią wyglądał tak, jakby strzelał codziennie. Możliwe, że już kogoś zlikwidował, a miałam silne podejrzenia, że zabijanie jest jak wszystko inne... im częściej to robisz, tym łatwiej idzie.

Ciągle miałam na sobie kurtkę i trzymałam torbę. W uszach nadal dźwięczała mi groźba zemsty. Bąbel po ostatnim spotkaniu z obrońcami sprawiedliwości jeszcze się nie zagoił, a na myśl, że znowu zaczną mnie przypalać, zrobiło mi się słabo.

- Dam wam szansę. Możecie wyjść, zanim zrobicie coś głupiego -

oznajmiłam, ze wszystkich sił starając się stłumić panikę.

Facet z torbą postawił ją na stoliku w salonie.

- Aleś ty głupia. Tłumaczymy ci jak komu mądryemu, ostrzegamy cię, a ty nie słuchasz. Ciągłe wsadzasz nos w nieswoje sprawy. Ty i ten prawnik, do którego bez przerwy latasz. Więc na razie pokażemy ci, co umiemy. Zobaczysz na własne oczy. - Wyjął z torby foliową torebkę i zaprezentował mi ją. - Chłopczyk pierwsza klasa. - Następnie wyjął małą butelkę z wodą mineralną. I zakrętkę z przymocowaną do niej drucianą rączką. - Najlepsze podgrzewacze wychodzą z butelki po winie. Ładne i głębokie. Ćpuny lubią je bardziej niż łyżkę albo zakrętkę z oranżady.

Wiesz, co to jest chłopczyk?

Chłopczyk to heroina. Dziewczynka to kokaina.

- Tak, wiem.

Facet nalał wody do zakrętki i wymieszał z proszkiem z torebki.

Potem wyjął zapalniczkę i zaczął podgrzewać roztwór. Wreszcie wydobyl z torby strzykawkę i napełnił ją płynem.

Ciągle miałam torbę na ramieniu. Przesunęłam drżącą ręką po jej zewnętrznej stronie i poczułam pod palcami kształt broni.

Facet z bronią wyszarpnął mi torebkę.

- Zapomnij.

Rex siedział w klatce na stole. Kiedy weszliśmy, biegał w kołowrotku. Na błysk światła zatrzymał się, poruszył wąsikami i spojrzał

ciekawie w oczekiwaniu jedzenia lub pieszczot. Po chwili znowu podjął bieg.

Mężczyzna ze strzykawką podniósł wieko jego klatki i wziął Rexa wolną ręką. Serce ścisnęło mi się boleśnie.

- Zostaw go - powiedziałam. - On nie lubi obcych.

- Wiemy o tobie wiele rzeczy. Wiemy, że przepadasz za tym chomikiem. Pewnie jest dla ciebie jak rodzina. Przyjmijmy, że to twoje dziecko. I przypuścmy, że robisz wszystko, co do ciebie należy, żywisz go, pomagasz odrabiać lekcje i wychowujesz w dobrej dzielnicy z dobrą szkołą. A potem, chociaż zrobiłaś dla niego wszystko, dzieciak zaczyna eksperymentować z narkotykami. Jak byś się wtedy czuła? Nie miałabyś ochoty dostać w swoje ręce tych, którzy dali mu narkotyki? A teraz załóżmy, że dzieciak kupił jakiś kiepski towar. I umarł z przedawkowania.

Nie miałabyś ochoty zabić bydlaka, który sprzedał mu narkotyki?

- Chciałabym oddać go w ręce sprawiedliwości.

- Gówno prawda. Chciałabyś go zabić.

- Mówi pan z doświadczenia?

Mężczyzna ze strzykawką zamarł i spojrzał na mnie. Zobaczyłam wyraz jego oczu za maską i poczułam, że trafiłam.

- Bardzo mi przykro.

- A więc rozumiesz, dlaczego muszę to robić. Jest bardzo istotne, żeby nikt nam nie przeszkadzał. I żebyś zrozumiała nasze pobudki.

Wolelibyśmy cię nie zabijać. Jesteśmy ludźmi sprawiedliwymi i rozsądnymi. Mamy zasady. A więc uważaj. To ostatnie ostrzeżenie. Tym razem zabijemy tylko chomika. Następnym razem to będziesz ty.

Poczułam, że w oczach zbierają mi się łzy.

- Jak możecie zabić niewinne zwierzę?

- To lekcja. Nie widziałaś nigdy, jak się umiera z przedawkowania?

To niemiłe zejście. I to samo spotka ciebie, jeśli nie weźmiesz urlopu.

Rex błyskał czarnymi lśniącoymi oczkami, ruszał wąsikami, aż migało, dreptał w powietrzu i wił się w ręce faceta. Nie podobała mu się ta nowa sytuacja.

- Pożegnaj się z nim - powiedział mężczyzna ze strzykawką. -

Właduję mu to prosto w serce.

Wytrzymałość kobiety ma swoje granice. Potraktowano mnie pieprzem w sprayu, napadnięto, byłam nękana przez zamaskowanych mężczyzn, Morelli mnie okłamał, a mechanik okradł. I jakoś to przetrzymałam. Ale kiedy ktoś grozi mojemu chomikowi, to zupełnie zmienia postać rzeczy. Kiedy ktoś grozi mojemu chomikowi, przemieniam się w Godzillę. Nie miałam najmniejszego zamiaru żegnać się z moim chomikiem.

Opanowałam łzy, wytarłam nos i zmrużyłam oczy.

- Słuchajcie no, wy dwie zakazane mordy! - ryknęłam. - Nie jestem w dobrym humorze. Samochód mi się psuje. Przedwczoraj porzygałam się na Morellego. Były mąż powiedział, że jestem grubą krową. I jakby tego było mało... mam POMARAŃCZOWE WŁOSY! POMARAŃCZOWE, DO KURWY NĘDZY! A wy macie czelność wpychać mi się do domu i grozić mojemu chomikowi. No, posunęliście się za daleko.

Przeciągnęliście!

Wrzeszczałam i machałam rękami, całkowicie utraciwszy kontrolę nad sobą. A kiedy tak robiłam z siebie widowisko, uważnie obserwowałam Rexa, ponieważ wiedziałam, co się dzieje, jeśli zbyt długo trzyma się go w ręce. A gdyby zaczęło się dziać, zamierzałam przystąpić do działania.

- Więc jeśli macie ochotę kogoś postraszyć, to źle żeście trafili! -

wrzeszczałam.

- I niech wam się nie wydaje, że pozwolę wam choćby dotknąć tego chomika.

I wreszcie Rex zrobił to, co powinien zrobić każdy normalny wkurzony chomik. Zatopił ząbki w kciuku faceta.

Mężczyzna kwiknął i otworzył dłoń. Rex pacnął o podłogę i natychmiast prysnął pod kanapę. A facet z pistoletem odruchowo skierował go w jego stronę i parę razy wystrzelił.

Złapałam stojącą lampę, zamachnęłam się nią i zdrowo zaprawiłam nią faceta z bronią, który zwałił się na podłogę niczym worek kartofli.

Skoczyłam ku drzwiom.

Byłam już jedną nogą na korytarzu, kiedy facet ze strzykawką złapał

mnie od tyłu i wciągnął do mieszkania. Zaczęłam wierzgać i drapać.

Oboje zwarliśmy się w walce na śmierć i życie tuż przed drzwiami.

Trafiłam go w krocze i kiedy facet wytrzeszczył oczy, przez jeden zapierający dech w piersiach moment nie wiedziałam, czy teraz mnie zabije, dziabnie strzykawką, czy trzaśnie czymś ciężkim. Ale on zgiął się w pół i w tej pozycji zaczął uciekać korytarzem, ciężko rżąc i łapiąc powietrze.

Drzwi windy otworzyły się i z jej wnętrza wyłoniła się pani Bestler ze swoim chodzikiem. Klap, klap, klap - pani Bestler z szybkością błyskawicy pogalopowała korytarzem i grzmotnęła faceta, który osunął

się na kolana.

Drzwi obok otworzyły się z trzaskiem; pani Karwatt wycelowała czterdziestkę piątkę w mężczyznę na podłodze.

- Co się dzieje? Co przegapiłam?

Z głębi korytarza nadciągnął pan Kleinschmidt z M-16.

- Ktoś strzelał!

Pani Delgado przybiegła tuż po nim. Niosła tasak i nierdzewnego glocka.

Pani Karwatt oszacowała ją baczny spojrzeniem.

- Loretta ma nową broń!

- Prezent na urodziny - oznajmiła pani Delgado z dumą. - Dostałam od mojej córki, Jean Ann. Kaliber czterdzieści, taki jak mają gliny.

- Właśnie się zastanawiam, czy też nie kupić czegoś nowego -

wyznała pani Karwatt. - Dobry ma odrzut?

Przyniosłam Rexa na noc do sypialni. Wyglądało na to, że dobrze zniósł traumę. Nie byłam pewna, czy to samo można powiedzieć o mnie.

Policjanci przybyli i zdjęli maski napastnikom. Tego ze strzykawką widziałam po raz pierwszy w życiu. Z tym z bronią chodziłam do szkoły.

Miał żonę i dwoje dzieci. Parę razy w tygodniu spotykałam się z nim w sklepie i mówiliśmy sobie dzień dobry.

Większość ranka przespałam, a kiedy wstałam, czułam się przyzwoicie. Może nie jestem najbardziej cierpliwą kobietą świata, albo najpiękniejszą, albo najbardziej wysportowaną, ale jeśli chodzi o zdolność regeneracji, to już doprawdy trudno mnie przegonić.

Właśnie nalewałam sobie drugą filiżankę kawy, kiedy zadzwonił

telefon. Sue Ann Grebek.

- Stephanie! - krzyknęła mi w ucho. - Mam coś dobrego!

- O Mo?

- Tak. Pierwszorządna paskudna plotka. Może to nawet prawda!

- Dawaj!

- Właśnie byłam u Fiorello i wpadłam na Myrę Balog. Pamiętasz Myrę? Chodziła z tym palantem Larrym Skolnikiem przez całe liceum.

Nigdy nie pojęłam, co on w nim widziała. Wydawał bardzo dziwne dźwięki przez nos i pisał sobie na rękach tajne wiadomości. Wiesz, na przykład S.D.O.B.G. I nikomu nie mówił, co to znaczy. W każdym razie, zaczęłyśmy rozmawiać i od słowa do słowa, doszłyśmy do Mo. I Myra powiedziała, że kiedyś Larry opowiedział jej naprawdę niesłychaną historię o Mo. Podobno przysięgał, że to prawda. Oczywiście nie wiadomo, co to znaczy, ponieważ Larry uważa, że parę razy został napromieniowany.

- I co to za plotka?

Po rozmowie z Sue Ann przez parę minut siedziałam bez ruchu i wpatrywałam się w telefon. Nie podobało mi się to, co usłyszałam, ale to miało nawet sens. Przypomniałam sobie, co znalazłam w mieszkaniu Mo i kawałki układanki zaczęły do siebie pasować.

Teraz powinnam porozmawiać z Larrym Skolnikiem. W związku z tym popędziłam na parking, wsiadłam, przekręciłam kluczyk w stacyjce i wstrzymałam oddech. Silnik zapalił równo i spokojnie. Powoli wypuściłam powietrze, a obawy stopniowo ulotniły się z mojej duszy, ustępując miejsca ostrożnemu optymizmowi.

Larry Skolnik pracuje w pralni swojego ojca na Hamilton. Stał za ladą, kiedy wtargnęłam do środka. Od szkolnych czasów utył z pięćdziesiąt kilo, ale nie to było najgorsze - na rękach nie miał już żadnych tajnych notatek. Larry jest w porządku, ale gdybym miała wyobrazić sobie jego życie osobiste, powiedziałabym, że z pewnością często rozmawia z własnym krawatem.

Na mój widok uśmiechnął się sympatycznie.

- Hej.

- Hej - odpowiedziałam.

- Pierzesz u nas?

- Nie. Przyszłam do ciebie. Chciałam cię spytać o wujka Mo.

- O Mosesa Bedemiera? - Na jego policzki wkradł się rumieniec. - A co? Byliśmy w sklepie sami. Nikogo za ladą. Nikogo przed ladą. Tylko ja, on i trzysta koszul.

Powtórzyłam to, o czym opowiedziała mi Sue Ann. Larry zaczął się bawić pudełkiem bezpieczeństwa guzików.

- Chciałem o tym opowiedzieć innym, ale nikt mi nie wierzył.

- To prawda?

Chrobot guzików. Larry wygrzebał biały perłowy koralik i przyjrzał

się mu bacznie. Zatrąbił nosem. Zaczerwienił się jeszcze mocniej.

- Przepraszam, nie chciałem trąbić.

- Nie szkodzi. Małe trąbnięcie na tle nerwowym jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

- No, tak było. Stało się. Tak było. I jestem z tego dumny. Tak.

Zacisnęłam zęby i czekałam.

- Często kręciłem się koło sklepu - wyznał Larry, nie odrywając wzroku od pudełka z guzikami. Grzebał w nich palcem i złościł korytarzyki w kolekcji. - A kiedy miałem siedemnaście lat, Mo dał mi pracę przy sprzątaniu i polerowaniu szyb w witrynach. Fajnie było. Wiesz, pracować u wujka Mo. Wszyscy chcieli u niego pracować.

A potem tak jakby się zaprzyjaźniliśmy. I pewnego dnia poprosił, żebym... no wiesz. A ja nigdy przedtem nie robiłem nic takiego, ale pomyślałem, że co w końcu.

Zamilkł i spojrzał tępo w guziki. Oczekałam chwilę, ale Larry ciągle wpatrywał się w guziki. I nagle zaświtało mi, że może Larry wcale nie jest dziwny. Może po prostu nie ma za wiele rozumu.

- To dla mnie ważne - odezwałam się wreszcie. - Muszę odnaleźć Mo. Wydawało mi się, że możesz wiedzieć, gdzie mogłabym go szukać.

Myślałam, że nadal macie ze sobą kontakt.

- Naprawdę myślisz, że to on zabił tych wszystkich facetów?

- Nie jestem pewna. Myślę, że ma z tym coś wspólnego.

- Też tak myślę. I mam na ten temat pewną teorię. Nie potrafię tego poskładać do kupy. Ale może ty sobie z tym poradzisz. - Porzucił guziki i przechylił się ku mnie nad ladą. - Raz spotkałem się z jednym facetem, nazywał się Desmond, i zaczęliśmy gadać. Jak zawodowcy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Desmond powiedział mi, jak Mo go znalazł. Widzisz, to ważne, że Mo zawsze potrafi wyszukać sobie młodych chłopców, bo to jest właśnie to, co Mo lubi.

Kiedy Larry dotarł do końca opowieści, aż przytupywałam w miejscu z przejęcia. Miałam absolutnie niespodziewane ogniwo łączące Mo z handlarzami narkotyków. I znów zainteresowałam się teorią o drugim domu. Mo zawiózł Larry'ego do domu w Pensylwanii, gdzie miały odbyć się figle.

Nie miałam żadnej gwarancji, że Mo nadal posiada ten dom, ale od niego mogłam zacząć poszukiwania. Niestety, pod wieczór Larry zawsze bywał zmęczony, a nawet w dawnych dobrych czasach jego pamięć pozostawiała wiele do życzenia. Pamiętał tylko tyle, że jechali na północ wzdłuż rzeki, zaś później skręcili w las.

Podziękowałam mu za pomoc i obiecałam, że wpadnę coś sobie uprać. Wskoczyłam do samochodu i zapuściłam silnik. Chciałam pogadać z Vinniem, ale on nigdy nie zjawia się w biurze tak wcześnie. Nie szkodzi.

Czekając na niego, odwiedzę słabe ogniwo w łańcuchu Mo.

Zaparkowałam przed mieszkaniem Luli. Szeregowie domki wyglądały identycznie w całej dzielnicy, ale ten, w którym mieszkała Gail, dawał się rozpoznać bez problemu. Tylko nad jego schodami paliło się światło.

Poszłam prosto na piętro i zapukałam do drzwi Gail. Otworzyła dopiero po drugiej serii łomotów. Znowu senne oczy. Ćpunka.

- He? - powitała mnie.

Przedstawiłam się i spytałam, czy mogę wejść.

- Jasne - mruknęła. Innymi słowy, kogo to obchodzi.

Usiadła na łóżku. Ręce złożyła na kolanach i zaczęła miąć w palcach rąbek spódnicy. W pokoju znajdowało się niewiele mebli. Zalegające na krzesłach sterty ubrań. Na małym stoliku wybór produktów spożywczych.

Pudełko z płatkami, pół bochenka chleba, masło orzechowe, sześciopak pepsi bez dwóch puszek. Obok stolika twarde krzesło. Usiadłam na nim i przysunęłam się z nim do Gail, żeby zmniejszyć dystans pomiędzy nami.

- Chcę z tobą pomówić o Harpie. Gail chwyciła spódnicę pełną garścią.

- Nic nie wiem.

- Nie jestem z policji. Nie narobię ci kłopotów. Muszę się tylko czegoś dowiedzieć.

- Już wszystko powiedziałam.

Nie było sensu jej naciskać. Życie przycisnęło ją tak mocno, że bardziej nie można. A jeśli nawet można, to Gail najwyraźniej wstała na tyle wcześnie, żeby poczynić pewne farmakologiczne eksperymenty.

- Co łączyło Mo z Elliotem? Mieli wspólne interesy, tak?

- No. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Ze mną nie chcieli gadać.

Kiedy dotarłam do biura, zbliżało się południe. Lula wygrażała Connie kurzym udkiem.

- Mówię ci, nie masz pojęcia o smażonych kurczakach. Wy, Włosi, nie macie tego w genach. Wy, Włosi, znacie się tylko na tym, co ma na wierzchu pomidorowy sos.

- Wiesz, kto ty jesteś? - rzuciła Connie, grzebiąc w kubelku w poszukiwaniu kurzej piersi. - Rasistka.

Lula odgryzła kawał mięsa z udka.

- Mam prawo. Jestem mniejszością.

- Co? Wydaje ci się, że Włosi nie są mniejszością?

- Już nie. Byli w zeszłym roku. Trzeba iść z duchem czasu, skarbie.

- Vinnie u siebie? - spytałam.

- Hej, Vinnie! - wrzasnęła Connie. - Jesteś u siebie? Przyszła Stephanie. Vinnie natychmiast pojawił

się w progę.

- Lepiej, żeby to były dobre wieści.

- Chcę się dowiedzieć, kim jest chłopak Mo. Ten, którego widziałeś w New Hope.

- Bo co?

- Skąd wiesz, że byli kochankami? Całowali się? Trzymali się za ręce?

- Nie. Byli podnieceni. To znaczy, nie napaleni. Tak jakby podkreśnieni. I patrzyli na swoje zdjęcia. A tamten był ciotą jak amen w pacierzu.

- Widziałeś te zdjęcia?

- Nie. Siedzieli po drugiej stronie sali.

- To skąd wiesz, że to ich zdjęcia?

- Nie wiem, ale wiem, że były świńskie.

- A może to te odjechane sprawy - wtrąciła się Lula. - Jak sekty.

- Hej - obraził się Vinnie. - Znam się na świństwach. Z tym nikt nie zamierzał polemizować.

- Udało ci się dowiedzieć nazwiska tego gościa?

- Nie. Nikt nic nie wie o Mo. Pewnie nie działa na utartych szlakach.

- Muszę z tobą pogadać na osobności - oznajmiłam, machnęłam ręką, żeby wszedł do gabinetu i zamknęłam za nami drzwi. - Mam nowy cynk.

Kiedy opowiedziałam mu, gdzie chciałabym go wysłać, zaczął się ślinić.

- Ten Mo! - powiedział z pewnym podziwem. - Kto by pomyślał?

Zostawiłam go z zadaniem, pożyczyłam od Connie telefon i zadzwoniłam do Morellego.

- Czego się dowiedziałeś od tych dwóch? Zapadła chwila ciszy nabrzmiałej znaczeniem.

- Niczego się nie dowiedziałem od żadnego. Wzięli sobie adwokata i wyszli. Wyczułam, że czegoś mi nie mówi.

- Ale?

- Ale rozejrzeliśmy się nieoficjalnie i doszliśmy do bardzo interesujących wniosków. Jeśli ci o nich powiem, musisz przyrzec, że tego nie wykorzystasz.

- Jasne, obiecuję.

- Nie wierzę ci.

- To musi być coś fantastycznego.

- Nie powiem ci tego przez telefon. Spotkajmy się w kawiarence naprzeciwko St. Francis.

Morelli zamówił kawę i kanapkę. Przyniósł je do stolika.

- Długo czekałaś?

- Parę minut. Ugryzł kęs kanapki.

- Masz obiecać, że jeśli ci powiem, nie polecisz od razu, żeby to wykorzystać. Mam tam ludzi. Jeśli się wpakujesz, wszystko zepsujesz.

- Nie wpakuję się, jeśli obiecasz, że mnie ze sobą zabierzesz, kiedy Mo się pojawi.

- Dobrze.

Nasze spojrzenia się spotkały. Oboje wiedzieliśmy, że łąże jak pies.

Żaden policjant nie dotrzyma takiej obietnicy.

- Jeśli nie będę obecna przy aresztowaniu Mo, nie dostaniemy gwarancji, że Vinnie otrzyma zwrot kaucji.

- Zrobię wszystko - przysiągł Morelli. - Naprawdę, stanę na głowie.

- I żeby wszystko było jasne... wiem, że nie robisz tego bezinteresownie. Nie dałbyś mi tej informacji, gdybym nie mogła jej zdobyć z innego źródła. - Na przykład od Eddiego Gazarry albo z miejscowej gazety.

- Więc pewnie nie masz ochoty na deser.

- A co masz?

- Ci goście należeli do Kościoła Wolności z Montgomery Street.

W pierwszej chwili zamilkłam ze zdumienia. W drugiej wybuchnęłam gromkim śmiechem i klasnęłam w ręce.

- Kościół Wolności z Montgomery Street! Fantastyczne.

Morelli dojadł kanapkę.

- Wiedziałem, że ci się to spodoba.

- Naturalny sprzymierzeniec. Mo chce się pozbyć handlarzy narkotyków, więc zwraca się do ekstremisty wielebnego Billa i razem wnoszą obronę sprawiedliwości na wyższy poziom. A potem, z przyczyn, których nie jesteśmy pewni, Mo decyduje się podać tyły i obraca się przeciwko zacnemu pastorowi.

Dopił kawę i wytarł usta serwetką.

- To tylko domysły.

A ja mogłam domyślić się czegoś więcej. Mogłam się domyślić, że nie chodziło tylko o handlarzy narkotyków.

- Było miło - powiedziałam - ale muszę lecieć.

Morelli złapał mnie za przegub i przytrzymał. Przysunął się do mnie tak, że znaleźliśmy się nos w nos.

- Na pewno nie chcesz mi niczego powiedzieć?

- Słyszałam, że Billie Zaremba miał wasektomię.

- Mówię poważnie. Nie mieszaj się w to, bardzo cię proszę.

- O Jezu, Joe, nigdy nie przestajesz być gliniarzem?

- To nie ma nic wspólnego z tym, że jestem gliniarzem. Uniosłam brew.

- O?

Morelli westchnął nad samym sobą.

- Nie wiem, dlaczego tak się o ciebie martwię. Bóg widzi, że potrafisz o siebie zadbać.

- Dlatego że jesteś Włochem. Masz to w genach.

- Nie wątpiłem w to nawet przez chwilę. - Morelli wstał i puścił

moją rękę. - Uważaj na siebie. Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebować pomocy.

- Zamierzam wrócić do domu i umyć włosy. - Uniosłam rękę. -

Przysięgam. Słowo harcerza. Może ewentualnie pójde na zakupy.

- Jesteś niepoprawna. Zawsze tak było, nawet w dzieciństwie.

- A co to miało znaczyć?

- Byłaś walnięta. Nigdy się nie wiedziało, co ci strzeli do głowy.

Skakałaś z dachu garażu ojca, bo chciałaś sobie polatać.

- A ty nigdy tego nie robiłaś?

- Nie. Wiedziałem, że nie polecę.

- Bo od chwili, w której się urodziłaś, myślałaś tylko o jednym.

Morelli wyszczerzył zęby.

- To prawda. Mam ubogie zainteresowania.

- Chodziło ci tylko o seks. Zwabiałaś niewinne dziewczynki do garażu, żeby popatrzeć na ich majtki.

- Życie było wówczas prostsze. Teraz muszę je upijać. I, powiedzmy sobie szczerze, nie musiałem cię tak strasznie wabić. Omal nie zwałaś mnie z nóg, tak ci się spieszyło.

- Bo obiecałaś, że nauczysz mnie bawić się w ciuchcie. Morelli uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- I dotrzymałem słowa.

Drzwi otworzyły się i Vinnie wpłynął do środka na skrzydłach tryumfu. Nasze spojrzenia spotkały się, a mój kuzyn wydał z siebie cichy paskudny śmieszek. Wiedziałam, że znalazł coś fantastycznego.

Rozdział 16

Zostawiłam Morellego i wywlokłam Vinniego z kawiarni, żeby nikt nas nie podsłuchał.

- Mam adres - oświadczył Vinnie, ciągle z uśmiechem. Wiedział, że zwrot kaucji jest już bliski, a poza tym nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie poinformuje mnie o osiągnięciach seksualnego sprzymierzeńca.

Dreszcz emocji przebiegł mnie od czubków stóp po koniuszki włosów.

- Mów!

- Już przy pierwszej rozmowie trafiłem w dziesiątkę. Miałaś rację.

Moses Bedemier, ukochany wujcio, kręci świńskie filmy. Nie takie, jakie można wypożyczyć. Prawdziwy twardy towar! Absolutne podziemie, pierwszorzędne pornole. Występuje pod nazwiskiem M. Bed. I specjalizuje się w dyscyplinie. Zgodnie z doniesieniami mojego informatora, jeśli chcesz coś naprawdę z ikłą, szukasz filmu M. Beda. -

Pokręcił głową, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Słowo daję, facet jest gwiazdą. Wypuścił serię filmów o inicjacji w bractwie. Nakręcił „Cycuszki i szpicrutę”, „Niegrzecznych chłopców”, „Niegrzecznych chłopców w college”. Prawdziwe perełki. Żadnych ograniczeń. Mnóstwo zbliżeń.

Nigdy nie udaje. To jest właśnie różnica między tymi komercyjnymi śmieciami i podziemiem. Podziemne kawałki są prawdziwe.

- Hamuj się, Vinnie - powiedziałam. - Ludzie patrzą.

Vinnie w ogóle mnie nie usłyszał. Machał rękami, a w kącikach ust pojawiła się mu piana.

- Ten gość jest genialny. A już „Niegrzeczny Bobby w szkole” to prawdziwe arcydziełko. Kostiumowy, historyczny. Klasyka. Najlepsza scena kary w całej twórczości filmowej.

Wyobraziłam sobie Larry’ego Skolnika ze spuszczoneymi gaciami i omal nie zemdlałam.

- Wystarczyło, że mnie nakierowałaś i reszta poszła już gładko -

ciągnął Vinnie.

- Mam znajomego w tym biznesie. Tylko on robi filmy z psami. Ma takiego doga, co wygląda całkiem jak buhaj, i przyuczył go do...

Zatkałam sobie uszy.

- Nie!

- A więc udało mi się dowiedzieć, gdzie Mo kręci swoje filmy. Ten mój przyjaciel zatrudnia tych samych aktorów i aktorki, co Mo. Podał mi nazwisko tej kobiety. Bebe LaTouch. He, he, he. Podobno to ulubienica doga.

Poczułam, że górna warga unosi mi się mimowolnie, a zwieracz zaczyna się zaciskać.

Vinnie wręczył mi mapkę.

- Zadzwoniłem do niej i podobno Mo ma domek gdzieś koło skrzyżowania Washingtona, w głębokim lesie. Nie znała adresu, ale wiedziała, jak się tam jedzie.

To się zgadzało z informacjami, jakie zdobyłam od Gail i Larry’ego.

Gail powiedziała, że Harp załatwiał interesy z Mo poza sklepem.

Pamiętała to miejsce, ponieważ kiedyś pojechała razem z nimi, kiedy Harp dostarczył „dziewiczą aktorkę”.

Wzięłam mapkę i zajrzałam do kawiarni w poszukiwaniu Morellego. Skubał chipsy i przyglądał mi się przez szybę w drzwiach.

Pomachałam mu i wsiadłam do samochodu. Zapaliłam i wsłuchałam się w pracę silnika. Przyjemna i równa. Bez krępujących wybuchów. I bez gaśnięcia.

- Dzięki, Bucky - powiedziałam. I Bogu niech będą dzięki za wszelkie dinki. Przejechałam przez most na Delaware, po czym ruszyłam na pomoc. Dojechałam do skrzyżowania Washingtona, oddaliłam się od rzeki i skręciłam w dwupasmówkę, która doprowadziła mnie do bezimiennej uliczki. Stałam i przyjrzałam się mapie. Wszystko wyglądało dobrze, więc ruszyłam w dalszą drogę i po pięciu minutach dotarłam do Doyne. Skręciłam w prawo, zerknęłam na licznik i przejechawszy jeden kilometr zaczęłam wypatrywać czarnej zardzewiałej skrzynki na listy przy końcu piaszczystej wiejskiej drogi. Minęłam jeden dom, skręciłam i zabudowania skończyły się definitywnie.

Jeśli Mo ukrywał się właśnie tutaj, znalazł sobie fajne miejsce.

Po kolejnych dwóch kilometrach ujrzałam skrzynkę. Zatrzymałam się i spojrzałam pomiędzy nagimi drzewami na drewnianą chatkę u wylotu drogi. W lecie pewnie w ogóle jej nie widać. Teraz była zima, więc dokładnie widziałam szopę na samochód i sam dom. W szopie stał

samochód, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy należał do Mo.

Zjechałam na pobocze i zadzwoniłam na komórkę Rangera.

Odebrał po czwartym sygnale.

- Hej.

- Hej hej - odpowiedziałam. - Zdaje się, że dostałam cynk w sprawie Mo. Obserwuję dom w Pensylwanii. Potrzebuję wsparcia przy aresztowaniu.

- Pokieruj mnie.

Pokierowałam go, rozłączyłam się i otworzyłam torbę, którą trzymałam na tylnym siedzeniu. Byłam ubrana w dzinsy, golf i czarną skórzaną kurtkę. Zdjęłam ją, włożyłam kamizelkę kuloodporną i narzuciłam na nią kurtkę. Następnie wyjęłam z torby czarny nylonowy pas z kaburą i miejscem na pieprz w sprayu, nie wspominając już o Smith&Wessonie. Wsiadłam z samochodu, opasałam się tym całym majdanem, przymocowałam do nogi kaburę na trzydziestkę ósemkę, przypięłam do pasa kajdanki, a dwie zapasowe pary kajdanek nylonowych wepchnęłam do kieszeni.

A skoro już wiedziałam, czym zajmował się Mo, żałowałam, że nie zabrałam też gumowych rękawiczek.

Znowu wsiadłam do samochodu i czekałam. Wyłamywałam sobie palce i czułam się idiotycznie, uzbrojona po zęby jak żywy arsenał.

Siedziałam bez ruchu, dopóki nie pojawił się Ranger w bronco.

Podeszłam do niego, a on uśmiechnął się.

- Oho, nie ma żartów.

- Ludzie ciągle do mnie strzelają.

- No to faktycznie nie ma żartów.

On też miał kamizelkę kuloodporną. Zapiął pas z bronią, a ja wyjaśniłam mu sytuację.

- To twoja akcja - powiedział. - Masz jakiś plan?

- Podjechać. Zapukać. Aresztować.

- Ty od frontu czy od tyłu?

- Od frontu.

- Zostawię tu bronie i przejdę piechotą przez las. Daj mi parę minut na dojdzie i zaczynaj.

Nie miałam gwarancji, że Mo jest w domu. Gdybym miała więcej czasu, wzięłabym dom pod obserwację. A tak albo przestraszymy jakiegoś biedaka na śmierć, albo ktoś już przy drzwiach zrobi z nas sito. Choć może jednak Mo naprawdę nikogo nie zabił i nie był aż tak niebezpieczny.

Dałam Rangerowi czas na dotarcie na miejsce, wjechałam na drogę wiodącą do domu, zatrzymałam się obok samochodu w szopie i podeszłam prosto do frontowych drzwi chatki. We wszystkich oknach rolety były zaciągnięte. Już unosiłam rękę, żeby zapukać, kiedy drzwi uchyliły się i wyrżał zza nich Mo.

- No - powiedział. - Tak myślałem.

- Jakoś nie jest pan zaskoczony.

- Prawdę mówiąc, kiedy usłyszałem warkot, nieźle się przestraszyłem. Ale wtedy zobaczyłem ciebie i ulżyło mi.

- Bał się pan, że to wielbny Bill?

- O, to już wiesz o Billu. - Pokręcił głową. - Będę szczęśliwy, kiedy się to wszystko uspokoi. Nigdzie nie jestem już bezpieczny.

Weszłam do środka i rozejrzałam się. Dwie sypialnie, jedna łazienka, salon, kuchnia z tylnym wejściem. Dywan wytarty, ale czysty.

Meble skromne. Dość pusto. Kolory wyblakły i zlały się w jeden, nieokreślony. Kanapa, duży klubowy fotel, telewizor i wideo. Stolik odkurzony.

- Jak sądzę, ty też nie czujesz się bezpiecznie - dodał Mo. - Solidnie wkurzyłaś Billa.

Teraz sobie przypominałam. Niechcący stanęłam na czatach tuż przed Kościołem Wolności. Mo i Bill pewnie dostali kota ze strachu.

Myśleli, że chodzi mi o nich. Czasami zadziwiam samą siebie. Jak można jednocześnie tak strasznie się mylić i mieć rację?

Mo uchylił rolety i wyjrzał na zewnątrz.

- Jak mnie znalazłaś?

- Pogadałam z paroma osobami.

Odwrócił się do mnie z wyrazem zgrozy na twarzy. Spojrzałam mu w oczy i wyraźnie zobaczyłam, że jego umysł pracuje z ponaddźwiękową szybkością.

- To niemożliwe. Nikt w Miasteczku nie wie o tym domu.

- Larry Skolnik wie. Pamięta pan Larry'ego? To ten, co pisał sobie tajne wiadomości na ręce. Teraz pracuje w pralni ojca.

Zajrzałam do sypialni. Łóżko, schludnie pościelone. Na podłodze dywanik. Stolik z nocną lampką i budzikiem. Druga sypialnia była pusta.

Na dywanie ślady po niedawnym odkurzaniu. I kilka odcisniętych wgłębień po meblach lub czymś innym. Najwyraźniej niedawno pokój został gruntownie wysprzątny. Otworzyłam drzwi łazienki. Miała okno z grubą zasłoną. Ciemnia, pomyślałam. Pewnie Mo robił swoim gwiazdom również zdjęcia. Wróciłam do niego.

- Wiem o filmach - oznajmiłam.

Mo wytrzeszczył na mnie oczy. Spanikowany. Jeszcze mi nie wierzył. Wyrecytowałam listę tytułów i aktorów. Rozkoszowałam się swoją przewagą. Niech Mo wie, że gra dobiegła końca.

Mo wziął się w garść. Uniósł hardo głowę. Postawa obronna.

- I co z tego? To filmy artystyczne kręcone przy dobrowolnym współudziale osób dorosłych.

- Może i dobrowolnym. Wątpię, czy dorosłych. Czy wielebny Bill wie o pańskim hobby?

- Wielebny Bill to jeden z moich najbardziej zagorzałych fanów. Od lat. Jest zdecydowanym zwolennikiem kar cielesnych za złe zachowanie.

- A więc wie o tym domu.

- Ale nie wie, gdzie się znajduje. Poza tym to nie hobby. Jestem zawodowym twórcą filmowym. Mam z tego niezłe pieniądze.

- No myślę.

- Chyba nie uważasz, że wyżyłbym z emerytury? - warknął Mo. -

Wiesz, jak się zarabia na cukierkach? Wcale się nie zarabia.

Mam nadzieję, że nie oczekiwał ode mnie współczucia. Bardzo się starałam, żeby nie krzywić się za każdym razem, kiedy przypomniało mi się moje zdjęcie w jego kuchni.

Mo pokręcił głową i jakby oklapł.

- Nie mogę uwierzyć, że to mnie spotkało. Żyłem przyzwoicie.

Odkładałem pieniądze na emeryturę. Dostarczałem rozrywki wybranej grupie dorosłych. Zatrudniałem obiecujących młodych ludzi.

Zgrzytnęłam w duchu zębami. Mo płacił handlarzom narkotyków, żeby rekrutowali świeży towar do pornosów. Handlarze znali wszystkich uciekinierów i bezdomne dzieciaki. Znali małolotów, którzy jeszcze wyglądali zdrowo i zrobiliby wszystko, żeby zarobić na działkę.

- Popełniłem jeden błąd - ciągnął Mo. - Jeden błąd i wszystko zaczęło się walić w gruzy. Przez tego okropnego Jamala Brousse. -

Podszedł do okna, najwyraźniej zdenerwowany. Wyrzwał zza rolety, splótł

ręce i znowu je rozplótł. - Mam nadzieję, że nikt cię nie śledził -

powiedział. - Bill mnie szuka.

- Nikt mnie nie śledził. Chyba.

Mo zaczął opowiadać dalej. Podejrzewam, że chciał się uwolnić od ciężaru tej historii. Wyglądał tak, jakby nadal nie mógł się otrząsnąć z oszołomienia. Opowiadał i krążył po pokoju. Pewnie mówił tak do siebie i chodził przez wiele godzin, starając się zmusić do zadzwonienia na policję.

- Wszystko przez tego Brousse. To handlarz narkotyków i mój dostawca. Zawarłem z nim jedną niefortunną transakcję na wypożyczenie mi młodego modela. Chciałem tylko zrobić mu zdjęcie.

Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

- Bill nas zabije, jeśli nas tu znajdzie.

Nie miałam co do tego najmniejszej wątpliwości. Chciałam się stąd zbierać, jak tylko Ranger się pokaże.

- Co było z tym Brousse? - spytałam, bardziej po to, żeby odwrócić jego myśli od wielbnego Billa, niż z czystej ciekawości.

- Wywiązałem się z naszej umowy, ale on ciągle do mnie wracał.

Chciał coraz więcej. Szantażował mnie. Wpadłem w rozpacz. Nie wiedziałem, co robić. Sklep nie

przynosi wielkich dochodów, ale zyskałem sobie w naszej społeczności pewną pozycję, którą sobie cenię. Ten Brousse chciał mi to odebrać.

Aż pewnego dnia do mojego sklepu wstąpił Bill, a ja wpadłem na pomysł. Przypuśćmy, że powiedziałbym mu o tym gościu, tym całym Jamalu Brousse, który sprzedaje dzieciom narkotyki. Doszedłem do wniosku, że Bill go nastraszy. Może da mu w nos albo co. Może każe mu odejść. Niestety, Bill tak bardzo lubi walczyć w obronie sprawiedliwości, że zabił Brousse'a.

Na nieszczęście popełnił błąd. Wrzucił go do rzeki i Brousse wypłynął po dwóch godzinach. To się Billowi nie spodobało. Powiedział, że to bałaganiarstwo. Ja chciałem już przestać, ale Bill naciskał, żebym podał mu nazwisko innego handlarza. Wreszcie ustąpiłem i Bill natychmiast go zabił i zakopał w mojej piwnicy. Zanim się zorientowałem, miałem tam pełno martwych handlarzy narkotyków.

Nawet kiedy zostałem oskarżony o posiadanie ukrytej broni, dalej zabijał.

Tylko było nam już trudniej dostać się do piwnicy, więc ukrywaliśmy ciała najlepiej, jak umieliśmy. Cameron Brown, Leroy Watkins. - Pokręcił

głową. - Bill ma obsesję zabijania. Zorganizował pluton egzekucyjny. A skoro szło mu tak dobrze, rozszerzył działalność z handlarzy na najbardziej zagorzałych ćpunów. Pluton nauczył się zabijać ich tak, żeby to wyglądało na przedawkowanie.

To dlatego zaangażowałem adwokata. Nie mogłem uczestniczyć w takim szaleństwie. Mówili nawet o tym, żeby zabić ciebie. I nie uwierzysz, kto w tym bierze udział. Policjanci, sprzedawcy butów, babcie, nauczyciele... To szaleństwo. Całkiem jak sekta. Jak Ku-Klux-Klan. Nawet ja dałem się im omotać. Miałem przy sobie broń. A kiedy ten policjant ją znalazł, wpadłem w panikę. Z tej broni a zabito Brousse'a. Co mnie opętało?

- Dlaczego wynajął pan prawnika? Dlaczego po prostu nie zgłosił się pan na policję?

- Jestem już stary. Nie chcę spędzić reszty życia w więzieniu. Chyba miałem nadzieję, że jeśli będę współpracować i zaangażuję dobrego prawnika, uda mi się wykryć sianem. Zresztą nikogo nie zabiłem. Tylko dawałem Billowi nazwiska i zaaranżowałem parę spotkań.

- Ale nie wycofał się pan nawet wówczas, kiedy zaangażował pan prawnika. Wystawił pan Elliota Harpa.

- Nie potrafiłem z nimi zerwać. Bałem się. Nie chciałem, żeby ktoś się dowiedział, że rozmawiam z policją. Za każdym razem, kiedy słyszę warkot samochodu, cały oblewam się potem, bo wydaje mi się, że to Bill po mnie przyszedł. Szkoda, że od samego początku nie miałem wyboru.

Wydaje mi się, że to ja zacząłem to wszystko. Ten koszmar.

- Zawsze ma się wybór - oznajmił Ranger i dotknął jego głowy lufą magnum kaliber czterdzieści pięć.

Mo spojrział na niego zezem.

- Skąd się pan tu wziął? Nic nie słyszałem!

- Zjawiam się niczym mgła na kocich łapkach. Spojrzałam na niego.

- To ładne.

- Carl Sandburg - wyjaśnił Ranger. - Mniej więcej.

Na dworze rozległ się chrzęst żwiru pod oponami samochodu. Mo podskoczył.

- To on!

Wyrzałam zza rolety.

- To nie jest wielebny Bill.

Ranger i Mo spojrzeli na mnie pytająco.

- Nie uwierzycie - oznajmiłam.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam i moim oczom ukazała się Lula, rozpromieniona i niezwykle dumna.

- Cześć, siostro - powiedziała. - Vinnie opowiedział mi o tej kryjówce, więc przyjechałam, żeby ci pomóc.

Mo omal się nie udławił z wrażenia.

- To ta szalona baba w czerwonym firebirdzie!

- Ha - sapnęła Lula. Ranger tylko się uśmiechnął.

Zdjęłam kurtkę Mo z wieszaka i podałam mu, jednocześnie obszukując go w poszukiwaniu broni. Zawlokłam go do wyjścia, ale ledwie stanęliśmy na ganku, usłyszeliśmy odległy warkot samochodu.

Wszyscy zamarliśmy bez ruchu. Samochód zbliżał się do nas. Pomiędzy drzewami mignęło coś niebieskiego, a potem na drodze do domu ukazał

się pojazd. Była to furgonetka z napisem KOŚCIÓŁ WOLNOŚCI.

Zatrzymała się, ponieważ dalszy przejazd blokował firebird Luli. W

bocznych drzwiach furgonetki naszym oczom ukazał się mężczyzna w narciarskiej masce i kombinezonie. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie nawzajem, my i on. Potem facet położył sobie na ramieniu raketnicę, bluznęło ogniem i ŁOMOT! Mój samochód wyleciał w powietrze, a wszystkie drzwi poszybowały na cztery strony świata.

- To było ostrzeżenie! - ryknął facet. - Oddajcie nam Mo.

Odebrało mi mowę. Wysadził mi samochód! Mój nissan zmienił się w wielki żółty kłęb ognia.

- Spójrz na to od innej strony - poradziła Lula. - Już nie musisz się martwić, że ci zgaśnie.

- Naprawiłam go!!!

Z furgonetki wysiedli jeszcze dwaj mężczyźni. Mieli karabiny, w związku z czym wszyscy wycofaliśmy się do domu i zatrzasnęliśmy za sobą drzwi.

- Skoro wysadzili samochód, mogą wysadzić dom - oznajmił

Ranger. Wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. - Zabierz stąd Mo tylnym wyjściem, a ja ich zatrzymam. Ładujcie się do mojego bronco i odjeżdżajcie w cholerę.

- A ty? Nie zostawię cię tutaj!

W ściany domu uderzył grad kul. Wszyscy padliśmy plackiem na podłogę. Ranger wykopał szybę z okna i odpowiedział ogniem.

- Nic mi nie będzie. Zatrzymam ich na chwilę, a potem zniknę w lesie. - Rzucił mi przelotne spojrzeniem. - Już to robiłem.

Złapałam Mo za kołnierz i powlokłam go do tylnego wyjścia. Lula pogalopowała za nami. Byliśmy na środku podwórka, kiedy z podjazdu znowu dobiegł nas wybuch. Kucnęliśmy, potem Mo rzucił się do ucieczki, a Lula zaczęła wrzeszczeć: „O kurde! O kurde!”

Zjechaliśmy na tyłkach po niewielkim zboczach, pozbieraliśmy się i biegliśmy dalej, przedzierając się przez wyschnięte i kłujące zarośla. Nie był to cichy odwrót, ale to i tak przestało się liczyć, bo za naszymi plecami rozpętała się trzecia wojna światowa.

Uznałam, że odsunęliśmy się na dostatecznie dużą odległość, więc ruszyłam w stronę drogi. Wtedy właśnie rozległa się następna eksplozja i naszym oczom ukazał się kłęb ognia unoszący się ku niebu.

- To pewnie dom - zauważyła Lula ponurym tonem. Przeszedł mnie dreszcz. Obie pomyślałyśmy o Rangerze.

Mo osunął się na kolana. Miał twarz białą jak kreda i trzymał się za bok. Na jego szarym płaszczu pojawiła się ciemna plama. Krople krwi spadły na suche liście.

- Pewnie dostał w domu - powiedziała Lula. Pociągnęłam Mo za rękę.

- No, dalej! To już bardzo blisko.

Od strony drogi rozległy się syreny, a za drzewami po lewej stronie dostrzegłam migotanie czerwono-niebieskich policyjnych kogutów.

Mo zdobył się na wysiłek, żeby wstać i znowu upadł twarzą w ściółkę. Spojrzałam na Lulę.

- Leć do drogi i wołaj o pomoc - zarządziłam. - Ja tu zostanę.

- Masz broń?

- Aha.

- Nabitą?

- Tak. Leć! Wytarła oczy.

- Boję się jak cholera.

Odwróciła się i pobiegła. Jeszcze raz obejrzała się, po czym zniknęła nam z oczu. Zaciągnęłam Mo za drzewo, które stanowiło jako taką osłonę.

Wyjęłam broń i przykucnęłam.

Rany boskie, naprawdę muszę sobie znaleźć inną pracę.

Zapadł już mrok, kiedy Lula wysadziła mnie na parkingu pod moim domem.

- Dobrze, że Morelli jechał z kolegami za tymi z Kościoła Wolności -

powiedziała Lula. - Usmażylibyśmy się na frytki.

- Gliny śledziły tych z kościoła - sprostowałam. - Morelli śledził

mnie.

- Ty to masz szczęście.

Zbliżała się siódma, ale dałabym głowę, że jest o wiele później.

Byłam nieprzytomna ze zmęczenia i zaczynała mi się migrena.

Począpałam do windy i oparłam się o guzik. Dzięki Ci, Boże, za windy.

Gdybym miała wchodzić po schodach, pewnie spędziłabym noc w holu.

Gliny przesłuchiwały Lulę, Rangera i mnie przez parę godzin, jeśli się nie mylę. Kiedy rozmawiałam z kolejnym wywiadowcą, pojawił się Dickie i zaproponował, że będzie mnie reprezentować.

Powiedziałam, że o nic mnie nie oskarżono, ale dziękuję. Wyraźnie się rozczarował. Pewnie miał nadzieję, że wyśle mnie do kamieniołomów, żebym już nigdy nie mogła porozmawiać z Mallorym. Albo spodziewał się, że popełniłam jakąś makabryczną zbrodnię. Już widzę te nagłówki: BYŁA ŻONA ZNAKOMITEGO PRAWNIKA POPEŁNIA MAKABRYCZĄ ZBRODNIĘ.

PRAWNIK TWIERDZI, ŻE TO DO NIEJ PODOBNE.

Zanim opuściliśmy posterunek dowiedzieliśmy się, że operacja Mo już się skończyła i wszystko wygląda całkiem pomyślnie. Mo stracił masę krwi, ale kula weszła i wyszła, nie naruszając żadnych organów wewnętrznych. Ta wiadomość sprawiła mi prawdziwą ulgę. Do tej pory byłam tak naładowana adrenaliną, że świat zewnętrzny docierał do mnie w bardzo niewielkim stopniu. Kiedy wreszcie podpisałam streszczenie wypadków tego dnia i zdałam sobie sprawę, że Mo przeżyje, cała energia wyciekła ze mnie do ostatniej kropelki.

Razem z Rexem przyglądaliśmy się ucztie rozłożonej na stoliku do kawy. Rex ze swojej klatki. Ja z kanapy. Kubełek ekstra pikantnego smażonego kurczaka, cała taca biszkoptów, pojemnik z sałatką coleslaw, fasolka. I połowa czekoladowego ciasta, które zostało z sobotniej kolacji u rodziców.

Rangersi grali w Garden, co oznaczało, że siedziałam kamieniem przed telewizorem. Rangersi wygrywali.

- To jest życie - zwierzyłam się Rexowi. - Nie ma nic lepszego.

Sięgnęłam po kurczaka i wzdrygnęłam się nerwowo, ponieważ ktoś zapukał do drzwi.

- Nie martw się - zwróciłam się do Rexa. - To pewnie tylko pani Bestler.

Ale wiedziałam, że to nie pani Bestler. Pani Bestler nigdy nie puka do moich drzwi tak późno w nocy. W ogóle nikt do mnie nie puka o tej porze. Chyba że ktoś kłopotliwy. Na przykład faceci w narciarskich maskach. Od czasu ich wizyty minęły dwa tygodnie, ale nadal czułam się niepewnie. Zapisalam się na kurs samoobrony i bardzo zwracałam uwagę, żeby nie przestać kontrolować się ze zmęczenia. Ale i tak wszędzie widziałam zamaskowanych mężczyzn.

Wielebny Bill i jego pluton śmierci mieszkali obecnie na koszt państwa. Wśród nich nie było Mickeya Maglio. Znaleźli się inni policjanci, ale nie on. Mężczyzna, który mnie przypalał, okazał się szwagrem wielebnego Billa, sprowadzonym z Jersey City. Przynajmniej rozpoznałam akcent.

Bez wątpienia na wolności zostało jeszcze wielu obrońców sprawiedliwości, ale ograniczyli działalność. Społeczność Miasteczka straciła sporo animuszu, kiedy sekretne życie wujka Mo zostało ujawnione. A bez wpływu wielebnego Billa wszelkie porywy wkrótce umarły śmiercią naturalną.

Cicho podeszłam do drzwi i wyjrzałam przez wizjer. Moje spojrzenie napotkało Joe Morellego. Powinnam się domyślić.

Otworzyłam mu drzwi.

- Pewnie poczułeś kurczaka? Morelli wyszczerzył zęby.

- Nie chciałbym się narzucać.

Aha, bo uwierzę. Wyjęłam piwo z lodówki.

- Nie pokazywałeś się przez jakiś czas.

- Zamykaliśmy sprawę Mo. Nie odpowiadałaś na moje telefony.

Opadłam na kanapę.

- Nie było o czym mówić. Morelli pociągnął łyk piwa.

- Ciągłe się wściekasz, że ukrywałem przed tobą informacje?

- Tak. Pomogłam ci z Dickiem, a ty mi się nie zrewanżowałeś.

- Nieprawda. Powiedziałem ci o wielbnym Billu.

- Bo wiedziałeś, że dowiem się o nim z innych źródeł. Cieszę się, że cię wtedy obrzygałam.

- To też moja wina?

- No pewnie.

Tak naprawdę wiedziałam, że cała odpowiedzialność spada na mnie, ale nie miałam ochoty zwierzać się z tego Morellemu.

Morelli poczęstował się kurczakiem.

- Wszyscy na posterunku cię podziwiają. Tylko ty odkryłaś ten numer z filmami.

- Dzięki Sue Ann Grebek i jej atomowemu językowi. Kiedy powiedziała mi o Larrym Skolniku, od razu pomyślałam o Cameronie Brownie. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego właściwie zginął. Trochę handlował, ale nie był grubą rybą. Zyski ciągnął głównie z prostytutki. A Larry i Gail to potwierdzili. W gruncie rzeczy, Larry sam wszystko odgadł.

Rangersi znowu strzelili gola, więc przestaliśmy gadać i przyjrzelśmy się powtórce. Czytywałam gazety i rozmawiałam z Eddiem Gazarrą, więc dowiedziałam się paru szczegółów o Mo i wielbnym Billu.

Wiedziałam, że obaj staną przed sądem. Nie byłam pewna, co czeka Mo, ale Bill został oskarżony o siedem morderstw pierwszego stopnia. Poza tym policjanci zrobili nalot na dwa budynki Kościoła Wolności na Montgomery Street i znaleźli w nich tyle broni, że można by rozpocząć niewielką wojnę.

- Słyszałam, że znowu będziesz pracować w obyczajówce. Morelli potwierdził.

- Nie mam takich ciuchów jak ci w kryminalnym. I wiesz co, chcieli żebym się codziennie golił.

- Nadal mieszkasz w tym domu?

- No. Lubię go. Dużo przestrzeni. Masa szaf. Większa kuchnia.

Piwnica. - Przynął się bliżej. - Ma nawet tylne wejście.

Zerknęłam na niego z ukosa.

Dotknął koniuszkiem palca mojej skroni i pogładził ją.

- I ma podwórko - dodał półgłosem.

- Podwórka są fajne.

Palec przesunął się po moim obojczyku.

- I nadają się do różnych rozrywek. Na przykład do grillowania.

Cofnęłam się i spojrzałam na niego badawczo. Morelli chce grillować?

- Staraj się, a może zaproszę cię na hamburgera.

- Tylko na hamburgera?

- Może na coś więcej.

To przypomniało mi o starym przysłowiu - uważaj, czego sobie życzysz, bo możesz to dostać.

Morelli pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- A potem mógłbym ci pokazać garaż. Wspominałem już o garażu?

- Jeszcze nie.

- No więc mam garaż i znam taką zabawę... Oho.

- Ja też znam tę zabawę. Uśmiech był już w jego oczach.

- Tak?

- Jest związana... z komunikacją. Z pociągami i tak dalej.

- Od czasów, kiedy się w nią bawiliśmy, nauczyłem się paru nowych sztuczek - powiedział Morelli.

A potem jego usta musnęły mój kark i obudziły ogień, który w mgnieniu oka dotarł do każdego zakątka mojego ciała.

